Kwiecień — 1860.

LIST
JANA SOBIESKIEGO
O DRODZE RZYMSKIEJ
EX VOTO.

Udzielił

KAROL SZAJNOCHA.

Kończąc na wiosnę r. 1652 dwudziesty trzeci rok życia, zapadł Jan Sobieski w ciężką chorobę, która na długi czas przykuła go do łoża we Lwowie. Francuzki biograf jego ksiądz Coyer opowiada, iż młody starosta jaworowski chorował natenczas z ran w pojedynku odniesionych, ale żadnem wiarogodnem świadectwem nie popiera swéj wiadomości. Bądź jak bądź, nie mógł Jan Sobieski towarzyszyć z tego powodu starszemu bratu

Markowi do obozu na Ukrainie, i uniknął tem śmierci niechybnéj. W samą bowiem dwudziestą i trzecią rocznicę urodzin Jana, tj. 2go czerwca 1652, ujrzało się obozujące pod Batowem wojsko koronne w liczbie dziewięciu tysięcy, otoczonem całkowicie od przeszło stutysięcznéj armii tatarskiéj i kozackiéj, która je zniosła do szczętu. Z wyjątkiem kilkunastu rozbitków zginęło wszystko rycerstwo polskie, jużto walcząc z niezmierną przemocą nieprzyjacielską, jużto nazajutrz po bitwie w niewoli wymordowane. Pomiędzy zginionymi znajdował się starosta krasnystawski Marek Sobieski, i byłby niewątpliwie znalazł się także młodszy brat Jan. Tak przynajmniéj mniemał on o tem przez całe życie, zwłaszcza pisząc ciekawy ułamek swojéj autobiografii, wydrukowany w przekładzie łacińskim w A. Chr. Załuskiego *Epistolae historico-familiares* III. 859—863, w polskim zaś oryginale w Kraszewskiego Ateneum na rok 1842 II. 37—47. Po wzmiance o klęsce batowskiéj i śmierci brata Marka dodaje ukoronowany już wtedy Jan: „Mnie fata albo raczéj wola Boża od téj zachowały zguby, złożywszy mię pod ten czas ciężką we Lwowie chorobą.“ Jeszcze wyraźniéj utrzymują to samo bardzo wiarogodne Rozmowy zmarłych Polaków, napisane spółcześnie lub bliskocześnie, na wszelki wypadek przed pogrzebem króla Jana w Krakowie tj. przed końcem r. 1733. Mówi tam król Jan III o sobie: „Ja przed batohowską wyprawą..... strasznie zachorowawszy leżeć musiałem we Lwowie i nie być w téj fatalnéj okazyi, w któréj brat mój starszy zginął Marek. I to był pierwszy znak woli i Opatrzności boskiéj, że mnie destynowała na wielkie rzeczy, kiedy mi chorobę przysłała i do łóżka przykowała. *Alias* zdrowy poszedłbym ochotnie tak jako i brat, zginąłbym był tak jako i brat“ (wydanie K. J. Turowskiego w Bibliotece Polskiéj str. 3). Zagrożony podwójnem niebezpieczeństwem, bo śmiercią

na łożu boleści we Lwowie albo na polu walki nad Bohem, uniknął młody starosta jaworowski za łaską Opatrzności obudwóch ciosów, i podniósł się znacznie w ożywiającem go zawsze uczuciu, że mu jakaś wielka święci się przyszłość.

Po szczęśliwem ocaleniu w r. 1652 nastąpiły lata ciężkich prób i doświadczeń — lata dalszych wojen tatarskich i kozackich, i nowych wojen ze Szwedem, z Moskwą, z Rakocym. Dopiero rok 1665ty, rok uspokojenia ciągłych zaburzeń zewnętrznych przed kilkuletnim traktatem oliwskim i świeżym rozejmem z Moskwą, okazał się Sobieskiemu równie fortunnym jak ów rok klęski batowskiéj. Jeźli wówczas przed laty trzynastu uratowały go nieba od podwójnego niebezpieczeństwa, tedy obecnie podwójne padło mu szczęście — otrzymał główny urząd koronny i ukochaną oddawna żonę. Urzędem była laska wielka koronna, odjęta skazanemu wyrokiem sejmowym Lubomirskiemu — żoną owdowiała przed kilku tygodniami wojewodzina sędomierska, Marya Kazimiera Zamojska, urodzona Margrabianka d' Arquien. Ponieważ data osiągnięcia tych obudwóch darów roku 1665 bywa zwyczajnie albo całkiem fałszywie albo przynajmniéj niedokładnie oznaczana, przeto wskażemy ją z wszelką ścisłością według kilku spółczesnych listów z Warszawy. Przywiléj na marszałka w. kor. doręczył Sobieskiemu kanclerz w. kor. w Warszawie dnia 24go kwietnia, a laskę marszałkowską oddał mu król publicznie w kilka tygodni późniéj, na uroczystem posłuchaniu dnia 18go maja. O ślubie Jana Sobieskiego z owdowiałą właśnie o téj porze wojewodziną Zamojską, mamy francuzki list z Warszawy pod dniem 10 lipca 1665, w którym czytamy: „Dnia 6go b. m. nuncyusz Stolicy Apostolskiéj dawał na zamku ślub panu Sobieskiemu w. marszałkowi kor. z wojewodziną sędomierską wdową po książęciu Zamojskim. Byli przytomni oboje króle-

stwo, biskup de Bezieres nadzwyczajny poseł Francyi i cały dwór polski. Król JM. wyprawił ucztę weselną, na któréj znajdowała się także królowa z dwoma ministrami swoimi, z wielu senatorami i znaczną liczbą pań. Po uczcie nastąpił bal, trwający przez noc całą. Nazajutrz oboje Ichmość królestwo odprowadzili nowopoślubioną do mieszkania jéj męża, który oboje JM. królestwo i dwór cały sutą ugościł wieczerzą. Około dziesiątéj godziny wieczór przeprawił się król wraz z królową przez Wisłę, udając się za swoim dworem, który już przodem wyruszył w drogę...“ Wesele to odbyło się w niespełna dwa miesiące po śmierci pierwszego męża teraźniejszéj pani Sobieskiéj, wojewody czyli jak go Francuzi zwyczajnie nazywali książęcia Zamojskiego, który według latopiśca Joachima Jerlicza (II. 99) umarł dnia 7go kwietnia 1665. Wszakże pozostała po nim wdowa nie mieszkała już od przeszło czterech lat z swoim mężem, gdyż w r. 1661 odjechała bez wiadomości pana Zamojskiego do Francyi, a wróciwszy ztamtąd roku 1664, bawiła ciągle przy dworze królowéj Maryi Ludwiki, swojéj od lat dziecinnych opiekunki, a jak Jerlicz nadmienia i matki chrzczonéj. Z tegoż powodu miewał Jan Sobieski u przeciwnéj dworowi a przychylnéj Lubomirskiemu szlachty uszczypliwy przydomek *zięcia* królowéj. Objęty zaś zarazem urząd marszałkowski przeważał tak dalece w zwyczajnéj jego odtąd intytulacyi, że nawet hetmaństwo w. kor. połączywszy następnie z w. laską kor., zwany był zawsze aż do koronacyi nie hetmanem lecz marszałkiem w. koronnym.

Do tych dwóch wiadomych dat choroby w r. 1652 i dostąpienia laski w. kor. w r. 1665 możemy przydać teraz datę trzecią — tj. wiadomość o podjętéj *ex voto* drodze do Rzymu roku 1667go. Donosi o niéj następujący list samegoż Jana Sobieskiego, znajdujący się pomiędzy różnemi zapiskami historycznemi w rękopiśmie

Zakładu narodowego imienia Ossolińskich pod liczbą inwentarza 723, na karcie 205.

List do Króla JM. od Jaśnie Wielmożnego JE. Mci pana Marszałka wielkiego koronnego wyjeżdżając do Rzymu 1667.:

„Uczyniwszy od lat prawie czternastu *votum* po mojéj wielkiéj chorobie *ad Limina Apostolorum* [1]), nie przyszło mi do wykonania tego winnego Bogu i stolicy świętéj długu dla consideracyéj saméj usługi W. K. Mci na przeszłych sejmach tak potrzebnych, na których *versabantur cardines gloriae* [2]) wielkiego imienia W. K. Mci *et Salutis Publicae* [3]), o których nie jedne wieki długo mówić będą. Teraz niechcąc dłużéj odkładać com Bogu obiecał, ani przewalać *in graviorem aetatem* [4]) usprawiedliwienia się winnego, a widząc czas wolny, biorę pocztę, abym w kilku niedzielach mógł to *explere* [5]), i na Wielką noc do usługi W. K. Mci powrócić, założywszy sobie termin stawienia się w Rzymie *pro Festo Cathedrae Sancti Petri* [6]). Ufam tedy mocno że W. K. Mć Pan mój młciwy jako wielkiéj pobożności pan miłościwie *indulgere* [7]) będziesz raczył *tam piae nec temnendae necessitati* [8]) wiernego i unizonego sługi swego, ani poczytasz *vitio* [9]) że sam *in persona* [10]) nie upadam pokornie do nóg jego pańskich dla krótkości terminu mego. Wszakże i tam jeśli gdzie *suspiria* [11]) moje będą, *effundere* [12]) onych nie przestanę za conservatią wielkiego imienia osoby i szczęśliwego panowania WKMci którego jestem wszędy, zawsze i dożywotnie...“

Lubo podana tu wiadomość uszła baczności wszystkich dotychczasowych biografów króla Jana III, zasługuje ona przecież na wszelką wiarę. Wszystkie przytoczone w liście szczegóły zgadzają się z wiadomemi zkąd inąd wypadkami. Pisze w nim marszałek w. kor., iż *votum* zamierzonéj pielgrzymki rzymskiéj uczynione było *po* owéj wielkiéj chorobie w lecie r. 1652, co właśnie

odpowiada słowom listu „od lat prawie czternastu“. Zapowiadając bowiem przybycie swoje do Rzymu na uroczystość katedry św. Piotra tj. na dzień 18go miesiąca stycznia, musiał Jan Sobieski pisać ten list w pierwszych chwilach r. 1667, tj. właśnie z upływem lat czternastu od ślubu w jesieni lub w zimie z roku 1652 na rok 1653 uczynionego.

W podobnyż sposób potwierdzają się datami historycznemi owe wyrazy listu, w których Jan Sobieski widzi „teraz czas spokojny“ do spełnienia ślubowanéj pielgrzymki. Tuż przed napisaniem listu ustała właśnie burza nagłego zagonu Tatarstwa aż pod Kamieniec i daléj, o którym listy warszawskie z dnia 1 i 8 stycznia 1667 mówią jako o minionéj już rzeczy. Wtedy też zakończył się rozpoczęty roku zeszłego sejm, w miejsce którego miał na wiosnę odbyć się nowy. W tejże nareszcie porze rozpoczęły się traktaty pokoju z Moskwą, zawartego ostatecznie w Andruszowie pod koniec stycznia 1667. Nadarzyła się więc istotnie chwila cokolwiek spokojniejsza, i z niéj to korzystając, zabrał się pan marszałek kor. w długo zwlekaną podróż do Rzymu.

Dzięki osobliwemu zbiegowi okoliczności przyszła ona w nader niepowszedni sposób do skutku. Z początku chciał zapewne Sobieski odbyć ją z zwyczajną uroczystością w przynależnym orszaku dworzan. Ale długie mijały lata a nienastręczała się stósowna ku temu pora. Od następnego po klęsce batowskiéj roku 1653 aż po koniec roku 1666 następowała wojna po wojnie, uderzały w Polskę bez przerwy burze tatarskie i kozackie, wojna moskiewska, wojna szwedzka, konfederacye wojskowe, rokosz Lubomirskiego. W całym tym czternastoletnim przeciągu czasu niezdarzył się ani rok jeden, w którymby obecność wzrastającego w stopnie i powagę Sobieskiego mogła być obojętną krajowi na czas przydłuższy. Nawet obecne uspokojenie ojczyzny z po-

czątkiem r. 1667 nie wróżyło bynajmniéj długich wczasów i swobodniejszego niebawem pełnienia obowiązków prywatnych. Zaniosło się bowiem na bliską wojnę z Turcyą jako obrończynią poddających się jéj Kozaków pod Doroszeńkiem. Ale im bardziéj zachodził w lata Sobieski, im groźniejsze niebezpieczeństwa zawisły nad całym krajem i nad nim, tem słuszniéj wypadało pomyśleć wreszcie o wypłaceniu winnego niebiosom długu. Zaledwie tedy bogdaj na kilkanaście tygodni przed spodziewaną wojną turecką zajaśniał teraz ów „czas spokojny", pospieszył Jan Sobieski pocztą do Rzymu, i w przeciągu trzech do czterech miesięcy stanął z powrotem w domu.

Z powodu tak nagłego spełnienia ślubowanéj pielgrzymki tudzież jéj niezwyczajnego odbycia *pocztą*, bez licznych towarzyszów i świadków aktu, może nawet umyślnie dla niewzbudzenia publicznéj niespokojności na w pół tajemnie, niepostrzeżono wcale kilkunastotygodniowéj nieobecności w. marszałka a już teraz i hetmana polnego w kraju. Widząc go jeszcze dnia 21go grudnia r. 1666 we Lwowie (ob. list w ks. S. Barącza Pamiętniku dziejów polskich str. 71) a już w połowie maja r. 1667 (ob. list w Załuskiego *Epistolae historico familiares* I. 2.) znajdując go na czele wojska w pobliżu Lwowa, nie przypuszczał żaden z dziejopisów ówczesnych, aby tak krótka przerwa czasu miała była posłużyć do dalekiéj pielgrzymki rzymskiéj. Żaden też z dawniejszych i późniejszych biografów króla Jana IIIgo nie wspomniał o niéj półsłowem, i dopiero przypadkowe spotkanie udzielonego tu listu podaje niespodziewaną o niéj wiadomość.

Pobożna podróż Sobieskiego wynagrodziła mu się nowym wielkim zaszczytem. Właśnie w czasie jego pobytu za granicą umarł we Lwowie dnia 23go lutego 1667 dotychczasowy hetman w. kor. Stanisław Rewera Poto-

cki, po którym buława w. kor. nie miała godniejszego spadkobiercy nad Sobieskiego. W r. 1665 otrzymał on wielką laskę koronną, w r. 1666 mniejszą buławę kor., obecnie za powrotem z Rzymu wielkie hetmaństwo koronne. W kilka miesięcy późniéj niewybuchła wprawdzie wojna turecka ale wpadła ogromna armia tatarska pod wodzą chana krymskiego na ziemie polskie. Wtedy genialny pomysł nowego hetmana w. kor. powstrzymał ją przy bezskutecznem obleganiu Podhajec, a po stracie znacznego czasu zmusił tatarstwo do opuszczenia Polski z niemałą szkodą. Sławna wygrana podhajecka stała się pierwszym z tych wielkich pogromów barbarzyństwa wschodniego, które już w siedm lat po nagłéj pielgrzymce rzymskiéj otworzyły w. marszałkowi koronnemu drogę do tronu.

---

[1]) Do progów Apostolskich. [2]) wisiała sława. [3]) i dobra publicznego. [4]) do lat podeszlejszych. [5]) wykonać. [6]) na uroczystość katedry św. Piotra (w Rzymie 18 stycznia). [7]) przebaczyć. [8]) tak pobożnéj i godnéj poszanowania potrzeby. [9]) Za winę. [10]) osobiście. [11]) westchnienia. [12]) wylewać.

ZABIEGI
CESARZA MAXYMILIANA II.
O KORONĘ POLSKĄ
w latach 1572—1576.

Na przedsięwzięciach i planach nigdy niezbywało w historyi, mianowicie zaś w nowożytnéj. Jedne z nich zostały urzeczywistnione, inne nie doczekały się nigdy spełnienia swego, nie weszły w rzęd dokonanych faktów i są tylko punktami wyświecającemi inne równoczesne im zdarzenia. Do tych ostatnich należą zamiary cesarza Maksymiliana II względem Polski w latach 1572—1576. Jestto kawałek historyi w dyplomatyczne formy wciśnionéj, i dla tego równie dla ówczesnéj jak po części i dla dzisiejszéj jeszcze publiczności tajemnéj. Odnoszące się do tego źródła są jeszcze w archiwach ukryte,

znamy tylko pewną ich część. Stosunki Maxymiliana do Polski są wprawdzie i były od początku wszystkim znajome bo forma rządu polskiego niecierpiała tajemnicy w rzeczach polityki; przeciwnie, mało albo wcale nieznamy owych negocyacyj które Maxymilian w sprawie polskiéj z ościennemi dworami: jako z francuzkim, papiezkim, moskiewskim, stambulskim i innemi pozawiązywał. Wychodzące obecnie w Wiedniu Monumenta Habsburgica ab anno 1476 usque ad a. 1576 wyjaśnią niejedno w téj mierze. Z téj kategoryi źródeł trzeba się tymczasem na następujące ograniczyć:

Arcana saeculi XVI. Huberti Langueti legati et consiliarii saxonici epistolae secretae ad principem suum Augustum Saxoniae Ducem, S. R. I. VII virum.

Gerlach. Tagebuch David Ungnad's gesandschaft an die Ottomanische Pforte — gdzie się wiele naówczas tajemnych listów znajduje.

Geheimbes Protocollum welches anno 1575 auf dem churfürstl. Collegialtage zu Regensburg gehalten wurde — w zbiorze Senckenberga.

„*Zeitung was den Abgesandten der R. K. M. in der Moskau begegnet anno 1575*“ i „*Credenzschreiben der moskowiterischen Gesandten die auf den regensburger Reichstage erschienen anno 1576*“. Te dwa źródła wyjęte z archiwum księcia Wolffenbüttel, publikowane przez Häberlin'a. Wszystkie te dzieła wydrukowano o cały wiek późniéj niż je napisano. W historyach i kronikach tego przedmiotu dotyczących znajduje się bardzo wiele sprzecznych zdań i wiadomości; — z niemieckich najważniejsze są: *Lundorpi Continuatio Sleidani*, *Chytraeus Oratio de Maxim. II* — z polskich: *Sulikowski*, *Fredro*, listy i akta urzędowe w zbiorze *Pistoriusa*, z dalszych: dzieła Gracyana (*de vita J annis Commendonii cardinalis libri* IV); i Choisnin'a (*Discours au vray de tout ce*

qui s' est faict et passé pour l' entiére negociation de l' élection du roy de Polongne. Paris 1574). Obaj byli świadkami niniejszych spraw jako sekretarze, – tamten kardynała Commendoniego, ten biskupa Montluc'a. Prócz tego: *Thuani historia sui temporis, Matthieu Histoire de France, de la Bizardière histoire des diettes de Polongne.*

Rozdzielenie się Habsburgów na dwie linie było jedną z głównych przyczyn stopniowego nadwątlenia potęgi tego domu. Gałęź cesarska, którą korona rzymska uwieńczyła, była bezwątpienia słabszą od królewskiéj hiszpańskiéj. Przy braku odpowiedniéj materyalnéj siły opierało się znaczenie jéj właściwie na pewnem tradycyjném uszanowaniu i czci którą cesarskiéj godności składano. Reformacya zachwiała tę ideę w saméj zasadzie; postęp czy zaślepienie owego czasu przygniotło duchowe fundamenta władzy, i odtąd cesarze zmuszeni byli powagę swą w cesarstwie utrzymywać zawięzywaniem przyjaznych stosunków z luterskiemi książętami przeciw kalwińskim lub naodwrót, według tego jak się okoliczności ku temu składały. Nieustanna rywalizacya Francyi, niemożność ufania pewnéj części Węgier która jeszcze cesarzom wierną pozostała, i stan ciągłego narażenia na napad z strony Turcyi: są to powszechnie znane, główne zarysy owczesnego położenia Austryi. Nadmieniam je dla tego tylko aby dać poznać że przedewszystkiem znaczne powiększenie władzy domowéj mogło wzmocnić stan tego państwa, bo cały gmach Austryi miał zawsze w domowéj władzy panującéj rodziny swą główną podstawę. Zwiększenie liczby swych wiernych poddanych i możność wsparcia się na imponującéj

sile wojskowéj, czyli innemi słowy: uzyskanie jakiegoś nowego kraju musiało być naówczas głównem życzeniem i staraniem Habsburgów. Po nabyciu tylu koron zostawała jeszcze tylko jedna Polska ku któréj Maxymilian II wzrok swój kierować i gdzie się skutecznego rezultatu spodziewać mógł. Nadzieja pomyślnego skutku polegała na okolicznościach: sąsiedztwa, wymierania Jagiellonów i formy elekcyjnéj Polski.

Przy bezdzietności i fizycznem osłabieniu króla Zygmunta II można się było bliskiego opróżnienia tronu spodziewać. Wszystkie prawie dwory europejskie mocno się tem zajęły, — Papież równie jak sułtan, cesarz niemiecki i car moskiewski, podobnież Francya i Szwecya, — szło przecież o obsadzenie tronu w państwie naówczas pierwszego rzędu. Każde bezkrólewie w Polsce było czasem naprężenia polityki europejskiéj; monarchowie kontynentu uważnie przypatrywali się każdemu ruchowi i podsłuchiwali z natężeniem rezultatów elekcyj. Cesarz Maxymilian wiedział o tem dobrze że nie będzie jedynym kandydatem, dla tego zawczasu o tem przemyśliwać począł jakby sobie naród polski ująć a innym współzawodnikom w drogę zajść mógł. Prace swoje rozpoczął na sześć lat przed śmiercią Zygmunta. — Wiadomo że król Zygmunt trzecią swoją żonę Katarzynę, która była rodzoną siostrą Maxymiliana, od siebie odepchnął i do Wiednia odesłał. Krok ten nadwątlił nadzwyczajnie przyjaźń obu monarchów; Maxymilian dawał się z tem słyszeć że wojną pomści tę hańbę; w końcu jednak uznał i zmienił zamiar iż lepiéj uczyni jeżeli w Krakowie przy boku króla ciągłego rezydenta utrzymywać będzie któryby od potrzeby był i agentem. Obrał na ten urząd Jana Cyra opata Cystersów w Wrocławiu. Już dawniéj usiłował Maxymilian wprowadzić jednego z synów swoich na tron polski przyjazną drogą, z przyzwoleniem Zygmunta Au-

gusta; Jan Cyr miał to wyrabiać. Biograf Commendoniego pisze o tem że gdy kardynał w roku 1570 do Polski jechał, po drodze do Lintzu wstąpił i królową Katarzynę odwiedził. Ta miała mu powiedzieć że król Zygmunt już przygotował posłów do Papieża z prośbą o rozwód, i że Maxymilian będzie na to obojętnym bo ma obietnicę od Zygmunta że jednego z synów jego za następcę przybierze. Nie wiele w tem musi być prawdy, — zkądinąd wiadomo że król Zygmunt, gdy w obec niego o przyszłości Polski mówiono, zawsze na północ wskazywał jako że ztamtąd polacy swych przyszłych królów wziąść mieli, — co niektórzy Szwecyą tłómaczyli.

To pewna że Zygmunt, który tyle praw swoich narodowi poświęcił żadnego sobie nie przywłaszczając, nie byłby się upoważnił do naznaczenia następcy krajowi bez pozwolenia sejmu. — Prócz utrzymania przyjacielskich stosunków miał opat Cyr jeszcze inne tajemne zlecenie wybadywania umysłów polskich magnatów i przeciągania ich na stronę austryacką. Niewiemy jak mu się ta rzecz udawała, ale pamiętnik Choisnina donosi że nie z szczególną zgrabnością swoją misyę wykonywał. Nie tylko Maxymilian ale i dwór Francuzki wysyłał jeszcze za życia króla Zygmunta pewnych ludzi na zwiady do Polski dla rozpoznawania terrenu swych przyszłych zabiegów. W tym samym celu jak opat Cyr z Wiednia przysłany był z Paryża młody Balagny, naturalny syn biskupa Montluc'a. Cyr i Balagny schodzili się nieraz w domach magnatów polskich; na jednem takiem zejściu wygadał się podobno Cyr niezgrabnie przed młodym Francuzem nie spodziewając się bynajmniéj ktoby on był, bo to był młodzieniec, który właśnie co dopiero Padewski uniwersytet ukończył. Można na pewne przypuścić że Balagny nie okazał się godnym położonego w nim zaufania i że z powierzo-

nėj sobie tajemnicy korzystać nie omieszkał. Francuz z resztą więcėj zyskał sympatyi niż opat niemiecki, i w ten sposób ten pierwszy krok Maxymiliana nie dobrze się powiódł, chociaż w całości sprawa ta nadto jeszcze była mało znaczącą aby nadal stanowczy wpływ wywrzeć była mogła. Na pewną liczbę zwolenników między polskiemi panami mógł cesarz zawsze rachować. Jak w innych krajach tak i w Polsce były zawsze pewne rodziny — nawet z najstarszych — którym godność rzymskich cesarzów imponowała, ku którėj się niejako magnetycznie pociągniętemi czuły; wszakże są przykłady z dawniejszych i ówczesnych lat że wiele członków owych rodzin zupełnie dobrowolnie w służbę cesarską wstępowało. Prócz tego była podówczas Polska przepełniona lutrami i kalwinistami; a właśnie też znał świat cały Maxymiliana jako nie zbyt gorliwego katolika; naturalnym było ztąd wynikiem że religijni nowatorowie ku cesarzowi się zwrócili, nie tylko świeccy ale i duchowni panowie — między innemi sam prymas Jakób Uchański którego o tajemną herezyą posądzano.

W istocie gdy w początkach r. 1572 kardynał nuncyusz Commendoni, wielki rzecznik Habsburgów w Polsce, poraz drugi do Polski przybył, znalazło się wielu panów, którzy przy zbliżającėj się śmierci Augusta o obsadzeniu tronu Habsburgiem przemyśliwali. Byli to szczególniėj: Mikołaj Radziwił i Jan Chodkiewicz najwyżsi dygnitarze litewscy i Albert Łaski wojewoda sieradzki. Ci trzej senatorowie uradzili wraz z kardynałem Commendonim żądać od cesarza potajemnie aby im na przypadek śmierci Zygmunta jednego z synów swoich powierzył, obiecując że go Litwa natychmiast W. Księciem ogłosi i wojsko na potrzebę wystawi, że wtedy Polska wybór ten przyjąć będzie musiała. Postawili przytem różne warunki w duchu prowincyonalnym, bo na ko-

rzyść Litwy a na niekorzyść Polski. Sam kardynał lub Gratiani miał donieść ten plan Maxymilianowi.

Na nowinę o śmierci Zygmunta Gratiani zaraz wyjechał do Wiednia i stanął tam w siedmiu dniach. Przedstawił wszystko cesarzowi, radził dać pieniądze Łaskiemu aby mieć punkt oparcia w Polsce — bo Litwy był pewnym — prócz tego zalecał podemknąć oddział jazdy pod granicę polską. Maxymilian przyjął to wdzięcznie i napisał tymczasowo kilkanaście listów nader uprzejmych do pierwszych senatorów kraju.

Gdy po śmierci króla Zygmunta prymas Uchański sejm konwokacyjny a potem i elekcyjny na dzień 7my kwietnia 1573 rozpisał, przybyli do Polski posłowie od wszystkich dworów europejskich prócz angielskiego, duńskiego i mniejszych włoskich. Między innemi byli także posłowie elektora saskiego, brandenburskiego i księcia pruskiego lennika polskiéj korony, — panowie ich wystąpili także między pretendentami i głos swój przynajmniéj wmięszać chcieli. Między tylą rywalami nie łatwo było Maxymilianowi zneutralizować wpływy swych współkandydatów; przedewszystkiem jednak musiał się starać o przyjaźń papiezką zwłaszcza że nuncyusz rzymski wielki wpływ na umysły szlachty polskiéj wywierał równie przez swój wysoki urząd jak przez swą wiedzę i sztukę postępowania. Ale Grzegórz XIII w nienajlepszych zostawał z Maxymilianem stosunkach, bo cesarz ten powszechnie był znany jako wielki przyjaciel i niemal protektor reform religijnych. Od niejakiego czasu (roku 1570) spostrzeżono wprawdzie gwałtowną zmianę w usposobieniu cesarza, — Maxymilian stał się nagle gorliwym katolikiem, nieprzyjacielem nowatorów, i zerwał bliższe dawniéj z lutrami stosunki. Zmiana ta była tak widoczną że pewien kardynał który był naówczas w Wiedniu doniósł Papieżowi że umysł cesarski jest obecnie nie do poznania inny

niż dawniéj. Przyczyna téj zmiany jest nam dziś znaną z „dispaccio del ambasciatore venetiano alla corte di Spagna 1568“; jeden list od króla hiszpańskiego sprawił tę metamorfozę. Po śmierci Karlosa czynił bezdzietny naówczas Filip II Maxymilianowi nadzieję że po nim korony jego odziedziczy, dodał jednakże ten wyraźny warunek że byłoby nad sumienie jego oddać powierzone mu od Boga narody w ręce króla akatolika; niech się więc dla tego zawczasu poprawi. Ten list i myśl że przy staraniu się o koronę polską przynajmniéj pozór szczerego katolicyzmu niezbędnie koniecznym mu będzie, były powodem owéj niespodziewanéj, dla wielu enigmatycznéj zmiany sposobu myślenia Maxymiliana. Mimo to wszystko Grzegorz XIII niezupełnie ufał owéj zmianie. Nieznamy ani instrukcyi papiezkiéj dla legata Commendoniego, ani relacyj kardynała tego któreby może stosunek papieża do cesarza wyświeciły. Maxymilian prosił zapewne papieża o uznanie elekcyi syna swego Ernesta i o rekommendacyą do senatu polskiego; przypuszczenia tego tem bardziéj trzymać się można ile że list Grzegorza do Maxymiliana z dnia 18 grudnia 1572 o téj sprawie traktujący ma poniekąd formę odpowiedzi. W tym liście życzył papież cesarzowi powodzenia w jego polskich zamiarach i obiecał pomoc z swéj strony. Ale było to konwenansowe tylko oświadczenie które Grzegorz Maxymilianowi uczynił z względów na Filipa II. W istocie chciał papież widzieć zwycięztwo po stronie Francyi, tego państwa które się odznaczało prześladowaniem dysydentów. Zostający w Polsce nuncyusz Commendoni dostał zlecenie w tym duchu. W ten sposób gdy w Wiedniu już na pewne na papiezką pomoc rachowano, w Polsce Commendoni z owéj dawnéj drogi zboczył i zachował się pod koniec sejmu elekcyjnego zupełnie neutralnie, chociaż to było wbrew jego własnym życzeniom. Ratując siebie i papieża odczytał przed

samem głosowaniem mowę w której wystawił Ojca św. jako tchnącego równą miłością ku wszystkim książętom chrześciańskim, a zatem nie chcącego wynosić jednych nad drugich. Ta niby neutralność papieża była dla cesarza już czemś ujemnem, zgubną, bo niestał w Polsce tak mocno aby się bez pomocy z Rzymu był mógł obejść. Teraz można zrozumieć dla czego Commendoni, ów popieracz Habsburgów, po powrocie do Rzymu w niełaskę u papieża popadł i od urzędu oddalonym został. Languetus pisał o tem w liście z Wiednia z d. 27 maja 1573, „haec (wybór Henryka) facta sunt artibus pontificis romani, qui gratiam referre voluit pro praeclaro illo parisiensi facinore".

Te stosunki cesarza do papieża doprowadziłem daléj niż inne aby je dać poznać w całości; wracając do punktu z którego wyszedłem namieniam jeszcze że hiszpańskiéj pomocy był Maxymilian zupełnie pewnym, bo Filip II zawsze był wiernym sprzymierzeńcem Habsburgów niemieckich, choć od nich równéj przyjaźni nie doznawał. Książąt rzeszy niemieckiéj prosił także Maxymilian o listy polecające dla syna swego Ernesta. Równocześnie starał się z strony dworu paryzkiego sławny dyplomata Schomberg o głosy książąt dla Henryka Valois; ale świeżo spełniona rzeź ś. Bartłomieja nadto jeszcze tkwiła w pamięci, nie ufano zatem zupełnie Francyi, — wszyscy prawie dali swe głosy arcyksięciu Ernestowi.

Po tych wstępnych przygotowaniach wysłał Maxymilian do Polski Wilhelma Rosenberga i Andrzeja Dudicza (Dudithius) na sejm elekcyjny aby przedstawili pana swego jako kandydata do korony polskiéj, z tem jednakże zastrzeżeniem że ją nie dla siebie ale dla syna swego arcyksięcia Ernesta otrzymać pragnie. Wybór posłów był bardzo trafny: Rosenberg pochodził z dawnéj czeskiéj rodziny, któréj młodsza gałęź w Polsce

osiadła (Poraje) i mówił płynnie po czesku; było to na to wyrachowane aby Polacy swego pobratymca wysokim cesarskim urzędnikiem widzieli. Andrzéj Dudicz szlachcic węgierski był dawniéj biskupem pięciokościelskim, późniéj rezydentem cesarskim na dworze Zygmunta Augusta; odstąpił potem od kościoła katolickiego, przez co jednak bynajmniéj łaski swego pana nie postradał, został tem czem był dawniéj i ożenił się w Polsce ze Zborowską. To spokrewnienie podało mu sposobność do przeciągania tego możnego domu, którego wszyscy członkowie dysydentami byli, na stronę cesarza. W ten sposób szła sprawa Maxymiliana niby dobrze; ale wówczas właśnie zjawił się nowy współzawodnik: książe Anjou młodszy brat Karola IX. W imieniu jego przybyło do Polski trzech posłów francuzkich: Jan Montluc hrabia i biskup Valencyi, Gilles de Noailles opat z Lille i Guy de St Gelais, sieur de Lansac. Od chwili zjawienia się tych trzech mężów nic się już jakoś cesarzowi nie powodziło. Gdy nadszedł dzień dla obcych posłów przeznaczony aby przed sejmem stanąć i propozycye swych monarchów wypowiedzieć mogli, słuchano z natężoną uwagą obietnic które każdy z strony swego suwerena jako warunki ich wyboru czynił. Mowy każdego z posłów są prawie dosłownie zachowane. *Orator* cesarski nakreślił w swéj mowie najprzód obraz tego wszystkiego co przyszłemu królowi polskiemu niezbędnie potrzebnem będzie; w drugiéj części znalazł że tylko arcyksiąże Ernest te zalety posiadał które Polskę uszczęśliwić mogą. Na czele kładł ten punkt że arcyksiąże doskonale po czesku mówi, przez co mu łatwo będzie w krótkim czasie i polskiego języka się nauczyć. Gdy potem i drugich posłów słuchano i ostro z wszech stron rozważono zkądby największa szła dla państwa korzyść, znaleziono wszystko inaczéj niż Rosenberg tłómaczył. Pokazało się że książe Anjou więcéj mógł Polsce ofia-

rować niż arcyksiąże Ernest; przedewszystkiem trzeba było na to uważać aby nowo obrany król nie zaplątał od razu państwa w jaką wojnę; ten zaś przypadek zdawał się Polsce zagrażać od strony Turcyi w razie elekcyi arcyksięcia. Maxymilian przewidywał tę trudność i negocyował właśnie podówczas w Konstantynopolu przez Dawida Ungnad'a o przedłużenie kończącego się ośmioletniego pokoju na dalsze ośm lat. Tymczasem przybył na sejm poseł od sułtana z oświadczeniami serdecznéj przyjaźni, ale i z groźbą wojny w przypadku gdyby kogo z austryackiego domu królem obrano. Selim II był naówczas najpotężniejszym monarchą Europy, bezwątpienia potężniejszym od Filipa II; wszakże Maxymilian musiał mu roczny haracz płacić a poseł cesarski w Stambule musiał znosić wszystkie humory i kaprysy wielkiego Wezyra. Przyjaźń Selima nie mogła być Polsce w czasie bezkrólewia obojętną; Francya zaś była w ciągłéj przyjaźni z Turcyą, po księciu Anjou można się było czegoś w téj mierze spodziewać. — Wiedziano też o tem powszechnie że kiąże Anjou był bogaty a arcyksiąże nie; przyszły zaś król polski potrzebował niezbędnie znacznego prywatnego majątku, aby swych potrzeb publicznemi pieniędzmi nie opędzał, i aby na przypadek wojny pewną liczbę wojska na własny koszt utrzymywał — jak to było w zwyczaju. — Na wojnę trzeba było zawsze być przygotowanym; — napady tatarskie niemiały końca, Szwecya mieszała się w sprawy inflanckie, a w. książe moskiewski wyimaginował sobie że byłoby wielką hańbą dla niego gdyby go tą razą królem polskim nie obrano. Dla poparcia swych wielkich pretensyj równie silnym argumentem, postawił na polskiéj granicy armię sześćdziesięciotysiączną, która każdéj chwili napadem groziła. W takich okolicznościach musiał sobie naród życzyć aby przyszły król jego dzielnym był wojownikiem: — o księciu An-

jou wiedziano że już dwa zwycięztwa odniósł we Francyi; o arcyksięciu nie miano nic podobnego do opowiedzenia. Co do tego ostatniego punktu usiłowali posłowie cesarscy zmniejszyć sławę Henryka Valois przypominając że owe dwa zwycięztwa odniesione były nad rodakami dysydentami. Przy téj sposobności rozpuścili po kraju wiele illustrowanych pamfletów odnoszących się do nocy św. Bartłomieja, — król francuzki i książe Anjou byli tam przedstawieni jako główni mordercy. Ta sztuczka miała swój skutek ale Montluc zawczasu zapobiegł wszystkiemu, przedstawiając katastrofę 24go sierpnia jako rzecz raczéj z politycznych niż religijnych przyczyn wynikłą, w któréj Hugonotów nie jako dysydentów ale jako buntowników ukarano. — Ale bardziéj niż to wszystko stała Habsburgom na zawadzie zbyteczna niemal troskliwość szlachty polskiéj o swe przywileje i wolności. Od księcia Anjou nie obawiano się niczego podobnego, bo Francya nadto była od Polski odległą; przeciwnie w sąsiedniéj Austryi mógł arcyksiąże zawsze znaleść wsparcie do absolutystycznych planów przeciw szlachcie.

Te polityczne motywa, przeważająca sympatya narodu do Francyi, i wreszcie dyplomatyczna wyższość posłów francuzkich nad cesarskiemi — odniosły zwycięztwo. Niezgrabność agentów austryackich przyczyniła się także po części do zepsucia sprawy cesarskiéj: — było w Polsce na czas bezkrólewia prawo zakazujące obcym jeździć po kraju; był to środek zabezpieczenia się przeciw obcym agentom aby głosów na przyszłe sejmy nie zakupywali, przez co by się wolna elekcya na niewolniczą była przemieniła. Mimo to objeżdżali agenci cesarscy — z niewiadomości czy umyślnie — wszystkie ziemie i usiłowali kupować u szlachty na sejmikach głosy dla Maxymiliana. Ostrzegano ich kilka razy, a gdy i to nie pomogło dodano im nadzorcę. Zupełnie

inaczéj postępowali posłowie francuzcy: zaraz przy wstępie do kraju prosili o wyznaczenie miejsca do przebywania i nie ruszyli się z tamtąd aż ich na sejm zaproszono. Montluc rozsyłał także agentów swoich w głąb kraju; ci sprawowali się jednakże tak dyskretnie że im żadnéj illegalności zarzucić nie można było.

Tuż przed samem głosowaniem zdarzył się jeszcze wypadek który wszelkie usiłowania Maxymiliana do szczętu zniszczył: — między kandydatami wystąpił zaraz w początku i książe pruski. Będąc krewnym wymarłych co dopiero Jagiellonów i mając liczne znajomości z pierwszemi rodzinami Polski, zdawał się być cesarzowi niebezpiecznym współzawodnikiem. Maxymilian począł z nim listownie taktować i użył do tego owego opata Jana Cyra; — cesarz nie radził księciu myśleć o koronie polskiéj i obiecywał mu natomiast inne wynagrodzenia. Książe nie czuł się zapewne dość silnym, zaniechał swych pretensyj, obiecał nawet cesarzowi 2,000 jazdy w pomoc gdyby mu się podczas sejmu elekcyjnego nie dobrze wiodło. Znowu przez Cyrego posłał Maxymilian list w którym mu za przyrzeczoną sobie pomoc dziękuje, a w nagrodę za to swą własną siostrzenicę księżniczkę Clêve za żonę dać przyrzeka. Z tym listem pojechał Jan Cyr do Prus, przebrany za kawalera; ale na granicy poznano go i odesłano do aresztu. Prócz tego listu znaleziono jeszcze inne cesarskie, także instrukcyę opata co do jego postępowania; wszystkie te kawałki odesłano sejmowi gdzie publicznie odczytane zostały. Była to kompletna przegrana dla cesarza. Szlachta oburzała się słysząc że Maxymilian wolną elekcyę gwałtem zamieszać chciał; i jakkolwiek niewiedziano w jakimby celu był użył cesarz ów 2,000ny oddział jazdy, rzecz ta ostatecznie zepsuła sprawę austryacką. Gdy przyszło do elekcyi miał arcyksiąże Ernest kilka tylko głosów za sobą. Henryk

Valois jednogłośnie prawie obranym został, a cesarz musiał grać rolę zadowolnionego, zwłaszcza że z dworem paryzkim blisko był spokrewniony. Zdawało się że Maxymilianowi już żadna nadzieja osiągnięcia korony polskiéj nie pozostała. Henryk przybył w lutym roku 1574 do Polski i w krótce koronowanym został. Dalszą historyę tego króla pomijam jako nie będącą w związku z niniejszym przedmiotem i przechodzę zaraz do czasu w którym tron polski znowu opróżnionym został.

Henryk wcale niechętnie do Polski przybył, podróż tę uważał jako „exile honorable“ na który przez swego brata króla skazanym został. Osiągnienie tronu polskiego leżało raczéj w polityce Karola IX niż księcia Anjou. Przy bardzo nadwątlonem zdrowiu króla francuzkiego oczekiwał Henryk codzień chwili w któréjby do Francyi wrócić a Polskę opuścić mógł — ów kraj w którym swych zwyczajnych rozpust kontynuować nie mógł. Nie czekano długo bo zaraz pierwszych dni czerwca (1574) umarł Karol IX. Maxymilian wiedział o tem już 10 czerwca, pierwéj niż Henryk mógł być uwiadomionym; kazał więc natychmiast donieść nowinę tę Andrzejowi Dudiczowi, który ciągle w Polsce zostawał jako rezydent cesarski, z nakazem aby ją zaraz królowi polskiemu zakommunikował. Henryk przyjął tę wiadomość prawie z ukontentowaniem i mówił zaraz z kilką senatorami o prędkim odjeździe do Francyi; gdy jednak zmiarkował że mu się to bez poprzedniego zwołania i przyzwolenia sejmu nie uda, uciekł potajemnie z kraju w nocy z 18 na 19 czerwca. Z Krakowa udał się prosto do krajów cesarskich i uwiadomił Maxymiliana że po drodze do Wiednia wstąpi. Maxymilian nadzwyczajnie uradował się tym zwrotem rzeczy; budował nową nadzieję osiągnięcia tronu polskiego. Gdy go Henryk o pomoc przy swoim powrocie prosił, przyobiecał mu to

Maxymilian z uprzedzającą grzecznością. Languetus pisał o tem swemu panu w liście z dnia 12go czerwca 1574 następnemi słowy: „credo quod Imperator ejus reditum libenter adjuvabit, nam videtur denuo concipere spem adipiscendi illud regnum“. Henryk zabawił kilka dni w Wiedniu i spędził je w serdecznéj familiarności z rodziną cesarską. Odbywano wspólne przejażdżki, wspólne zabawy wśród których Maxymilian ciągle Henrykowi ojcowskie napomnienia dawał odnoszące się do jego przyszłego stanowiska. Maxymilian chciał widzieć Henryka li tylko francuzką koroną zajętego, dla tego radził mu n. p. łaskawie z Hugonotami się obchodzić, mówiąc że z własnego to wie doświadczenia jak mało skutecznym jest w rzeczach religii rygoryzm; proponował mu także córkę swoją, obecnie wdowę po Karolu IX, w małżeństwo; — Henryk przyjmował to wszystko grzecznie i wdzięcznie, ale dalekim był w duszy od wypełnienia i szczerego akceptowania tych rad. Po kilku dniach pojechał daléj przez Wenecyą do Francyi.

Polska była podówczas w szczególniejszem położeniu: niemal każdy wiedział na pewne że Henryk już nie wróci; ale właściwego bezkrólewia i nowéj elekcyi ogłaszać nie można było z względów prawniczych. Wszczęła się jurystyczna kłótnia koło téj kwestyi czy już jest bezkrólewie, czy nie; powstały ztąd dwie partye które nawzajem dowody prawnicze skupiały na zbijanie swych przeciwników. W tem zadeklarował Maxymilian publicznie że się teraz o koronę polską starać nie może, ponieważ jest obecnie własnością jego kuzyna Henryka. Potajemnie jednakże wysłał natychmiast drugim zawodem agentów swoich do Polski.

Bieg spraw publicznych w Polsce był następujący: senat korespondował ciągle z Henrykiem który z swéj strony jak najprędzéj do kraju wrócić obiecywał. Odesłano też do innych dworów listy w których ucieczkę

Henryka opisano i o zachowanie przyjaźni proszono Podobnéj treści list napisano szczególniéj do cesarza. Maxymilian odpisał czemprędzéj i zapewnił senat że w niebezpiecznym czasie bezkrólewia wszystkiemi siłami wspierać go zechce. W listach Maxymiliana podówczas do Polski pisanych przebija pewien ton dobréj woli i przyjaźni jakiéj pierwéj nie bywało. Walezemu naznaczono dzień 12 maja przyszłego roku (1575) jako termin powrotu, z tem ostrzeżeniem że koronę postrada jeżeli do tego dnia w kraju nie stanie. Dnia 15 maja 1575 zgromadził się sejm w Stężycy, — gdy ani Henryk ani poseł żaden od niego nie przybył, usiłowała partya domowi austryackiemu przychylna proklamować natychmiast bezkrólewie i nową elekcyę rozpocząć. Na czele téj partyi stał podówczas Krasiński biskup Krakowski; senatorowie już się ku temu nachylali ale prawie cała szlachta głośno zaprotestowała. Wewnętrzne rozruchy i wiadomość o najeździe tatarskim na Podole rozproszyły sejm, szlachta rozleciała się bronić swych domów, a prymas Uchański zwołał sejm na dzień 4ty listopada tegoż roku 1575.

W całéj Europie wiedziano już powszechnie kto się tą razą o koronę polską starać będzie. Byli prawie wszyscy ci sami którzy już przeszłą razą wystąpili; przybył jeszcze jeden na którego jednakże mało kto uwagę zwracał bo w porównaniu z innemi za słabym się być wydawał: był nim Stefan Batory wojewoda Siedmiogrodzki. Można to poznać z listów Langueta które on co kilka dni pisał, według tego jak go nowe wiadomości dochodziły; z początku ledwo kilką słowami o Batorym wspomina, dopiero z czasem coraz więcéj o nim pisze. Nikt się jeszcze wtenczas nie spodziewał, że Batory kiedyś pierwszą rolę w téj grze obejmie; dotychczas zasługiwał on w politycznym świecie o tyle tylko na uwagę, ile że był osobą protegowaną przez

Portę ottomańską, która z swéj strony nikogo innego na tronie polskim widzieć niechciała jak tylko Batorego lub jednego z książąt szwedzkich, zaś wojną groziła w razie obrania austryaka lub moskala. Wojewoda Siedmiogrodzki nadzwyczaj skromnie wystąpił, oświadczając że w niczem cesarzowi Maxymilianowi przeszkadzać nie chce, i że dopiero wtenczas o koronę polską starać się będzie jeżeli on od niéj odstąpi. Ale kto tylko znał wytrwałość domu austryackiego w przeprowadzaniu powziętych raz myśli, mógł wiedzieć że Maxymilian wszystkie sprężyny poruszy aby tylko celu swego dopiąć, i że od niego nigdy nie odstąpi.

Wyjechała podówczas od pewnéj partyi z Polski delegacya do cesarza, w celu proszenia go aby się znowu o koronę polską starał. Maxymilian czekał na to, bo w obec świata zachowywał zawsze — równie jak jego poprzednicy — tę politykę że go o każdy krok oficyalnie prosić trzeba było. W skutku tego wysłał Maxymilian w końcu kwietnia roku 1575 do Polski Wilhelma Rosenberga, Marcina Gerstmana biskupa Wrocławskiego, i pana de Lipa marszałka Morawii. Tą razą powodziło się cesarzowi we wszystkiem lepiéj niż przed dwoma laty. Dom Zborowskich odpadł wprawdzie — prócz Krzysztofa podczaszego kor.— od cesarza i przeszedł na stronę Batorego; ale za to przechyliła się ku Austryi prawie cała dawniéj francuzka partya. Dwór paryzki niemógł już ani myśleć o koronie polskiéj; ucieczka Henryka skompromitowała go zupełnie; wszyscy odpadali od niego głównie do cesarza, niektórzy do Batorego. Przeciągnięcie prymasa Uchańskiego — interregis Reipublicae — na swą stronę, dodało wiele mocy partyi cesarskiéj; prócz tego miał Maxymilian dla siebie głosy szlachty pruskiéj i wielu miast. Ale było jeszcze w kraju trzecie stronnictwo które Piasta królem mieć chciało; kilku magnatów kierowało tą partyą, szla-

chta stosowała się według nich. Przy małéj dotychczasowéj liczbie stronników Batorego, były właściwie tylko dwie odznaczające się partye: austryacka i piastowska; stały one przeciw sobie niby do walki przygotowane. Siły ich były bardzo różnorodne: po stronie cesarza przy wielkiéj liczbie senatorów bardzo mało szlachty, przeciwnie w partyi piastowskiéj prawie $\frac{2}{3}$ szlachty całéj rzeczypospolitéj. Szczególniejszym przypadkiem gromadziła się prawie cała intelligentna i doktrynerska część szlachty — prócz kilku głównych wyjątków, jak Zamojski, Karnkowski i t. d. — po stronie cesarza, między innemi i Jan Kochanowski.

Agenci Maxymiliana latali ciągle po kraju i napełniali kieszenie — senatorskie i szlacheckie — pieniądzmi cesarskiemi. Jak wszędzie w czasach elekcyjnych tak i w Polsce przesuwały się naówczas wielkie sumy pieniężne z rąk do rąk; przekupstwo odbywało się na wielką skalę; zmazały się niem imiona pierwszych nawet w kraju rodzin [1]). Cesarz nie mało wydał pieniędzy na owe starania, tem bardziéj że Francya, widząc że już korony polskiéj nieosiągnie i że ją prawdopodobnie Maxymilian weźmie, według możności mu tę radość skwasić chciała. Languetus donosi że w czerwcu r. 1575 przybyło na dwór cesarski do Pragi kilku francuzów prosząc cesarza o list *salvi conductus* na 300,000 koron do Polski, i że z tą sprawą wiele wszędzie hałasu narobili. Languetus mniema że ta suma była tylko ufikcyonowaną aby cesarza na większe jeszcze wydatki narazić w razie gdyby, stósownie do zasad dobrego tonu, tę nadzwyczajną sumę jeszcze chciał przewyższyć.

Zapewniwszy sobie różnemi sposobami dość mocną partyę w Polsce, traktował Maxymilian z ościennemi

---

[1]) Między innemi wymieniam Łaskiego wojewodę Sieradzkiego ponieważ familia ta już wygasła.

monarchami w celu uzyskania od nich poparcia dla syna swego Ernesta — podobnie jak przed dwoma laty. Nie wiadomo w jaki sposób sobie Maxymilian zjednał papieża; użył zapewne pośrednictwa Hiszpanii. Że Filip II we wszystkiem austryackiemu domowi pomagał, dowodzi tego następna okoliczność: — gdy się Henryk Valois przed Grzegorzem XIII na biskupów polskich użalał że bezkrólewie proklamowali, chciał papież natychmiast temu zapobiedz. Byłaby to dla Maxymiliana przykra dywersya; wtenczas Filip zapobiegł wszystkiemu przez posła swego w Rzymie. Papież stał naówczas w dwójznacznym stósunku do cesarza; potrzebował go z jednéj strony, bo mówiono naówczas w całym świecie o nadzwyczajnem uzbrajaniu się sułtana, z drugiéj strony nie chciał jeszcze zrywać z Francyą. W tem położeniu chwycił drogę środkową o któréj późniéj wspomnę.

Z książętami niemieckiemi traktował Maxymilian na sejmie regensburskim roku 1575. Sejm ten wypadł bardzo pomyślnie dla cesarza; Maxymilian wymógł na książętach kilka punktów, nieustąpiwszy im tych koncesyj nawet, z powodu których sejm był zwołany. Przez rozdwojenie książąt dopiął cesarz swego celu. Szczególniejszym wypadkiem zgodzili się co do sprawy polskiéj książęta na jedno i przyobiecali jednogłośnie popierać sprawę arcyksięcia Ernesta. Starania swoje o Polskę połączył Maxymilian z innemi negocyacyami w których książęta mieli niby udział. Toczyła się podówczas rzecz o miasta inflanckie które przed kilkunastą laty Polsce w opiekę się oddały. Podczas dwóch bezkrólewiów zajęła Szwecya i w. książe moskiewski większą część tych miast; Polacy nie byli w stanie dać im dostatecznéj obrony. Z dwóch stron parte odwołały się miasta inflanckie do Niemiec jako swéj przedwiecznéj rodzinnéj siedziby, i prosiły sejm Rzeszy o pomoc. Sejm poruczył tę sprawę opiece cesarza. Maxymilian wziął ją na siebie i

wysłał w najbliższym czasie Kobenzel'a de Pronseck, kanclerza arcyksięcia Karola, w poselstwie do Moskwy. Między Wiedniem a Moskwą odbywał się już od jakiegoś czasu ruch dyplomatyczny; treści jego nie znamy,— zapewne Polska i Turcya były przedmiotem tych rozmów. Znaną nam jest dopiero obecna podróż Kobenzel'a do Moskwy w r. 1575 z pisma „Zeitung war den Abgesandten der k. k. Majestät in der Moskau begegnet“ — rodzaj dyaryusza którego manuskrypt znaduje się w archiwum księcia Wolffenbüttel pod nr. 6. Dowiadujemy się ztamtąd że posłowie cesarscy w. księcia o pokój dla miast inflanckich prosili, i co ważniejsza— o zgodzenie się i pomoc przy elekcyi arcyksięcia Ernesta. Iwan Wasilewicz sam wprawdzie od jakiegoś czasu o koronę polską pretendował, i był pewnym że go tą razą nieminie, postawił nawet w ostatnim czasie 90,000 wojska nad granicą litewską. Mimo to traktował Maxymilian z Iwanem, i znalazł go — szczególniejszym trafem — dość łatwym do opuszczenia swych pretensyj. Mówiono wtenczas powszechnie że Maxymilian za uznanie Ernesta królem polskim w. księcia Inflanty przyobiecał. Iwan nie dał posłom cesarskim stanowczéj odpowiedzi, ale przyrzekł posłać w najbliższym czasie deputacyę od siebie do Maxymiliana, któraby jeszcze raz te sprawy pod uwagę wzięła. Poselstwo to odbyło się w następującym roku 1576; — bliższa wiadomość którą o niem mamy dowodzi że owe pogłoski o cesyi Inflant, i zbrojnéj pomocy dla arcyksięcia Ernesta były prawdziwemi.

Zdaje się że Maxymilian już wtenczas przewidywał że na spokojnéj drodze tronu polskiego nie osięgnie, że się ta sprawa bez niejakiego krwi przelewu nie obejdzie. Kogo mógł prosił o pomoc; — jak dawniéj księcia pruskiego i książąt niemieckich, tak teraz Iwana Groźnego. Owa armia 90,000czna mogła mieć potrójne

znaczenie według tego jakby ją w. książe był skierował: ku podbiciu tronu polskiego, czy jako pomoc arcyksięciu Ernestowi, czy też na ostateczne pochłonięcie miast inflanckich. Ale i Maxymilian przemyśliwał o utworzeniu jakiejś armii, i zbierał na to pieniądze. Na sejmie czeskim w Pradze (1575) gdzie Maxymilian wybór syna swego Rudolfa na króla czeskiego przeprowadzał, żądał prócz różnych darów pieniężnych, i podnosił podatki. Politycy ówcześni myśleli nad tem na co Maxymilian ciągle pieniędzy potrzebuje — Languetus pisze że Maxymilian już wtenczas o wojnie z Polską przemyśliwał.

Pilnem okiem każdy ruch w Polsce śledząc nie mógł Maxymilian przeoczyć że ów z początku tak niepozorny i skromnie występujący Batory codzień większą liczbę partyzantów liczył. Trzebą mu było wejść w drogę, — ale bardzo nieznacznie, bo lada wydatniejszy krok mógł wprowadzić cesarza w przykre położenie względem sułtana. Maxymilian niczego się tak nie wystrzegał jak tego, — wojna z Turcyą była mu do tego stopnia nie po myśli że jeżeli się jakiemu urzędnikowi tureckiemu przypadkiem w kraju austryackim jaka niepomylność przytrafiła, on się natychmiast w Konstantynopolu exkuzował, — jak tego tyle mamy dowodów w dzienniku Gerlacha. Wymyślił wtedy Maxymilian środkową drogę, którą postępując Batoremu wiele roboty w Siedmiogrodzie przysporzył, a z sułtanem jawnie nie zerwał: — wiadomo że Stefan nie był jeszcze podówczas ustalonym wojewodą w Siedmiogrodzie, miał jeszcze w kraju wiele nieprzyjaciół, mianowicie między wyższą szlachtą, która sobie prawa rościła do godności którą Stefan piastował. Głową ich był Bekiesz, którego Batory kilka razy już pobił, który jednakże nadziei nigdy nie tracił, i zawsze z nowemi siłami Batoremu się opierał. Tego Bekiesza zaopatrzył Maxymilian w pieniądze i wojsko na

prowadzenie wojny z Stefanem. Wojna wszczęła się na nowo; ale rzecz ta doniosła się do uszów sułtana; wielki Wezyr kilka razy już mówił posłowi cesarskiemu: twój pan chce niby zostać z nami w przyjaźni, a prowadzi wojnę z naszemi przyjaciołmi. Gdy się wojna dłużéj toczyła, pisał Amurat do Maxymiliana żeby Bekieszowi więcéj nie pomagał. Maxymilian odpisał że w sprawie siedmiogrodzkiéj nie ma udziału, lecz między jeńcami z wojska bekieszowego zabranemi widziano w Konstantynopolu bardzo wiele wyższéj szlachty niemieckiéj. Amurat nastawał już wprost na wydanie Bekiesza; wtedy kazał go cesarz schwycić; komisarze cesarscy już mieli go w ręku, ale on im z przed nosa uciekł i do Polski się schronił. Tu znalazł przytułek u Piotra Zborowskiego, wojewody Krakowskiego; Maxymilian znowu żądał wydania, ale Zborowski odpowiedział że Bekiesz jest jego przyjacielem, więc go z tego powodu nikomu nie wyda. Batory rozproszył z łatwością swych przeciwników. Wtedy spróbował jeszcze Maxymilian sposobu przyjaźnego, i wysłał do Batorego posła swego Tiefenbacha, ofiarując mu kilka miast odstępnego, byleby się o koronę polską nie starał. Batory odrzekł posłowi aby się jak najprędzéj oddalił, boby go poselstwo cesarskie w oczach sułtana skompromitować mogło.— W ten sposób skończyły się obie te exkursye na niczem, a Maxymilian obawiał się nadto czy się nie zadaleko posunął, i czy się w obec Porty nie naraził.

Tymczasem zbliżał się 4ty listopad, a z nim dzień elekcyi; — nie wdając się w bliższe szczegóły podaję tylko rezultat. Stronnictwo cesarskie i piastowskie długo z sobą walczyły; ścieranie się to trwało tem dłużéj ile że żaden z proponowanych Polaków nie czuł się godnym czy silnym do objęcia korony. Aby wreszcie stanowczym krokiem celu swego dopiąć, oddaliła się partya cesarska z prymasem na czele nagle z sejmu, i obrała

Maxymiliana królem, — nie przekroczywszy granic elekcyi naznaczonych. Nuncyusz papiezki, kardynał Mondovi zachowywał się z początku neutralnie aby nikogo nie obrazić, potem — w obec owego ruchu — przeszedł stanowczo na stronę cesarską. Przeciwnie poseł francuzki, widząc że już żadnego nie ma widoku dla Henryka III, oddalił się z pola sejmowania aby nie być świadkiem przegranéj swego dworu, oddał jednakże resztę swéj partyi Batoremu w pomoc.— Gdy żaden piast korony przyjąć niechciał obrali przeciwnicy cesarza infantkę Annę królową, a Stefana Batorego jéj mężem. Ta partya miała bezporównania mniéj senatorów niż cesarska, ale dwa razy więcéj szlachty i najpopularniejszych magnatów na przedzie, jakiemi byli: Tęczyński, Kostka, Zamojski i biskup Karnkowski. — W ten sposób powstały dwie elekcye z których każda siebie za prawną, a drugą za nieprawną uważała. W sposób prawniczy nie da się ten spór rozstrzygnąć, bo w tak krótkim czasie od wymarcia Jagiellonów nie miano jeszcze sposobności ułożenia stałego criterium co do osądzania legalności elekcyj. Dawniejszych ustaw i zwyczajów przytaczać nie można było, bo od owego czasu w administracyi kraju nadzwyczaj wiele zmian zaszło. Kardynalną zasadą było niby że ten król tylko jest prawnie obranym który wszystkie głosy za sobą miał; prawo to wykluczało tą razą równie Batorego jak i cesarza. W obecnym razie opierała się partya Batorego na prawach królewny Anny, i na téj okoliczności że przeznaczonego na elekcyą miejsca nie opuściła; przeciwnie zaś nazywano wybór Maxymiliana „electio per secessionem“. Późniejsi historycy jednogłośnie nazwali wybór Stefana prawnym, zapewne z powodu dobrego skutku; tak samo jakby i Maxymiliana prawnym królem nazwali byli gdyby do faktycznego posiadania korony polskiéj był przyszedł.

Niewdając się w dalsze traktowania rozeszły się obie partye; ale partya Batorego była na tyle przezorną, że dla rozważania dalszych wypadków tak zwane „conventum armatum“ do Andrzejowa naznaczyła w połowie lutego w przyszłym roku 1576. Stronnicy cesarscy nic podobnego nie uczynili i pozbawili się w ten sposób, w obec niepewnéj przyszłości, wszelkiego węzła centralizacyjnego. Obie partye przepisały wybranym przez siebie królom warunki elekcyi które zaprzysiądz mieli; prócz tego odesłali Batorszczycy list do cesarza odradzający mu przyjęcie korony polskiéj jako rzeczy która mu się prawnie nie należy, — podobnież uczyniła partya cesarska względem Batorego.

Trzeba mieć zawsze w pamięci że Maxymilian nie dla siebie ale dla syna swego o koronę polską się starał. Ale arcyksiąże bardzo mało miał głosów za sobą - bo wszystkie znaczyły się jego ojcu. Ciekawe są w téj mierze słowa które Mielecki wojewoda Podolski wyrzekł gdy go się późniéj pytano z jakichby powodów był głosował za Maxymilianem, — odrzekł, że dla tego to uczynił aby Polacy z doświadczenia rządy rakuzkie poznali, a na Maxymiliana głosował dla tego aby to doświadczenie nie długo trwało, bo Maxymilian już był w podeszłym wieku.

W najbliższym czasie wyjechało do cesarza poselstwo (Andrzéj Opaliński marszałek w. kor., Sędziwoj, Czarnkowski ref. kor., Stanisław Gostomski i Stanisław Rudzimiński kasztelanowie, i Krzysztof Zborowski podczaszy kor.), aby się z nim o warunkach elekcyi rozmówić; Albert Łaski woj. sieradzki był na czele posłów. Gdy do Wiednia przybyli przyjął ich cesarz nadzwyczaj mile i traktował w randze książąt rzeszy, z powodu prawa wyboru które jedni i drudzy zarówno posiadali. Gdy potem owe warunki rozbierać zaczęto, któreby Maxymilian zaprzysiądź był musiał, nimby mu dy-

plom elekcyi do rąk oddano, pokazało się że przyjęcie korony polskiéj bardzo przez nie utrudnionem było. Był to szereg dość ciężkich warunków w obec których o dziedzicznem osadowieniu się w Polsce ani myśleć można było. Główne punkta były następne: zachowanie wszystkich konstytucyj bez najmniejszego naruszenia, — najbliższe dwa lata przepędzi Maxymilian w Polsce, a jeden rok w Litwie, ponieważ tego uporządkowanie tych podczas dwóch bezkrólewiów w nieład popadłych krajów wymaga, — bez pozwolenia sejmu nie wolno mu z kraju wyjeżdżać, — jak długo żyć będzie nie ma być wymówione ani słowo o następstwie syna, aby wolność przyszłych elekcyj nie była nadwątloną, — w Polsce może się się tylko tytułować Rex P. M. D. Lit., nie dopisując Imp. Rom., — na przypadek wojny w Polsce ma utrzymać 5000 Niemców na własne koszta jako wojsko posiłkowe; natomiast nie wolno mu jest wybierać z Polski żołnierza na swoje wojny, chyba woluntaryusza, — z ościennemi państwami ma być pokój zawarty, — co się tyczy Turcyi ma być Polska wykluczoną z zatargów cesarza z sułtanem; gdyby się jednak temu sułtan sprzeciwiał, wtedy będzie Maxymilian obowiązanym wypowiedzieć Porcie wojnę w jak najprędszym czasie i prowadzić ją wspólnemi polsko-niemieckiemi siłami, — reszta warunków ustanawiała rozmaite wypłaty pieniężne, sprawy urzędnicze, handlowe i t. d. Z tych warunków widać że partya cesarska jakkolwiek do Habsburgów przywiązana, tylko tymczasowego monarchę w domu arcyksiążęcym szukała, nie przystając bynajmniéj na ustalenie się dynastyi w Polsce, — i dlatego też wszyscy za samym cesarzem głosowali. Ale Maxymilian inną miał politykę: przemyśliwał o połączeniu — wcześniéj czy później — Polski z Austryą w ten sposób jak Czechy i Węgry przyłączone były. Dla tego ociągał się, mimo konieczności pośpiechu z przyjęciem

korony polskiéj dla siebie. Przeciwnie wybór Ernesta byłby mimowolnie ustalił dynastyę w Polsce, a z tego mogło się z czasem wyrobić przyłączenie Polski do Austryi. Maxymilian nie przyjmując korony polskiéj dla siebie, użył wszystkich środków aby posłów do wybrania Ernesta nakłonić; ale życzenie to stanowczo odrzuconem zostało. Teraz namyśliwał się cesarz czy przyjąć koronę polską przy owych warunkach, czy nie; i myślał tak długo że Batory przez ten czas do Polski przybył, w Krakowie koronowanym został, i zaślubiny z królewną Anną odbył. Posłowie polscy w Wiedniu prosili cesarza kilkokrotnie o pośpiech; ale Maxymilian niemógł się zdecydować. Wreszcie deklarował że przyjmie owe warunki, i poprzysiągł te pacta conventa w Wiedniu w kościele Augustyanów, poczem mu dyplom elekcyjny do rąk oddano. W chwili przyjęcia dyplomu ostrzegał Maxymiliana ambasador turecki aby korony polskiéj nie tykał, a poselstwo właśnie co do Batorszczyków (kasztelan Lanckoroński i opat Białobrzeski), przybyłe przypominało mu że nieprawnie obranym został. Maxymilian wysłuchał grzecznie kasztelana i opata, ale więcéj na nich nie uważał; przedsięwziął natomiast traktować po raz ostatni z zgromadzonym w Andrzejowie sejmem. Łaski upraszał cesarza na kolanach niemal aby zamiast posłów raczéj wojsko wysłał na poskromienie „buntowników“. Ale Maxymilian chciał pokazać że jest łagodnego charakteru, i wysłał Rosenberga po raz trzeci do Polski. Ten przybył do Andrzejowa, ale go sejmujący do środka nie przypuścili; polecono mu tylko donieść cesarzowi co widział: całą szlachtę po stronie Batorego.

Choć poniewczasie odbyła i partya cesarska sejm w Łowiczu, ale bezskuteczny. Z wrodzoną sobie energią postępował Batory coraz daléj. Liczba przyjaciół cesarskich jakoś ciągle malała; szczególniejsze ociąganie się

Maxymiliana tłómaczyli niektórzy w ten sposób, że może korony nie przyjmie; więc oddziałami całemi przechodzono do Batorego. Jednym z ostatnich był prymas; ale to przejście zadało śmiertelny cios partyi cesarskiéj, która teraz jedyne punkta oparcia tylko gdzieniegdzie jeszcze w Litwie miała, i w Lanckoronie w zamku Łaskiego.

Na tym zeszła większa część r. 1576. Maxymilian wybierał się na sejm do Regensburga, aby z książętami o sprawie polskiéj pomówić i pomoc od nich wyjednać. Historya tego sejmu jest nadzwyczaj ciekawą i ważną; przedstawia z jednéj strony koniec zabiegów Maxymiliana, z drugiéj strony rezultat jego kilkoletnich prac. Najprzód żądał cesarz od elektorów pieniędzy pod tytułem „türkenhilfe"; na to mu odpowiedziano że z Turcyą jest pokój i że już bardzo wiele pieniędzy na wojnę turecką dano, a cesarz jéj przecież nie prowadzi. Potem przeszedł Maxymilian do Polski mówił „że nie z ambicyi ani z żądzy panowania, ale dla ogólnego dobra" o Polskę się starał, że jest prawnie obranym królem tego kraju i że mu tylko pewna część narodu korony odmawia, dlatego trzeba sprawę tę koniecznie mocą poprzeć. Elektorowie dość obojętnie rzecz tę przyjęli, mówiąc, że — co do arcyksięcia Ernesta — obowiązki swoje już wypełnili, jeżeli zaś Polacy mimo ich rekomendacyi Ernesta nie obrali, to oni w téj sprawie nic więcéj czynić nie mogą. Najsilniejszą opozycyę rozwinęli posłowie elektora-palatyna wyraźnie mówiąc: jeżeli z Polską przyjaźń zawrzemy to naród ten będzie nadal przedmurzem chrześciaństwa przeciw Turkom i Moskalom tak jak nim był dotychczas; „gdyby się zaś przemocą kto wziął do nich, łatwoby się mógł tamtędy wstęp Turkom otworzyć", („würde man sich aber mit gewalt dazu nehmen so könnte sich leicht darinnen ein pförtchen den Türken eröffnen"). — Podczas tych dysput przybyło do

Regensburga dwóch posłów z Polski, — z kraju któremu właśnie wojną grożono. Mieli polecenie błagać Maxymiliana aby nie wystawiał na większe jeszcze niebezpieczeństwa tego tyle już skołatanego kraju. Byli to: Dymitr Sulikowski sekretarz dworu (późniéj arcyb. lwowski, znany historyk) i opat Krotoszyński. Obrano umyślnie osoby wyższych urzędów nie piastujące i wysłano ich w imieniu senatu nie zaś Batorego, aby się wybór tego króla nie zdawał jeszcze wątpliwym. Przełożyli oni cesarzowi cel swéj podróży, przypominając że liczba jego partyi w Polsce jest już nader małą, i że krwawą a niebezpieczną dla chrześciaństwa wojnę sprowadzi jeśli przy owych myślach obstawać będzie, — zachęcali nareszcie do poświęcenia prywatnego interesu ogólnemu dobru, jako na głowę chrześciańskiego świata przystoi. Maxymilian odrzekł że inaczéj jest zainformowany co do stanu swéj partyi w Polsce, i że od korony odstąpić nie myśli. Na tem skończyła się audyencya. Posłowie miarkowali że im w powrocie jakieś niebezpieczeństwo grozi, i prosili cesarza o list bezpieczeństwa. Cesarz zaręczył że im się nic nie stanie; lecz o kilka mil od Regensburga napadnięto ich i zawieziono do Lintzu, gdzie ich kilka miesięcy przetrzymano. Przyczyną tego było że i w Polsce pewnego agenta cesarskiego (Kurzbacha) uwięziono, który potajemnie do Gdańska jechał aby to miasto w nieposłuszeństwie przeciw Batoremu utrzymać.

Właśnie gdy Sulikowski i Krotoszyński z Regensburga wyjeżdżali, przybyli tam posłowie moskiewscy od Iwana Groźnego; na czele ich stał kniaź Białozerski i sekretarz państwa Archiboszom Gawryłowicz. Wprowadzono ich przed sejm, ale nie chcieli publicznie mówić i prosili cesarza o tajemną audyencyę. Uzyskali ją bardzo łatwo, i dali, a raczéj odczytali cesarzowi — przy pomocy tłómacza — list od W. Księcia z kompletnym pro-

jektem podziału Polski. Treść tego listu jest następująca: „Na wyraźną prośbę cesarza poleciłem wprawdzie polskiemu narodowi wybrać królem arcyks, Ernesta, ale większa część narodu tego prosiła mnie abym synowi memu koronę polską przyjąć pozwolił; aby więc cesarzowi przysługę zrobić, jest naszem zdaniem aby Ernest ukochany syn naszego mił. brata koronę polską otrzymał; zaś Litwa z Kijowem i przyległemi Rusinami aby się do naszego moskiewskiego rządu dostała; — słyszę że Polacy z polecenia sułtana Stefana Batorego królem obierają, w takim razie trzeba się nam mieć na ostrożności aby ta rzecz Nam obom Panom i reszcie chrześciańskich potentatów na niekorzyść nie wypadła. Dla tego musimy się z W. Mił. porozumieć aby nikt inny królestwo polskie i W. Ks. Lit. nie posiadł, tylko nasi synowie; — zresztą trzebaby się w jak najkrótszym czasie względem wspólnego napadu na Polskę porozumieć; — co się zaś tyczy miast inflantskich, te od wieków do W. Księcia moskiewskiego należały, niech mi cesarz da w tem dowód przyjaźni i niech się w te sprawy więcéj nie mięsza.“ — Przed światem mówiono że posłowie W. Księcia traktat handlowy z cesarzem wyrabiali, i w tem rozumieniu wspominają ówcześni historycy o tych konferencyach. Ale już Thuanus'owi zdawała się ta rzecz wątpliwą, domyśla się on że zapewne jakąś wspólną wojnę przedsiębrano. Maxymilian bardzo łaskawie pożegnał posłów moskiewskich, obdarował ich sowicie i dał list dla Iwana; list ten nie tchnie tą niby serdecznością jakiéj sobie Iwan pozwolił, ale przyjmuje wdzięcznie ofiarowaną sobie przeciw Polsce pomoc. Maxymilian dążył koniecznie do rozpoczęcia wojny; ale umarł pierwéj nim ostatecznie w téj mierze zdecydowano.

W wielu ówczesnych niemieckich kronikach drugiego rzędu rzucona jest myśl że cesarz Maxymilian o Polskę dla tego się starał aby z Turcyą potem sku-

teczniej mógł wojować; — w obec tak wysokiego celu były owe zabiegi nader chrześciańskiem dziełem. Zdaje się że taka była w Niemczech publiczna opinia patryotów-bigotów, bo znajduję tę myśl powtórzoną w dwóch mowach pogrzebowych dla cesarza. W mowie Jana barona a Polheim czytamy następne słowa: „quum vero Imperator conjunctionem Poloniae cum finitimis Christiani Orbis provinciis toti imperio et nomini christiano salutarem et necessariam, ideoque conjunctis imperii viribus retinendam esse judicaret, indictis Imperii comitiis Ratisbonae, in media deliberatione et apparatu belli a Deo evocatus est.“

Niezaprzeczoną jest rzeczą że Maxymilian o zdobyciu Polski przemyśliwał. Wojna z Polską byłaby wielkim politycznym błędem, i byłaby doprowadziła cesarza do przeciwnego właśnie rezultatu niż ten cel który mu przypisywano. Długa i krwawa wojna byłaby się rozwinęła, rezultatu jéj zgadywać nie możemy; ale Turcy byliby się zapewne w to wdali i większe poczynili postępy niż dotychczas, jak to trafnie elektor-palatyn zauważył. Polacy tak samo bili się nadal z Turkami, jakby to byli uczynili pod berłem arcyksięcia Ernesta.

Dla wracającéj co dopiero do ładu Polski wypłynęły jako skutek tych zabiegów dwie krwawe dość wojny: z miastem Gdańskiem i z Iwanem Groźnym. Z obu wyszedł Stefan zwycięzcą.

Jako mniéj u nas znane przytaczam dwa dokumenta: list wierzytelny posłów moskiewskich do Maxymiliana II na sejm regensburgski, i list Iwana Groźnego do tegoż cesarza. Manuskrypta znajdują się w archiwum księcia

Wolffenbüttel pod Nr. 6, w równoczesnem niemieckiem tłómaczeniu, które zapewne do kancelaryi cesarskiéj przygotowano. Oryginał musiał być w języku rosyjskim bo posłowie czytając te listy cesarzowi używali tłómacza. Autentyczność tych dokumentów jest niewątpliwą.

Rzadko który list charakteryzuje tak trafnie swego autora, jak niniejszy Iwana Groźnego. Jest to konglomerat pychy, przechwalania się, hipokryzyi, przebiegłości, podstępu itp. słowem możnaby cały rejestr grzechów z tego listu spisać. Z formy listu widać że Iwan już przeczuwał dzisiejszą rutynę dyplomatyczną; ale zwierzchnia powłoka była jeszcze bardzo nieokrzesaną, i jakby w pewnem duchowem pokrewieństwie z owemi skórkami sobolowemi które Iwan monarchom europejskim w podarunku rozsyłał. Uderza każdego owo poufałe tytułowanie cesarza rzymskiego „swym najdroższym bratem", którego nie każdy król używał, a które w ustach W. Księcia było arrogancyą. Albo czy może być coś równie pociesznego jak to miejsce gdzie się Iwan obawia aby wybór Batorego nie stał się szkodliwym „dla nas obu Panów i dla *reszty* chrześciańskich potentatów". Czytelnicy listu tego stoją mimowolnie pod wrażeniem że Iwan chyba już przewidywał czem kiedyś będą jego następcy.

List wierzytelny posłów moskiewskich.

(Lectum in cons. elect. 20 julii 1576 Ratisponae).

Prawdziwa święta błogosławiona Trójca niechaj da wszystkim poczciwym Chrześcianom którzy w Nią wierzą mądrość, niech zstąpi ku nam z swych wysokich regionów, i niech nas sprowadzi na drogę zbawienia; wtedy My będziemy Twemu ludowi Twoją wolę oznajmiać. Dla tego chwalimy Boga w Trójcy świętéj, i prosimy o łaskę abyśmy to berło Ruskiego Carstwa za-

chować mogli. My W. Car i W. Książę Iwan Wasilewicz wszech Rusi w Monalce, Włodzimierzu, Moskwie i Nowogrodzie, Car Kazański, Car Astrachański, Pan Pleszkowa, W. Książę Smoleński, Twerski, Joharski, Benski, Wiatski, Wulgański i innych państw Pan, W. Książę Nowogrodzki, Żuławski, Czerniechowski, Reżański, Połocki, Rostański, Jarołomijski, Białajserski, Obtarski, Udarski, Kański i całego Sebeńskiego kraju, władzca i dziedzic Inflant i Pan wielu innych krajów — piszemy do Naszego najdroższego i najukochańszego brata Maxymiliana II Cesarza Rzymskiego, króla czeskiego, węgierskiego, Arcyksięcia austryackiego i t. d. także Pana wielu innych krajów.

Posyłamy Naszemu bratu Naszych lichych posłów, naszego sługę i gubernatora w Białemjeziorze, kniazia Zacharyasza Iwanowicza Białozerskiego, i Naszego sekretarza Andrzeja Archiboszom'a. Co więc Nasi posłowie w sprawach naszych powiedzą, temu niech Wasza Miłość wiarę da. — Pisano w Naszym Grodzie, państwie i mieście moskiewskim w r. od stworzenia świata 7,084 w miesiącu styczniu, trzeciéj indykcyi, w 43m Naszego panowania, w 30m Carstwa Ruskiego, w 23m Kazańskiego, w 21m Astrachańskiego.

List Iwana Groźnego do Maxymiliana IIgo.

W. M. przysłała ku nam Jana Kobenzel'a de Pronseck i swego miłego sługę Daniela Prinza którzy nam oznajmili że W. M. z Nami braterską przyjaźń zawrzeć chce; oznajmiamy podobnież najdroż. bratu że i My szczególniejsze mamy pragnienie ku spełnieniu takiego braterskiego połączenia.

Co do propozycyi i życzenia W. M. odpisaliśmy już dawniéj najdroższemu bratu że nic nam nie jest milszego nad to jak żeby Jego ukochany syn arcyksiążę Ernest królem polskim i W. Księciem Litewskim mógł zostać, że będziemy pomagać aby to do skutku przyszło, i okażemy w tem najdrożs. Bratu nasze braterskie przywiązanie póki owo królestwo jeszcze jest bez pana. Gdy się to stanie i W. M. syn koronę polską osiągnie, wtedy zechce najdroższy brat wraz z arcyks. Ernestem skonfederować się i złączyć z Nami przeciw wszystkim Naszym nieprzyjaciołom.

Życzyła też W. M. od Nas, abyśmy Inflanty, które do kraju W. M. należą, opróżnili i wojnę zawiesili, ażby W. M. większi posłowie do Nas na przyjacielską rozmowę i transakcyę przybyli. Jako zaś zawsze pragnęliśmy tak i teraz jest jeszcze Naszem jedynem życzeniem z Naszym ukochanym Bratem w najpoufalszem braterskiem pokrewieństwie, miłości i przyjaźni zostawać, i przeciw wszystkim naszym nieprzyjaciołom połączyć.

Donieśliśmy już przedtem W. M. jako Naszemu najdrożs. Bratu z szczególniejszéj miłości i przyjaźni że senatorowie korony polskiéj i W. Ks. Lit. do Nas swego pisarza Michała Haraburdę przysłali i prosili aby My albo syn Nasz ich Panem być chcieli. Odpowiedzieliśmy im przez ich posłów że dla ich dobra chcemy tem [1]) być, i że królestwo to dla Naszéj osoby przyjmiemy albo syna Naszego do nich wyszlemy. Gdy się to jednak z różnych przyczyn i przeszkód stać nie mogło, i nikogo innego prócz W. M. syna arcyks. Ernesta królem i panem mieć nie chcieli, jest Nam to równie miłą rzeczą jak żeby własnego Naszego syna byli obrali.

Gdyby byli na to przystali, bylibyśmy gotowi samo tylko W. Ks. Lit. przyjąć, nie tykając Polski; i jest

---

[1]) (Ich panem).

jeszcze zawsze Naszem zdaniem aby najdroższego Brata ukochany syn koronę polską otrzymał, zaś Litwa z Kijowem i przyległemi Rusinami do Naszego moskiewskiego rządu się dostały.

Co do Inflant', ponieważ kraj ten od początku Naszym był i My go po naszych przodkach odziedziczyli, uwiadomiliśmy i żądaliśmy od W. M. przez Jéj posłów aby się Nam W. M. w te sprawy niechciała mięszać, prosimy jeszcze i teraz najdroższego Brata aby to dla nas uczynił i tem swéj braterskiéj przyjaźni dowieść chciał.

Wymagali też po Nas posłowie W. M. abyśmy do senatorów korony polskiéj napisali i im przypomnieli aby nikogo innego prócz W. M. syna arcyks. Ernesta królem nie obrali, co — według obietnic W. M. posłów, i Nam ku wielkiemu pożytkowi wypaść miało.

W skutku téj prośby napisaliśmy, z szczególniejszéj miłości którą dla naszego najdroższego Brata mamy, do owych senatorów aby królem w Polsce nikogo innego nie obrali jak tylko syna W. M. — Senatorom W. Ks. Lit. przypomnieliśmy że Nas na pana swego przybrali i że do moskiewskiego państwa przejść chcieli. Wtedy uradzono aby do korony polskiéj i W. Ks. Lit. nikogo prócz Naszego albo W. M. syna nie przypuścić.

Ale ponieważ panowie i szlachta litewska od Polski odłączyć się nie chcą, i jednogłośnie W. M. syna arcyks. Ernesta królem polskim i W. Ks. Litewskim obierają, zgodzę się i na to byleby potem zemną porównanie względem spornych granic uczyniono.

Ale teraz doszło Naszego słuchu, że panowie i szlachta polska między sobą się rozdwoili, ponieważ jedni Nas albo Naszego syna, drudzy zaś na rozkaz sułtana tureckiego, wojewodę siedmiogrodzkiego panem swym obierają. Ponieważ zaś polscy panowie, mimo Naszego napomnienia, Naszego i W. M. syna na drugiem miejscu

postawili, a rzeczonego wojewodę na rozkaz Turka wybrali, byłoby to wielką szkodą dla Nas obu Panów i dla reszty chrześciańskich potentatów, zaś wielkiem wzmocnieniem dla niewiernych pogańskich panów. Dla tego wielki jest czas aby My wraz z W. M. o tem wspólnie pomyśleli i za ręce się wzięli, aby polscy senatorowie wojewodę siedmiogrodzkiego opuścili i nikogo prócz Nas lub W. M. syna do swéj korony nieprzypuścili. Ponieważ zaś tyle na rozkaz sułtana uważają, mogłoby to być — jak powiedziałem — wielkim uszczerbkiem dla Nas i dla wszystkich chrześciańskich potentatów, zaś wielkiem wzniesieniem się dla poganów.

Dla tego trzeba Nam wraz z W. M. Naszym najdroż. Bratem mieć baczność, aby nikt inny korony polskiéj i W. Ks. Litewskiego nie posiadł prócz Naszych synów. A gdy z W. M. stałe połączenie i poczciwe pokrewieństwo spełnimy, podobnież z arcyks. Ernestem gdy koronę polską osiągnie, staniemy przeciw wszystkim Naszym nieprzyjaciołom jako jeden mąż.

O tych i o innych sprawach rozmawiał według Naszego zlecenia Nasz radca i wojewoda twerski Mykita Romanowicz z posłami W. M. chciał też stósownie do Naszego rozkazu coś pewnego zadecydować, abyśmy koronę polską i W. Ks. Litewskie — ponieważ ani Nas ani W. M. syna Panem mieć nie chcą, — wojenną siłą napadli i to państwo przemocą zwyciężyli; chcieliśmy też z niemi rozmówić się względem środków przez któreby to uskutecznić można. Ale posłowie W. M. odpowiedzieli Naszym radcom że nie mają rozkazu o tem traktować, i dla tego w tę sprawę nie mogli się zapuścić.

Niech więc W. M. wyszle ku Nam swych większych posłów z dostatecznem pełnomocnictwem traktowania tych ważnych spraw i do spełnienia Naszego braterskiego pojednania. Prosiemy też W. M. Naszym posłom,

gdy ich wysłucha, na to odpowiedzieć, a swych większych posłów zaraz z niemi jak najprędzéj wysłać.

Gdy najdroższego Brata posłowie do nas przybędą, rozważymy z niemi dobrze wszystkie te sprawy w przyjacielskiéj transakcyi. Z któremi chrześciańskiemi monarchami Nasz najdroższy Brat w dobrem zostaje pokrewieństwie, z temi chcemy i My przeciw Naszym wrogom połączyć się. Dla tego prosimy W. M. wystarać się o to aby wraz z Jéj posłami i inni chrześciańscy monarchowie swoich posłów ku nam odprawili, abyśmy i z Niemi dobrą przyjaźń zawarli i przeciw wszystkim Naszym nieprzyjaciołom konfederacyą i połączenie sprawili.

Pamiętajmyż więc o tem aby wszyscy chrześciańscy panowie i monarchowie, państwa i kraje, w dobréj zgodzie i spokoju przeciw wszystkim nieprzyjaciołom zachowani byli.

Tadeusz Wojciechowski.

ZAŚLUBINY ŚWIĘTEJ KATARZYNY.

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 7.)

Otoć wam wybrani radości wiele —
Panu dana za się niech będzie Chwała
Iż nam Barankowe przyszło wesele,
A małżonka Jego się zgotowała!

HARMONIE NIEBIESKIE.

W Jeruzalemie, na Górnym Syonie,
Gród Pański krzakiem gorejącym płonie.
W Aaronowéj różczce wykwitnięta,
Z śród śnieżnéj lilii kielicha,
Wschodząc jutrzenka niebieskiego święta,
Marya się wdzięcznie uśmiecha.
Ujęte pasem z siedmiobarwnéj tęczy,
Dwie szaty wieją wkoło niéj:
Jedna się słońcem zachodzącem płoni,
Druga błękitem się wdzięczy.

ZBÓR MŁODZIANKÓW.

Spieszny o! śpieszny chłopięta!
Oto wam krańce zasłony!
I z téj i z tamtéj niech strony
Zarówno będzie ujęta!
Płynie jak obłok szata przebiała.
Najświętsza Matka sama ją tkała,
Dziergając strzałką świetlaną —
Wątkiem był bisior bielszy nad śniegi,
Słońce jéj jasne złociło brzegi,
W rzece ją mlecznéj nurzano.

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 8.)

Zaczem dano dziéwie by się przyodziała
Bisior czysty jako dnia promienie,
Bowiem bisior świetny, bowiem szata biała,
Jestto świętych usprawiedliwienie.

ARCHANIOŁ GABRYEL.

(Mat. XXV.)

Wy dziew pięcioro, którym na gody
Przezorna starczy oliwa,
Zapalcie lampy wasze! Pan Młody
Z Oblubienicą przybywa.

ZBÓR MĘCZENNIKÓW.

Pan idzie! Pan się przybliża!
My którym dano koronę,
Palmy krwią naszą skropione
Ścielmy do stóp Jego krzyża!

Błogosławiony iż lud swój wiedzie
Jasnym na puszczy obłokiem!
Pokój na ziemi doczesnéj biedzie!
Chwała na Niebie wysokiem!

ZBÓR WYZNAWCÓW.

(Łuk. XXX. 40.)

Hosanna Tobie Panie
Z ust naszych! — bo jeżeli
Będziemy my milczeli,
Z kamieni głos powstanie.

ZBÓR ŚWIĘTYCH DZIEWIC.

O piękna, czysta, wdzięczna nie mało
W któréj się Panu upodobało,
Lilia doliny, Saronu róża!
Przemożny dworzec Pański na skale!
Jeruzalema zdobna wspaniale,
W któréj się nigdy dzień nie zachmurza!

HARMONIE NIEBIESKIE.

Pan, oblubieniec, Pan idzie...
Dawidzie królu pieśniarzy,
Pieśniarzu królów Dawidzie,
Duch twój niech w pieśń się rozgwarzy!
Niech pierś ci wzbierze mocą natchnioną,
Palce niech w struny uderzą —
Jako gdy niegdyś Arkę niesiono,
Tańcem wesołe prowadząc grono
Śpiewałeś Panu pieśń *świeżą!*

ZBÓR WYBRANYCH.

My za nim pieśniarze na wspólne śpiewanie:
Prorocy i wieszcze, niebiescy Dworzanie —
I wszelkie gędziebne narzędzie,
I kotły, i brzmiący krzyk trąb lśniących świetnie,
I arfy, i liry, i lutnie, i fletnie,
I skrzypiec tęschnienia łabędzie.
Pieśń śpiewną i graną, i pieśń żywe słowo —
Jako z czem kto przychodzi,
Cecylio Dziewico, harmonii królowo,
Wśród dźwięków złącz powodzi!

ZBÓR MĘDRCÓW PAŃSKICH.

Siedm jest złotych nieb, siedm w przymierza tęczy
Barw jest, dźwięków siedm w mowie pańskiéj dźwięczy,
Skrzy siedm gwiazd Mu w ręku wskróś przebitem.
Siedm pieczęci Pańskich strzeże bram otchłani,
Kędy siedmią gniewów, razy siedm spętani,
Wśród klęsk siarki, w pośród dymu chmur, szatani
Armageddon wspominają z zgrzytem...

ARCHANIOŁ MICHAŁ.

(Apok. XII. 7.)

Runął świat, gdzie klęski z klęsk się mnożą,
Z chmur duch światła wzlata.

ZBÓR MĘDRCÓW PAŃSKICH.

Pan ślubuje sobie mądrość Bożą,
Męczennicę świata...

ARCHANIOŁ RAFAEL.

Nad wybranymi, nad dwunastą,
Płomienne języki zgaście —
Bo oto Syon, święte miasto,
Swych bram otwiera dwanaście!

ŚWIĘTY KOŚCIÓŁ POWSZECHNY.

(Marek XIV. 58).

Zbór po lewicy.

W trzech dniach Pan dobry pasterz swéj owczarnie,
Przybytek wzniósł królowania,
Ramiony krzyża wszystek świat on garnie,
Ran pięciu murem obrania.

Zbór po prawicy.

(Jan X. 2. 3.)

I wchodzi do nas jawnie jak widzicie,
Nie z inąd tylko od bramy.
I każde z nas nazywa mianowicie,
I my słów Jego słuchamy.

Razem.

Jakoś się nam wielmożyć dał w pokorze,
Tak w Twym kościele — w nas — racz Ojcze Boże
Wielbić Imię Twoje...

OJCIEC WSZECHMOGĄCY.

(Jan XII. 28.)

Wielbiłem
I wielbić będę jeszcze...

ZBÓR UCZNIÓW PAŃSKICH.

Na twarz! Skroń nasza niech się brata z pyłem!
Zkąd nam te święte dreszcze?!
Czem był ten głos, co nas wskróś trwoży?
Zkąd wyszedł odgadnąć któż zdoła!
Byłci to głos prawicy Bożéj,
Czy słowa Pańskiego Anioła?!!

HARMONIE NIEBIESKIE.

Objęło wszystkich ciszy tchnienie tajemnicze—
Przed blaskiem czoła nawet schylili Anieli...
Któż się głos wznieść ośmieli?
Kto z prochu podnieść oblicze?
Janie!
O czem ty dumasz w téj chwili?...
Wtedy gdy drudzy czoła schylili,
Ty stoisz nieprzerwanie,
I jako orzeł przedziwnie śmiały,
Sam jeden wzrok twój tkwisz w słońcu chwały.
Ocknij się Orle Boży!
Widzący nasz,
Ty masz i znasz,
Nam tylko słuchać świętego męża, —
Powiedz nam, czem się wzrok twój wytęża?
Przed czem się duch nasz w proch znów ukorzy?
Wszakżeś ty z piersi Pańskiéj przejął tchnienie, (Jan XIII. 23).
I Pan ci kazał czekać nieskończenie. (Jan XXI. 22).

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 9).

Błogosławieni goście téj wieczerzy,
Gdyż chęć ich pańska tam wiodła.
Słowa te Boże, niech Im każdy wierzy,
Prawdy w nich żywe są źródła.

(Apokal. XXI. 6) (XXII. 13.)

Strzeżcie ich wielce, jak ich Pan przestrzega:
Stało się! Jam jest Alpha i Omega,
Ja spragnionemu dam (są słowa Jego)
Pić w źródle wody żyjącem...
(Słowa te orły niech się w świat rozbiegą,
Jam jest — Pan mówi — alphą i omegą,)
Jam jest początkiem i końcem.

LUTNISTA NA ZIEMI.

Świat — dzień — błękit i promienie...
Co? czy już — czy jeszcze?
Myślę, tęsknię nieskończenie —
Senli te był przypomnienie,
Czy widzenie wieszcze?

O! racz dać wcielenie słowa,
Jasności skrzydlata,
Niech mię w swéj opiece chowa,
Wybranica Barankowa,
Męczennica świata.

Bo w niéj zdrój mądrości Bożéj,
Jako ona czysty.
Niech, gdy mi go Pan otworzy,
Krople Łaski, co najsporzéj
Spłyną w pierś Lutnisty.

Czy z niéj w pieśń, czy w łzy popłyną,
Blisko czy daleko,
Panno święta Katarzyno,
Ty na ziemi bądź jedyną,
Lutnisty opieką!

Miarkuj każdy lot mój śmiały,
Tęschnem piersi tchnieniem,
Daj mym pieśniom, by się stały,
Na pociechę Pańskiéj chwały,
Duszy méj zbawieniem.

FELICYAN FALEŃSKI.

W. SZEKSPIRA
ŻYCIE I ŚMIERĆ RYSZARDA IIIgo.
DRAMAT HISTORYCZNY.

PRZEKŁAD RYMOWY

JÓZEFA SZUJSKIEGO.

AKT PIERWSZY PRZEKŁADU [1].

OSOBY:

Ryszard, książę Glostru, brat króla Edwarda IV.
Książę Klarense, drugi brat króla Edwarda.
Hastings, lord Szambelan, *Stanley*, } z partyi przeciwnéj królowéj Elżbiecie.
Dorset, *Rivers*, *Grey*, } stronnicy królowéj Elżbiety.
Książę Buckingham.
Królowa Elżbieta, żona Edwarda IV.
Lady Anna, wdowa po Edwardzie księciu Walii, synu Henryka VI.
Królowa Małgorzata, wdowa po Henryku VI.
Brakenbury, oficer służbowy, dwaj morderce najemni — Służba.

Scena w Londynie.

---

[1]) Patrz na notatkę historyczną umieszczoną na końcu przekładu.

SCENA I.

Ulica w Londynie.

GLOSTER (*wchodzi*).

Tak więc domowych burz zamieć zimową
W promienne lato zmienia Yorku słońce
I w głębie morza leci chmur tysiące
Co nam piorunne wisiały nad głową.
Skroń naszą wawrzyn zwycięzki oplata
W festonach trofej błyszczy broń szczerbata,
Hasła wojenne zajął głos zabawy,
Muzyka tańców marsz zgłuszyła krwawy.
Ponuréj wojny pomarszczone czoło
Wyłagodniało jak dziewica jaka
A miast dzikiego dosiadać rumaka
I strach nieść blady w drżące wrogów koło;
W niewieścich komnat ucieka zamknięcie
Aby w takt lutni kręcić się na pięcie.
Lecz ja niezrodzon do igraszki takiéj,
Ja, co przestraszam kochanków zwierciadła,
Com zbyt obrany z wdzięczności wszelakiéj
By mi lubieżna nimfa w uścisk padła.
Ja pokrzywiony, zgięty w kształt widziadła
Upośledzony w rysach od natury,
Potwór co zawczas ujrzał światło słońca,
Kulawy, skurczon od końca do końca
Że psy szczekają, gdy mnie ujrzy który...
Ona nie dla mnie ta zabawy chwila!
Dla mnie zabawą — patrzeć jako słońce
Postać mą straszną na ziemię przechyla
I pisze na niéj kształty me rażące.

Więc gdy niemogę, jak kochanek czuły
Dni tych snuć zwolna, by się pięknie snuły.
To jako zbrodniarz czas ten długi spłoszę
I znienawidzę ich marne rozkosze.
Intrygi knułem, podwodziłem zdradnie
Snami, wieszczbami, pamfletów obłudą
I czekam jeno, jak między mych braci
Króla i księcia grot niezgody padnie.
A jeśli Edward jest tak sprawiedliwym
Tak ja podstępnym, obłudnym, fałszywym,
To dzień ten będzie dniem Klarensa śmierci
Podług proroctwa, że to G. kolcami
Synom Edwarda do serca się wwierci.
Milczcie me myśli. W przepaść duszy z wami!
Brat Klarens idzie.

(*Wchodzi Klarens pod strażą i Brakenbury*).

GLOSTER.

Bracie, Pan Bóg z tobą
Cóż ta straż znaczy, którą wiedziesz z sobą?

KLARENS

Król miłościwy, troszcząc się usilnie
O moją całość, strzedz mię kazał pilnie
I pod tą strażą do Towru prowadzić.

GLOSTER.

Za cóż?

KLARENS.

Bo noszę Georgiusa miano.

GLOSTER.

Więc trzeba było chrzestnych ojców wsadzić.

Król pan zapewne powziął pomysł świeży
Aby cię ochrzcić po raz drugi w wieży.
Ale mój bracie, o cóż chodzi przecie?

KLARENS.

Ba! żebym wiedział! Na wszystko na świecie
Klnę się że niewiem. Lecz o ile wnoszę
Król pan się wieszczbom oddaje potroszę,
Snom wierzy nocnym, rozmawia z wróżami
A że mu rzekli, iż między głoskami
G. jego rodu mordem się okrwawi
A moje imię się od G. zaczyna
Więc myśli, że to moje G. się wsławi.
Toć cała mego więzienia przyczyna.

GLOSTER.

Tak bywa, kiedy władają kobiety
Nie on, nie Edward do Towru cię wpycha
To czyn królowéj, Lady Grey ukryty,
Ona go drażni, że gniewem oddycha,
Któż lorda Hastings zamknął w Towru murach
Jeśli nie ona i ten król w ornacie
Brat jéj, co wszystko w swych trzyma pazurach.
Niepewni siebie jesteśmy mój bracie.

KLARENS.

Któż dzisiaj pewny! Chyba ci na czacie
Miłostek króla stojący paziowie
Co gonią nocą przez miasto, jak mrowie.
Czyli słyszałeś z jaką układnością
Lord Hastings u niéj żebrał za wolnością?

GLOSTER.

Wiem. Kornie boskość jéj czcząc, jak należy
Lord pokojowiec wylazł z Towru wieży.

A jeśli dobréj chcesz zasiągnąć rady
Bracie mój miły idź w Hastingsa ślady,
Bądź jéj rycerzem, weź barwy téj damy
Odkąd ją z ową podstarzałą wdową
Brat ubrał w szlachty koronę laurową,
Głosu ich wszyscy pokornie słuchamy.

BRAKENBURY (*przerywając*).

Raczą przebaczyć Wasze Wysokości
Król pan w instrukcyi swéj mi zapowiadał
By, jakiejkolwiek byłby dostojności
Nikt z jego bratem ubocznie niegadał.

GLOSTER.

Rzecz najsłuszniejsza! Mój panie, jeżeli
Raczycie udział brać w naszéj rozmowie,
Szczęśliwi będziem! Będziecie słyszeli
Jak zdrady stanu w żadnem niema słowie.
Mówim, że król pan mądry i cnotliwy
Królowa piękna, młoda bez zazdrości,
Wdowa po Shor'em wzór doskonałości
Ma piękną nóżkę i głosik pieściwy.
Mówim nareszcie, że krewnych królowéj
Słusznie otoczył blask powagi nowy.
Czy waszmość prawdzie słów moich zaprzeczy?

BRAKENBURY.

Mnie się niemieszać, lordzie w takie rzeczy.

GLOSTER.

Nic się niemieszać, do pani Shór! Dziwa!
Dziwa mi mówisz! Wszak i on się w niczem
Niemiesza do niéj — chyba w takiéj sprawie
Co się najchętniéj po cichu odbywa.

BRAKENBURY.

Cóż za on?

GLOSTER.

Mąż jéj. Łapiesz mnie łaskawie!

BRAKENBURY.

Przebacz mój książę funkcyom urzędniczym
Że po raz drugi dyskurs przerwać muszę.

KLARENS.

Wiem, coś powinien i milczę.

GLOSTER.

Ja w skrusze
Znając królowéj nieprzyjazne chęci
Zamykam usta! Bądź zdrów miły bracie,
Idę do króla, a cokolwiek dacie
Mi za zlecenie wypełnię najświęciéj,
Choćby mi przyszło dla wolności waszéj
Siostrą nazywać wdówkę Edwardową,
Bo bardziéj, niźli wyrzec może słowo
Niesnaska braci, smuci mnie i straszy.

KLARENS.

Żadnego z braci cieszyć to niemoże.

GLOSTER.

Nie — to niepotrwa. Ja starań dołożę
Uwolnię ciebie lub zastąpię w wieży
Miejże cierpliwość. (*ściska go*).

KLARENS.

Ha! mieć ją należy.

(*Odchodzi Klarens, Brakenbury i straż*):

GLOSTER.

Idź, idź tą drogą, człeku czcy, dziecinny
Którą twe stopy wracać niepowinny.
Ja cię tak kocham, że cię w krótkiéj chwili
Poszlę do nieba, byle nie gardzili
Anieli nieba darem dłoni mojéj.
Ach! otóż Hastings z więziennych podwoi.

(*Wchodzi lord Hastings*).

HASTINGS.

Dzień dobry memu łaskawemu księciu.

GLOSTER.

Lepszy bez chyby, dla was szambelanie
Gdy was powitał po długiem zamknięciu:
Jakżeście wolność odzyskali, panie?

HASTINGS.

Byłem cierpliwy, boć to więźnia cnota
Lecz jeźli Pan Bóg dozwoli żywota
To podziękuję tym, co mnie więzili.

GLOSTER.

O bardzo wierzę — i Klarens tak myśli
Bo ci, co jemu i wam na kark wyszli
Obu was razem przyjaciołmi byli.

HASTINGS.

Smutna gdy orły biją w klatki ściany
A na wolności osły i barany.

GLOSTER.

Cóż tam nowego?

HASTINGS.

Dobrego nic niema
Króla choroba, melancholia trzyma,
Doktorzy wątpią w zdrowia polepszenie...

GLOSTER.

To źle zaprawdę — lecz gorszem wspomnienie
Że król Jegomość siły swoje strawił
Na wielu rzeczach, któremi się bawił
Jak nieprzystało królowi, niestety!
A teraz zgubnéj chwycił się dyjety.
Więc król pan w łóżku?

HASTINGS.

W łóżku!

GLOSTER.

O żałobo...
Idź naprzód, panie — ja przyjdę za tobą.
(Hastings odchodzi).
On umrze, myślę — umrzeć mu nietrzeba
Aż Klarens czwałem doleci do nieba.
Muszę więc dzielnych argumentów stalą
Żary podniecić, co Klarensa spalą;
Zwiększyć nienawiść, a jeżli z téj matni
Wyjdę zwycięzko, toć ten dzień ostatni
Będzie, co blade oświeca mu skronie.
Wtenczas, niech sobie król spocznie na łonie
Abrahamowem a mnie świat zostawi
Na którym Ryszard Gloster się pobawi.
Bo ja się z córką Warwika ożenię...
Męża jéj i jéj rodzica zabójca
Muszę jéj godne dać wynagrodzenie:
Będę za męża — i będę za ojca.

O miłość mniejsza, mam tajne zamysły
Które od tego małżeństwa zawisły.
Ależ ja łapię ryby przed niewodem [2])
Klarens brat żyje, król rządzi narodem:
Kiedy obydwa siedzieć będą w niebie
Wtedy Ryszardzie, wtedy czas na ciebie.

SCENA II.

Inna ulica w Londynie.

(*Wnoszą ciało Henryka VI w trumnie otwartéj—halebardnicy otaczają ciało—Lady Anna w żałobie*).

ANNA.

Złóżcie na ziemi ciężar pełny cześci
Tę trumnę chwały razem i boleści:
Niechaj nad drzewem Lankastru podciętem
Przedwcześnie, winnym zawiodę lamentem.
Postaci króla, co druchem Aniołów
Z Lankastrowego domu garść popiołów,
Szczątku wybladły krwi królów przedrogiéj!
Godzi ż się Annie, by cię z ciszy błogiéj
Wywoływała płaczem biednéj wdowy,
Któréj taż sama świętokradzka ręka
Wzięła blask żony i chlubę synowéj!
Ha! niech nieszczęsny balsam téj żrenicy
Skropi te oczy w których zgasło życie!
Przeklęta dłoń ta, co do téj trumnicy
Wepchnęła ciebie, przeklęte to bicie
Serca, co biło, gdy dłoń mordowała,
Przeklęta krew ta, co tę krew wylała.
Niech los straszliwszy ten potwór obali
Niżli ten nawet, co mnie dzisiaj pali

Niech go zdruzgocze okrutnéj, niż żmiję
Niżli najbrzydszy z potworów, co żyje
Jeżeli dziecię żona mu urodzi
Niechaj poczwarą przedwcześnie przychodzi
Na światło dzienne i postacią krzywą
Niechaj przestraszy matkę nieszczęśliwą
A z wszystkich bogactw, które ojciec liczy
Niech tylko jego nieszczęścia dziedziczy.
Jeżeli młodą małżonkę posiędzie
Niech jego strata straszliwszą jéj będzie
Niżli ta nawet co mnie dzisiaj gniecie
Strata wszystkiego, com miała na świecie!
Pójdźcie, na barki weźcie ciężar święty
Złożym go w Czertsey grobowisku starem
A gdy zmęczycie się drogim ciężarem
Stańcie, bym nowe zaczęła lamenty.

(*Ruszającemu pochodowi zachodzi drogę Gloster*).

GLOSTER.

Stać! złożyć trupa.

ANNA.

Któryż Mag szatański
Czarta wywołał, by zmącić porządek
Tego obrządku.

GLOSTER.

Przerwać mi obrządek.
Złożyć mi trupa! bo się na krzyż pański
Klnę że świeżego położę.

HALEBARDNIK.

Odejdź Milordzie, pochód przejść niemoże.

GLOSTER.

Psie nieposłuszny, stój! kiedy ci każę
Spuść berdysz łotrze, bo się krwią twą zmażę
A krwi niechciałbym przelewać żebraczéj.

ANNA.

Cóż to? Wy drżycie. Cóż ta trwoga znaczy?
Niestety! gromić was za to niemogę
Wyście śmiertelni a czart wszedł wam w drogę,
A oczom ludzkim wzrok czarta za srogi.
Straszliwy sługo piekła! precz mi z drogi!
Nad ciały tylko twe dzierżysz władanie
Dusza nietwoja! Precz z drogi, szatanie.

GLOSTER.

O piękna święta! Nie tobie przekleństwa;

ANNA.

Podły szatanie! Niemąć nabożeństwa!
Tyś piękną ziemię w czarne piekło zmienił
Tyś ją przekleństwem i jękiem zaplenił!
Jeźli paść oczy lubisz tym widokiem
Spojrzyj przed siebie! czyn twój przed twem okiem
Patrzcie! o! patrzcie! umarłego rany [3]).
Wargi otwarły i krwią świeżą cieką!
Zblednij potworze! czarcie niesłychany!
To twa przytomność oddziera ich wieko
Że zbladłe czasem, wysączone do dna
Znów się otwarły, jak paszcz, zemsty głodna.
Czyn twój natury deptający prawa
Wzbudza naturę, że krwi struga krwawa
Przeciw jéj prawom wytryska na nowo.
Boże! coś stworzył krew, tę krew różową
Pomścij się za nią!

Ziemio! co pijesz krew, tę krew różową
Pomścij się za nią!
Niebo ty gromem uderz w jego skronie!
Ziemio! ty otchłań otwórz w twojem łonie,
Pożréj go ziemio, jak'eś krew tę piła
Którą piekielna jego dłoń sączyła.

GLOSTER.

Lady znać nieznasz przepisów miłości
Co za złe, dobrem odpłaca w pokorze.

ANNA.

Podły, ty nieznasz, co są prawa Boże,
Zwierze zna litość, ty nieznasz litości.

GLOSTER.

Więc nienależę też do zwierząt koła.

ANNA.

Cudo! gdy szatan raz rzec prawdę zdoła.

GLOSTER.

Cud większy pewnie, kiedy się Anioła
Tak w gniewie widzi. Boski niewiast wzorze
Pozwól, niech z zbrodni, które mu zarzucasz
Korny twój sługa oczyścić się może.

ANNA.

Ty raczéj pozwól mężczyzny potworze
Aby te zbrodnie, które zna świat cały
Strumieniem przekleństw się na ciebie zlały.

GLOSTER.

Piękniejsza, niźli język mój wypowie
Daj tłumaczenia czas wielbicielowi.

ANNA.

Podlejszy, niżby myśl czyja pojęła,
Wiesz sam, żeś stryczka wart za swoje dzieła.

GLOSTER.

Rozpacz twa taką bliską mego serca:
Ledwie niemyślę, że to ja morderca.

ANNA.

Myśl, myśl potworze a w skrusze powinnéj
Zmyj we krwi winnéj zgubę krwi niewinnéj!

GLOSTER.

Jam ich niezabił.

ANNA.

Więc żyją.

GLOSTER.

Nie! zmarli
Inni im życie, a nie ja, wydarli.

ANNA.

Kłamiesz! królowa sama, Małgorzata
Widziała dłoń twą, w krwi zbroczoną fali,
Tę dłoń, co na nią podniosła miecz kata,
Że ją zaledwie bracia powstrzymali.

GLOSTER.

Jéj język w tedy krew moją zepsował,
Gdy na skroń czystą mordy mi ładował.

ANNA.

Nie! duch krwiożerczy uniósł cię potworze
Co tylko myśleć o morderstwach może.
Więceś niezabił króla?

GLOSTER.

Słowem ręczy
Gloster.

ANNA.

Ręczysz mi?! Tak niech mi zaręczy
Pan Bóg, że skarze cię za czyn straszliwy.
Och! on był dobry, łagodny, cnotliwy.

GLOSTER.

Tem stosowniejszy też dla króla nieba.

ANNA.

Tak! on w niebiesiech, które nie dla ciebie.

GLOSTER.

Tem więcéj zatem dziękować mi trzeba;
Nie był dla ziemi, stósowniéj mu w niebie.

ANNA.

Dla ciebie piekło jest najstósowniejsze.

GLOSTER.

I jeszcze jedno miejsce.

ANNA.

Więzienie ciemniejsze
Nawet od piekła.

GLOSTER.

Twa sypialnia, pani.

ANNA.

Tam gdzie ty sypiasz, sypia duch otchłani.

GLOSTER.

I będzie sypiać, gdy będziez mą żoną.

ANNA.

I ja tak myślę.

GLOSTER.

Ja wiem, że tak będzie.
Lecz, by w dowcipów wstrzymać się zapędzie
I prostą mową rozmówić się z tobą
Powiedz mi, czyli ten, który był sprawcą
Śmierci tych ludzi, gdy ja wykonawcą
Nie jest tysiąckroć winniejszą osobą.

ANNA.

Tyś był przyczyną obrzydłą i katem.

GLOSTER

Nie! Piękność twoja, wstrząsająca światem
Piękność, co ze snu mego mnie wyrwała,
Ta piękność świat mi mordować kazała,
By jedną chwilę spędzić w twojem łonie.

ANNA.

Gdybym wierzyła, co mówisz poczwaro,
Ostrym paznogciem zorałabym skronie
By twarz mą brzydką uczynić i starą.

GLOSTER.

Nie! tego moje niezniosłyby oczy
Niedałbym słońcu, gasnąć w obec siebie,
Tyś jest tem słońcem, co na jasnem niebie
Promienie życia po wszem świecie toczy.

ANNA.

Dniem niech noc czarna, śmierć życiem ci będzie

GLOSTER.

Nieprzeklnij siebie, tyś dniem i żywotem.

ANNA.

Chciałabym być nim, by cię dręczyć wszędzie.

GLOSTER.

Niewdzięczną jesteś, by przekleństwa grotem
Nagradzać miłość, którą budzisz we mnie.

ANNA.

Słuszną ja jestem, przeklinając tego
Który mi męża odebrał nikczemnie.

GLOSTER.

Zabrał ci męża, chcąc ci dać lepszego.

ANNA.

Lepszego serce na ziemi nietętni.

GLOSTER.

Żyje ten, który kocha cię namiętniéj.

ANNA.

Mów, jak się zowie?

GLOSTER.

Z Plantażnetów domu.

ANNA.

To on.

GLOSTER.

Plantażnet, lecz lepszych przymiotów.

ANNA.

Mów! gdzie przebywa!

GLOSTER.

Ja — na męża gotów (*Anna pluje mu w twarz*)
Ty plujesz na mnie?!

ANNA.

O gdyby jad sromu,
Jad mojéj zemsty był w mojéj plwocinie.

GLOSTER.

Z tak pięknych żródeł trucizna niepłynie.

ANNA.

Nigdy jad w potwór straszniejszy niegodzi
Precz! twa przytomność moim oczom szkodzi.

GLOSTER.

A twoje oczy memu sercu szkodzą.

ANNA.

Czemuż nie mają bazyliszka siły?!

GLOSTER.

Czemuż nie mają?! Raz by mnie zabiły,
Gdy stokroć śmiercią mordują mnie żywą.
Ha! twoje oczy! twe oczy wywodzą
Z mych suchych żrenic słonych łez otchłanie
Nad moją dolą, dolą nieszczęśliwą.
Oczy me straszne, w których nie powstanie

Nigdy łza skruchy, nigdy łza cierpienia
Co niepłakały, gdy nakształt strumienia
Lał łzy mój ojciec nad Rutlanda losem.
Którego mieczem blady Klifford spłatał:
Co niepłakały, kiedy opowiadał
Ojciec twój dzielny śmierć mego rodzica
Płacząc co chwila — przerywanym głosem
Że żadna suchą niebyła źrenica
Że wszyscy, jako drzewa deszczem zlane
Od łez kapali: te oczy kościane
Gardziły wtenczas łez mężkich pokorą
Niechciały płakać nad bólem bez końca,
A dziś — twe wdzięki tyle łez im biorą
Że coraz słabiéj widzą światło słońca.
Nigdym ust złożyć błagalnie nieumiał
Język łagodnych dźwięków nierozumiał
A twoja piękność dziś serce me harde
Zmusza, że znosi twych spojrzeń pogadę.
Że się w błagania roztapia pożarze
I moim słowom zjedwabić się każe.

(*Anna mierzy go pogardliwem wzrokiem*).

Niewzdymaj wargi wzgardą — lady moja
Do pocałunku są twych ust korale
A nie do wzgardy. Jeźli dusza twoja
Mściwa już niezna przebaczenia wcale
Ha! oto miecz mój! weź do pięknéj dłoni
Puść duszę w wiecznéj zgrążoną żałobie
A dozwól tylko, niech patrząc ku tobie
Ryszard ostatnie swe tchnienie uroni!

(*Anna bierze miecz — i wacha się*).

Pocóż się wachasz — jam zabił Henryka
Lecz twoja piękność była mordu winą...
Pocóż się wachasz, jam zabił Edwarda
Aleś ty była zabójstwa przyczyną.

(*Anna upuszcza miecz*).

Weź miecz do ręki — lub weź mnie całego.

ANNA.

Wstań obłudniku — chcę zgonu twojego
Lecz sama niechcę być mordu sprawczynią.

GLOSTER (*podnosząc miecz*).

Każ — moje własne ręce to uczynią.

ANNA.

Przystaję na to.

GLOSTER.

Ha! to w zaciekłości
Wyrzekłaś tylko. Powtórz twe rozkazy
A miecz co miłość zabił dla miłości
W silniejszą miłość z miłości uderzy
A ty s; rawczynią będziesz oba razy.

ANNA.

Chciałabym wiedzieć, co w twem sercu leży.

GLOSTER.

Co na języku.

ANNA.

A więc kłamstwo pono.

GLOSTER.

To niema prawdy.

ANNA.

Zdejm tę broń spodloną.

GLOSTER.

Więc spokój z nami.

ANNA.

To — czasom powierzę.

GLOSTER.

Mam-ż żyć nadzieją.

ANNA.

Nikt bez niéj nieżyje.

GLOSTER.

Przyjmij ten pierścień.

ANNA (*biorąc*).

Niedaje, kto bierze.

GLOSTER.

Patrz, jak ten pierścień o palec się wije
Uściskiem czułym, niby pierś twa biała
Co moją duszę miłosną związała.
Dusza i pierścień twojemi na zawsze
A jeżli rączki te piękne, łaskawsze
Raczą méj prośby nieodrzucać małéj,
O tom ja szczęśliw, tom ja w niebie cały!

ANNA.

Cóż to takiego?

GLOSTER.

Opuść, te żałoby
Znaki nie tobie, lecz mnie iść na groby!

Wróć do Krosbajhouse; ja w Czertskim klasztorze
Swiętego króla uroczyście złożę
A opłakawszy skruchy mojéj łzami
Polecę k'tobie miłości skrzydłami.
Mam me zamysły dotąd ci nieznane
Które mnie do téj kornéj prośby muszą,
O dozwól, dozwól!

ANNA.

Owszem, całą duszą
Cieszy mnie, widzieć tak korzystną zmianę
Żeście się skrusze pokornéj oddali.
Berkleju, ze mną — inni pójdą daléj.

GLOSTER.

Powiedz mi: Bądź zdrów!

ANNA.

Na toś niezasłużył
Lecz, jeżli tego myśl twa żąda śmiała
To dogódź sobie: myśl, żem powiedziała.

(*Odchodzi Anna z Berklejem*).

HALEB.

Więc do Czertseju?

GLOSTER.

Pochód by się znużył
To za daleko. Do Dominikanów!
Tam na mnie czekać!

(*Odchodzą halebardnicy z ciałem*).

GLOSTER.

Ha! do stu szatanów!
Czy kiedy widział kto takie zaloty,
Kobietę w takiéj chwili pozyskaną!
O ja chcę użyć jéj ramion pieszczoty
Lecz rzucę wieczór poślubioną rano!
Ha! ja, com męża, ojca zamordował
Jam ją pozyskał w nienawiści wrzeniu,
Kiedy łez strumień z przekleństwy falował
W mar tych obliczu, co na mnie świadczyły
Przeciwko Bogu, cnocie i sumieniu
Jam ją pozyskał — a bez innej siły
Prócz czarta, który fałszem w oczach pali
Jam ją pozyskał. Ha! niech świat się zwali!
Więc zapomniała, żem ja przed kwartałem
Krwawy stał w Tiuksbur nad jéj męża ciałem.
Męża pięknego, kawalera, który
Takiem był świetnem pieścidłem natury
Mądrym, króleskim, dzielnym w każdym względzie
Że świat nieprędko takiego mieć będzie:
Więc zapomniała i wzrok jéj się zniżył
Aż ku mnie — ku mnie, com ją smutną wdową
Po tym pierwiosnku miłości osadził.
Ku mnie, co cały niejestem połową
Jego przymiotów; ku mnie co zgromadził
W sobie potworne przyrodzenia wady;
Naprzeciw wdzięków Edwarda gromady!
Księstwo me stawiam za szeląg dziadowski
Muszę się nieznać na méj twarzy boskiéj
Na méj naturze w wszelkie wdzięki hojnéj,
Wszak ona widzi, żem człowiek przystojny!
Hm! to postaram ja się o zwierciadło
Krawców sprowadzę, by się naradzili
Coby najlepiéj do kształtu przypadło!
Z moją postacią pogodzon w téj chwili

Staranie o niéj przyjazne mieć muszę...
Kiedy do lubéj na zaloty ruszę.
Lecz wprzód w stósownéj obrządkom żałobie
Tego łaskawcę usadowię w grobie.
Świeć piękne słońce — ku mojéj zabawie,
Pokaż mi cień mój nim zwierciadło sprawię.
(Odchodzi).

SCENA III.

Londyn — pałac królewski.

(Wchodzi królowa Elżbieta, lord Rivers i lord Grey).

RIVERS.

Niech się królewska Jéj Miłość niesmuci
Król pan niebawem do zdrowia powróci.

GREY.

Pogorsza smutek o smutku rozmowa,
Lepiéj, gdy twarzy pogodność go chowa.

ELŻBIETA.

Jeżli on umrze, cóż się ze mną stanie.

GREY.

Nic więcéj jeno, że męża stracicie.

ELŻBIETA.

Więc wszy tko razem utracę mój panie.

GREY.

Nieba wam dały syna, dobre dziecię
Ono pociechą wam będzie w żałości.

ELŻBIETA.

Ale to dziecie... a w małoletności
Jego ten Gloster będzie protektorem
On nas niecierpi.

RIVERS.

Stanowczym oporem
Możem to zwalić.

ELŻBIETA.

Próżne tu opory
Dopnie on swego, gdy król umrze chory.

(Wchodzi Buckingham i Stanley).

GREY.

Otóż lord Stanley i Buckingham wchodzi.

BUCKINGHAM.

Dzień dobry Waszéj Królewskiéj Miłości.

STANLEY.

Wszelkiego dobra Waszéj Dostojności.

ELŻBIETA.

Lordzie Stanleju takie powitanie
Z hrabiną Richmond pewnie się niezgodzi.
Pomimo tego, miejcie przekonanie:
Niechęć ku dumnéj połowicy waszéj
Przychylnéj ku wam chęci nieodstraszy.

STANLEY.

Wasza Królewska Mość, raczy łaskawie
Oszczerstw niesłuchać, co poczciwéj sławie

Żony méj szkodzą, a jeżli oszczerca
Prawdę w czem wyrzekł: wyrozumieć raczy
Że moja żona jest chorą — dziwaczy,
Lecz w tych dziwactwach niemasz złego serca.

ELŻBIETA.

Jakże znajdujesz króla, lordzie!

STANLEY.

Właśnie
Byłem u niego z Buckinghamem.

ELŹBIETA.

Czyli
Jest podobieństwo jakie polepszenia?

STANLEY.

Króla a pana oko błyska jaśnie
Mówi wyraźnie.

ELŹBIETA.

Więceście mówili
Z królem?

STANLEY.

Mówili względem pogodzenia
Książęcia Glostru z bracią Jéj Miłości
I z szambelanem. Żądał przytomności
Stron powaśnionych.

ELŹBIETA.

Boże daj najlepiéj
Ale to próżno. Gwiazda nasza pono
Dobiega szczytu na niebieskim sklepie.

(Wchodzi Gloster kulejąc i rzucając się gniewnie z Hastingsem i Dorsetem).

GLOSTER.

Bij zabij! na mnie! nie zniosę już dłużéj!
Gdzie są bezczelni, co przed królem skarzą
Żem ja jest dumny, z nienawistną twarzą
Że ich niecierpię? Źle królowi służy
Klnę się na Pawła świętego w niebiesiech
Co mu do uszu takie kłamstwa niesie!
Że niepochlebiam, nieszepcę, nieskaczę
Że się nieśmieję w twarz, oczu niemróżę
Że się niewdaję w lizania dworacze.
Że francuzkiemi dowcipy nie durzę —
Tom wróg każdego, nieprzyjaciel srogi!
Czyż się niemożna trzymać prostéj drogi
Żyć jak nam Pan Bóg żyć kazał na ziemi
Ale koniecznie puszczać się w wykręty
Z lizaczów rzeszą, słowy jedwabnemi
I podstęp stroić w pochlebstwa ponęty!

GREY.

Do kogóż mowa Waszéj Dostojności?

RIVERS.

Do ciebie, ciebie, człeku bez prawości! 4)
Człeku bez cnoty! mów com ci zawinił?
Lub tobie — tobie — com złego uczynił?
W czem tobie uchybiłem! Niech przekleństwo
Wszystkich was trafi. Króla Dostojeństwo
(Którego Pan Bóg niechaj dłużéj chowa
Niżeli chcecie), niema tchu wolnego
Żebyście podłym szeptem go nietruli!

ELŻBIETA.

Mój książę bracie! niewiesz znać wszystkiego
Król pan z swéj własnéj, a nie z czyjéj woli

Widząc nienawiść, którą nieustannie
Mnie i mych braci prześladujesz pilnie
Wezwał cię książę, chcąc dociec usilnie
Jaka przyczyna tego.

GLOSTER.

Niestać mnie na słowo!
Wróble zabrały orłom panowanie!
Odkąd szlachcicem pierwszy został ciura [5])
Ciurą niejedna szlachecka natura!

ELŻBIETA.

Wiemy, co mówisz, belka wpadłać w oko:
Że my i nasi stoim dziś wysoko.
Bóg daj, byś nigdy nie był nam potrzebny.

GLOSTER.

Bóg dał, że dzisiaj wy potrzebni dla mnie.
Mój brat uwięzion przez wasz wpływ wielebny
Niełaska króla uderzyła na mnie,
Szlachta wzgardzona, a królewskie łaski,
Nie! wpływ wasz raczéj z ciemności wyciąga
Na światło ludzi niewartych szeląga.

ELŻBIETA.

Na tego, który w królów ubrał blaski
Moją wzgardzoną i nieznaczną głowę
Klnę się, że nigdy zuchwałemi słowy
Klarensa brata niedotknęłam głowy.
Że natężałam niewieścią wymowę
W jego obronie! Łżysz mnie więc fałszywie
I w podejrzenie rzucasz niegodziwie.

GLOSTER.

Więc możesz przeczyć, że nietwoją sprawą
Było Hastingsa świeże uwięzienie?

RIVERS.

Może, mój lordzie — bo —

GLOSTER.

Może! może! Nie-
Przeczę! że może! Jéj pracą łaskawą
Możesz zajaśnieć w godności splendorze
A ona jeszcze zapierać się może
Że to nie ona, co was ozdobiła
Ale że wasza zasługa w tem była.
Bo cóż niemoże... może wszystko... może.

RIVERS.

Może? cóż może?

GLOSTER.

Może się zaślubić
Dziś z królem — jutro bakałarza lubić,
Pojutrze z paziem żenić się na dworze,
Że coś gorszego jeszcze niedołożę...

ELŻBIETA.

Dosyć milordzie. Za długo w cichości
Znosiłam wasze szyderstwa i gniéwy:
Pójdę do króla, by król miłościwy
Nadal mnie od tych uwolnił przykrości.
Dziewką bym na wsi wolała być raczéj
Niżli królową, by mną w tak prostaczy
W tak podły sposób codzień potyrano.
O gorzkie-ż gorzkie to królowéj miano!

(*W głębi sceny pokazuje się królowa Małgorzata*).

MAŁGORZATA (*na str.*)

O niech Bóg codzień dodaje goryczy
Téj, co mą chwałę wydartą dziedziczy!

GLOSTER.

Grozisz, że pójdziesz do króla! idź gadaj,
Mów coś słyszała, com rzekł, opowiadaj!
Powtórzę wszystko, dodam co należy
Cóż rezykuję? Bah! więźnie w wieży!
Czas mówić, czyny moje w niepamięci!

MAŁGORZATA (*n. s.*)

Pamięć twych czynów serce moje święci
Czarny szatanie! W Towrześ zamordował
Mojego męża, w Tinksbur mego syna!

GLOSTER.

Nim ty i mąż twój w Albionie królował
Któż jak wół w jarzmie, co kark w ziemię zgina
Nad Edwardowem wzniesieniem pracował?
Kto w wstępnym boju na wrogów wychodził
Kto dlań stronników zebrał i nagrodził?
Kto dla krwi jego, własnéj nieżałował.

MAŁGORZATA.

Ten, ten, co stokroć godniejszą mordował (*n. s*).

GLOSTER.

A wy, wy oba, wy wszyscy — czem byli
Za dom Lankastru wy wtedy walczyli.
Twój mąż, królowo, w bitwie onéj srogiéj
Pod Saukt Albanem — legł po stronie wrogiéj!
Niechaj wam wspomnę, coście byli przódy
A czem jesteście! jakie moje trudy
A jaka płaca dzisiaj mnie spotyka.

MAŁGORZATA.

Odwieczne, słuszne imię rozbójnika.

GLOSTER.

Klarens rodzica opuścił, Warwika
Sprzysiągł się z nami — co niech Bóg przebaczy!

MAŁGORZATA.

Co niech Bóg pomści...

GLOSTER.

Król więzieniem raczy
Biednego lorda, nagradzając za to
O proszę Boga, niechaj mnie rogatą
Edwarda duszą udaruje przecie
A Edwardowi da me czułe serce:
Bo odkąd prawość, cnota w poniewierce
Za głupio-dobry jestem na tym świecie.

MAŁGORZATA.

To idź do piekła — tam twe panowanie!

RIVERS.

Niewiem, czy słusznie zarzucasz nam, panie,
Niewierność naszą — w tych dni pełną burzę
Panu'śmy swemu, królowi służyli.
Jakbyśmy tobie posłusznemi byli
Gdybyś w królewskiéj zajaśniał purpurze.

GLOSTER.

Niech mnie Bóg broni być takim nędzarzem
Pierwéj niż królem, wolę być kramarzem!

ELŻBIETA.

Mało pociechy widzisz w téj koronie
Jeżli-by kiedy skroń twą ubierała:
Czemu niewidzisz, jak ta, co na tronie
Mało pociechy z téj korony miała.

MAŁGORZATA

Mało pociechy ma z tronu królowa
Bo ja nią jestem — ja nieszczęsna wdowa!
Niezmilknę dłużéj —

(*występuje*).

Plemię rozbójnicze
Słuchaj mnie! słuchaj! Patrz w moje oblicze!
Sępy swarzące się nad moim łupem!
Patrzcie! niedrżyjcie! ja niejestem trupem!
Gdym była panią kark gięliście hardy
A teraz drżycie przed wzrokiem pogardy
Zrzuconéj przez was!

GLOSTER

Precz ztąd czarownico!
Co ty tu robisz?

MAŁGORZATA.

Chcę ci w czarcie lico
Rzucić twe zbrodnie!

GLOSTER.

Wszak pod gardła karą
Wstępu ci tutaj wzbroniono poczwaro!

MAŁGORZATA.

Wolę śmierć samą — niż takie wygnanie!
Tyś męża, syna zabił mi szatanie!
Tyś mi zabrała państwo, wy wyrwali
Berło lennictwa! Ból, co mnie dziś pali
Wam się należy po sprawiedliwości
A mnie — mnie wasze blaski i wielkości!

GLOSTER.

Przekleństwem ojciec mój ciebie zdruzgotał
Owem przekleństwem, które na cię miotał
Kiedyś mu na skroń kładła papierową
Koronę, szydząc, kiedyś go różową
Od krwi Rutlanda szmatą przyodziała —
Wtedy łez rzeka, którą pierś mu grała
Ten grzmot przekleństwa, z strasznéj bólu chmury
Ten spadł na ciebie — a Bog patrząc z góry
Nie my, ukarał cię za czyn straszliwy.

ELŻBIETA.

Tak Bóg cię skarał — on jest sprawiedliwy.

HASTINGS.

Czyn to był straszny — tak starca mordować!

RIVERS.

Tyrańskie serca czyn ten opłakały.

DORSET.

I każdy musiał zemstę prorokować.

BUCKINGHAM.

Northumberlanda łzami oczy lśniały.

MAŁGORZATA.

Ha! nikczemniki, przed chwilą wy w swarze
Ledwieś-cie mieczów na się niedobyli
A teraz na mnie się wszyscy zwrócili!
Przekleństwoż Yorka niebiosów ołtarze
Tak przeraziło, że mord mego syna
Mord mego męża, stratę méj korony
Ból méj bannicyi sprowadziła wina,
Ta jedna wina — ten jeden skrwawiony

Ponury staruch! O jeśli obłoki
Tak łatwo przekleństw słuchają odgłosów,
To niech otworzą gościniec szeroki,
By tłum mych przekleństw przeszedł do niebiosów.
Podłym podstępem niech król, pan wasz zginie.
Jak mój morderstwem, aby wasz panował!
Syn twój, niech padnie w nieszczęsnéj godzinie
Jak mego syna Gloster zamordował!
Ty, co w gronostaj mój ubrałaś szyję,
Przeżyj twą świetność i żyj, jak ja żyję!
Żyj długo — długo — patrz na śmierć twych dzieci
Patrz na tę przyszłą, co w twojéj ozdobie
Promienna, dumna na tronie zaświeci
I stój tak przy niéj, jak dziś ja przy tobie!
Po długich latach bolesnego zgonu
Giń, giń — bez męża, bez syna, bez tronu!
Lordzie Riversie i ty mój Dorsecie
I ty Hastingsie, byliście przytomni
Gdy padło krwawe me jedyne dziecię
Pod sztyletami. O Boże! ty wspomnij
Ty wspomnij na to! niech żaden z sług kata
Śmiercią zwyczajną nieschodzi ze świata!

GLOSTER.

Czyś dogodziła sobie, wiedźmo stara!

MAŁGORZATA.

Tyś psie pozostał! Stój, słuchaj potworze
Jeżli jest w niebie jaka straszna kara
Straszliwsza od téj, którą Małgorzata
Życzyć ci zdoła! to ją ujmij Boże!
A gdy twe grzechy dojrzeją potężnie
Rzuć ją na jędzę tę biednego świata!
Robak sumienia niech ci w duszy grzężnie

I niech ci chwili spokoju niedaje:
W przyjaznych, zdrajców obawiaj się wiecznie
A pośród zdrajców, myśl, że ci bezpiecznie!
Na zbójczem oku niech ci sen niestaje —
A kiedy stanie patrz w sennem marzeniu
Jak czarty w piekieł nurtują płomieniu!
Ty naznaczony od przyrody stworze:
Obrzydo świata, od piekieł wzgardzona,
Wyrzucie brudny matczynego łona
Płodzie szkarady, rodzica sromoto
Ty szmato brudu — poczwaro!

GLOSTER.

Margoto!

MAŁGORZATA.

Ryszardzie!

GLOSTER.

Cóż znów!

MAŁGORZATA.

Nie wołam na ciebie!

GLOSTER.

Więc cię przepraszam. Chciałem już na siebie
Przyjąć to wszystko.

MAŁGORZATA.

Na kogoż, niecnoto
Gdy nie na ciebie! Niech skończę — tak miło
Przeklinać ciebie.

GLOSTER.

A kończyć Margotą!

ELŻBIETA.

Tak się przekleństwo wam o pierś odbiło!

MAŁGORZATA.

Biedna maseczko, mdły cieniu królowéj!
Ty cukier sypiesz na tego pająka
Co cię oplata w swéj przędzy grobowéj!
Szalona! ostrzysz nóż na siebie samą...
A dzień ten stoi za pałacu bramą
Gdy się myśl twoja aż ku mnie zabłąka,
By razem ze mną, w zgodną głosów parę
Tę jadowitą przeklinać poczwarę.

HASTINGS.

Kończ twoje trele, gadatliwa stara,
Dla twoich żalów brak już cierpliwości.

MAŁGORZATA.

Wstydź się bezczelny, twoich to podłości
Dawno już u mnie przebrała się miara.

RIVERS.

Gdybyś sług miała, byłabyś surową.

MAŁGORZATA.

Wszyscy mi służyć winniście poddani!
Bądźcie sługami jeszcze — ja królową!
A posłusznemi bądźcie waszéj pani;

DORSET.

Niemów nic do niéj — ona oszalała.

MAŁGORZATA.

Milcz mój markizie, twych zaszczytów chwała

Jeszcze z mennicy ognia nieochłódła
Zaledwie w kursie. O! gdyby ta młoda
Szlachta wiedziała, jak ta pierś wychudła,
Padłéj wielkości strasznym bólem stęka!
Wielkość, jak drzewo! im wyżéj się poda
Tem bardziéj wicher niebiosów go nęka
A kiedy padnie — to w kawały pęka!

GLOSTER.

Mości markizie, przedziwna sentencya.

DORSET.

I was się tyczeć może jéj esencya.

GLOSTER.

I w wyższym stopniu! Lecz me stanowisko
To niby ceder, co choć nieba blisko
Igra z wiatrami i z słońca się śmieje.

MAŁGORZATA.

I cieni słońce — że słońce ciemnieje
Świadkiem mój Edward, dzisiaj w śmierci mroku
Którego blaski chmura twoja czarna
W wiecznéj ciemności schłonęła obłoku.
W gnieździe ty naszem urósł krwawy ptaku!
Ale twa wielkość, da Bóg będzie marna!
Ze krwi powstałeś, we krwi zginiesz szlaku!

BUCKINGHAM.

Cicho, na wstyd już, nie miłość zaklinam!

MAŁGORZATA.

Nie o miłości mów mi, ani wstydzie!
Skroń mą pod wagą nienawiści zginam
A żywot wiodę przez was w téj ohydzie!

Życie me wstydem, obelga miłością
Ale w tym wstydzie jeszcze — tchnę wściekłością.

BUCKINGHAM.

Przestań już, przestań!

MAŁGORZATA.

Mój lordzie książęcy!
Dłoń twą całuję w znak méj dobréj woli:
Bóg ci dał szczęście — niech da szczęścia więcéj,
Twą szatę jedną, krew nasza nieplami
Twój widok jeden w sercu mnie nieboli
Tyś nieobjęty memi przekleństwami.

BUCKINGHAM.

I tym przytomnym przekleństwo nie szkodzi,
Przekleństwo wraca w pierś, która go rodzi.

MAŁGORZATA.

Nie, nie! Przekleństwo skrzydłem się kołysze
W niebo, i budzi świętą Boga ciszę!
O lordzie strzeż się, przed tym psem strzeż wściekłym
Kiedy się łasi, kąsze; jadowity
Gdy ząb utopił — człowiek ten zabity.
Niewdaj się z Glostrem—zbrodnią, śmiercią, piekłem
On napiętnowan! On z szatanem trzyma!

GLOSTER.

Co ona mówi?

BUCKINGHAM.

Rzecz, niegodną mojéj
Nawet uwagi.

MAŁGORZATA.

Więc uwagi niema
Na mą serdeczną, przyjazną przestrogę,
Gdy się do niego grzeczne słowa stroi!
O spomnisz na mnie, kiedy krwawą drogę
Rąk jego czyny w twem sercu uczynią,
Że biedna Margot była prorokinią.
O żyjcie wszyscy w jego nienawiści
On niechaj w waszéj nienawiści żyje,
A Bóg co przekleństw moich modłę ziści
Was, jego, w wspólną nienawiść obwije. (*odchodzi.*)

HASTINGS.

Na głos jej przekleństw włos mi stawał z głowy.

RIVERS.

I mnie. Nietrzeba puszczać téj królowéj.

GLOSTER.

Trudno jéj ganić — ona nieszczęśliwa,
Za dużo złego na nią się zwaliło,
Smutno mi, że tam i moje złe było.

ELŻBIETA.

Ja w tem niewinna — cóż się na mnie gniewa?

GLOSTER.

Bo w waszem ręku są złego owoce.
Co do mnie — byłem zawsze za gorący
Do dobrych czynów — zawsze, niechwalący —
Lecz mówić o nich zimny zawsze byłem.
Co do Klarensa, co w klatce trzepoce,
Najsłuszniéj pasie się więzienia pyłem.
Bóg niech tam wszystkim, co winni, przebaczy.

RIVERS.

Konkluzya godna duszy chrześciańskiéj
Źle nam czyniącym błagać łaski Pańskiéj.

GLOSTER (*n. s.*)

Rzecz bardzo prosta, niemogę inaczéj
Wiem od sumienia i od Boga w niebie:
Gdybym przeklinał, przeklinałbym siebie.
(*Wchodzi Catesby*).

CATESBY.

Król woła Waszéj królewskiéj Miłości
I wzywa wszystkich.

ELŻBIETA.

Wasze Dostojności
Mi towarzyszą —?

RIVERS.

Idziem z wami, pani.
(*Odchodzą wszyscy prócz Glostra*).

GLOSTER.

Złe im wyrządzam lecz najpierwszy krzyczę!
Knucia tajemne, zawiści, poswarki,
Ładuje cicho na niemoje barki.
Klarensa, w Towru pchniętego słodycze
Los opłakuję poczciwemi łzami
Przed lordem Stanley i przed Buckinghamem
I przed innemi takiemi błaznami.
Mówię; królowéj brat mój w oku tramem
Królowa króla podbudza na brata:
Oni mi wierzą i drażnią mnie znowu
Na tego Greya, Riversa, Vanghata.
Wtedy ja wzdycham i dodając słowu

Memu ważności tekst cytuję świeży
Że za złe, dobrem oddawać należy
Tak mojéj złości bezwstydność zbyt nagą
Starych szpargałów odziewam powagą.
I gdy gram diabła z największym talentem
Biblia pomaga że się zdaję świętym.

(Wchodzą dwaj mordercy).

Cicho — méj woli wykonawce wchodzą.
Cóż tam, wy moi towarzysze śmieli
Chcecie się zgodzić?

1szy MORDERCA.

Złota byśmy chcieli
Na nasz zadatek.

GLOSTER.

Dobrze chłopcy godzą
Oto zadatek! Gdy pracę skończycie
Wróćcie do Crosby. Lecz prędko, słyszycie!
Prędko się zwinąć, bez wahań, nie słuchać
Jeżli wam będzie chciał serce rozruchać
On dobry mowca.

1szy MORDERCA.

Dość — dość — na co krzyku?
Kto dużo gada, ten do czynu słaby —
Trzeba nam dłoni — nic nam po języku.

GLOSTER.

Z waszych ócz głazy lecą, kiedy baby
I błazny płaczą. Dobrze me chłopaki
Podobnym do was, bo i jam jest taki
Daléj! do dzieła! raźno!

1szy MORDERCA.

Jak lord każe.

(*odchodzą.*)

SCENA IV.

W wnętrzu Towru.

(*Wchodzi Klarens i Brakenbury*).

BRAKENBURY.

Zkąd tak ponure dziś lorda wejrzenie!

KLARENS.

O! noc straszliwą przebyłem, straszliwą,
Okropnych zjawisk szkaradne marzenie!
Jakem chrześcianin i za miłościwą
Łaską niebiosów chcę posiąść zbawienie
Tak bym raz drugi takiéj niechciał nocy
Choćby okupem była lat wesela.

BRAKENBURY.

Powiedźcie, proszę, sen wasz!

KLARENS.

O północy
Może, zda mi się, żem po trudach wiela
Dostał się z Towru. Na okręciem płynął
Ku brzegom Francyi, był brat Gloster ze mną —
Mówi: Opuśćmy tę kajutę ciemną.
Pójdźmy na pokład. Idziemy, rozwinął
Się nam przed okiem brzeg Anglii wspaniały
I wszystkie srogie czasy się spomniały

Podczas rozterków dwóch róży zwaśnionych.
Gdyśmy po deskach tak szli rozruszonych
Okrętu biegiem, Gloster się potoczył
Upadł na ziemię i mnie, którym skoczył
Aby go podnieść, pchnął z pokładu w wały
Rozhukanego morza. O lordzie mój drogi,
Com ja tam doznał. W uszach mi huczały
Bałwany morskie stu gromów odgłosem:
Lecz widok na dnie, widok śmierci srogi
Stokroć straszliwszym był dla piersi ciosem!
Zdawało mi się, że pośród odmętów
Widzę tysiące rozbitych okrętów,
Tysiące trupów, których kości białe
Gryzły na wyścig ryby wygłodniałe.
Zdawało mi się, że widzę w mórz łonie
Złota kawały, pereł drogie kupy,
Kamieni drogich bezcenną ławicę,
Nagromadzone w tę mokrą piwnicę.
Niektóre trupów ubierały skronie
Inne świeciły przez czaszek skorupy
W orbitach źrenic, na hańbę źrenicom:
A wszystkie w mule morskim się walały
Szydząc z szkieletów, co na dnie bielały.

BRAKENBURY.

Jakże czas miałeś, by się tajemnicom
Morskim przypatrzeć w trwodze tak śmiertelnéj.

KLARENS.

Miałem czas jakoś... Duch mój opór dzielny
Stawiał nawale, lecz bałwan szyderca
Bił całą siłą w pierś i mego serca
Niechciał jak ptaka puścić nad głębinę
Aż z ciałem drżącem rzucił go aż na dno
I serce swego zaprzestało bicia.

BRAKENBURY.

I niezbudziłeś się lord w tę godzinę!

KLARENS.

Nie! Sen mój poszedł za granicę życia
I wtedy burza straszna w duszy wstała!
Ponury sternik, którego opiała
Lutnia poetów, prowadził mą duszę
Przez tę fal smutną, co wiedzie w katusze
Królestwa czarnéj nocy wiekuistéj.
Pierwszy, co spotkał pochód uroczysty
Był mój pradziadek, Warwik. Ten zawoła:
„Ha, jakąż karę wynajdzie król cienia
Na twoją zdradę, fałszywy Klarensie!“
I znikł. Duch wtedy z obliczem Anioła
Co krew na włosach miał i złotéj rzęsie
Zawołał na mnie: Ha! Klarens przybywa
Fałszywy Klarens, zmiennik, co w Tinksbury
Mnie zamordował. Pójdźcie piekła córy
Pójdźcie wy furye! On wasz! Wtedy chmury
Czarnych straszydeł, wzięły mnie w ogniwa
Swoich łańcuchów, straszliwemi wrzaski
Wyły w me uszy, że choć się zbudziłem
Zbudzon krzyczałem: Łaski! łaski! łaski!
I byłem pewny, że ja w piekle byłem.
Tak straszne było mego snu wrażenie.

BRAKENBURY.

To niedziwota, lordzie, mnie samego,
Na samą powieść chwyta przerażenie!

KLARENS.

O Brakenbury! Ja na ducha mego
Władował grzechy, których dłoń dziś mściwa
Wskazuje na mnie. Ten Edward — mnie wzywa!

O Boże, Boże, jeżli moje modły
Zasłabe, aby gniew skruchą przebodły
To niech grom kary na mnie tylko zleci!
Oszczędź mą żonę, oszczędź biedne dzieci!
O Brakenbury! zostań przy mnie chwilę,
Dusza osłabła — niech ją snem posilę. —

(Siada i usypia).

BRAKENBURY.

Dobrze, mój lordzie. Snu dobrego życzę!
O! troska mąci tok przyzwyczajenia,
Dzień w noc ponurą, noc w dnia jawę zmienia,
Biedni mocarze! tytuł im miast chwały,
Zewnętrzne blaski za ból wnętrza srogi,
Za urojenia, co szczęścia niedały
Dano im światy nieszczęścia i trwogi,
Tak że pomiędzy nędzarzem i niemi
Czczy pozór tylko różnicą na ziemi.

(Wchodzą dwaj morderce).

1szy MORDERCA.

Hej! kto tu?

BRAKENBURY.

Czego chcesz przyjacielu i jakim sposobem dostałeś się tutaj.

1szy MORDERCA.

Chciałbym mówić z Klarensem — a dostałem się tutaj na moich nogach.

BRAKENBURY.

Cóż to? tak ostro?

1szy MORDERCA.

Lepiéj ostro a krótko. Daj mu ten papier — tam się dowie o naszém przeznaczeniu.

BRAKENBURY (*przeczytawszy papier*).

Mam rozkaz oddać lorda Klarensa w wasze ręce. Niechcę się domyślać, jaki w tem cel bo umywam ręce od winy. Oto książę śpiący — a tu macie klucze. Idę do króla donieść mu, że oddałem wam według zlecenia, mój urząd przy księciu.

1szy MORDERCA.

Owszem, panie. Uczynicie w tem bardzo mądrze. Bywajcie zdrowi. (*Brak. odchodzi*).

2gi MORDERCA.

Mamyż go zabić teraz, kiedy śpi?

1szy MORDERCA.

Nie: bo gdyby się obudził powiedziałby nam, że to po tchórzowsku.

2gi MORDERCA.

Ale on się nieobudzi aż na dzień sądu ostatecznego.

1szy MORDERCA.

No! to powie na ostatecznym sądzie, żeśmy go zabili śpiącego.

2gi MORDERCA.

Przeraźliwy dźwięk tego słowa: sąd, obudził we mnie rodzaj wyrzutu sumienia.

1szy MORDERCA.

Ha! więc tchórzysz?

2gi MORDERCA.

Nieboję się zabić go, bom wziął zadatek, ale boję się być potępionym za to, bo od tego mnie żaden zadatek nieuwolni.

1szy MORDERCA.

Myślałem, że masz determinacyę.

2gi MORDERCA.

Mam. Jestem zdeterminowany, nie zabić go.

1szy MORDERCA.

Więc idę do Glostra i powiem mu o tem.

2gi MORDERCA.

Poczekaj chwilę; mam nadzieję, że mnie ten napad litosny opuści. Zwykle nietrwał u mnie dłużéj, jak jeden pacierz.

1szy MORDERCA.

No! jakże się teraz czujesz?

2gi MORDERCA.

Czuję jeszcze jakieś szumowiny sumienia.

1szy MORDERCA.

Przypomnij sobie na zapłatę, kiedy skończymy dzieło.

2gi MORDERCA.

Prawda! prawda! zapomniałem o zapłacie. Niech umrze!

1szy MORDERCA.

Gdzież teraz twoje sumienie?

2gi MORDERCA.

W kieszeni księcia Glostru.

1szy MORDERCA.

Ale jeżli otworzy swoją kieszeń, aby nam zapłacić, to twoje sumienie da drapaka.

2gi MORDERCA.

To niech sobie ucieka—niema go wiele, może nic—to się wyżywi.

1szy MORDERCA.

Ale jak wróci znowu do ciebie?

2gi MORDERCA.

Niechcę się z niem wdawać, to niebezpieczne zwierzę co z człowieka tchórza robi. Człowiek niemoże kraść, bo go oskarży, nie może krzywoprzysiądz bo go łaje, niemoże bałamucić żony sąsiada, bo go odkryje. Jest to strach z czerwoną od wstydu twarzą, który hałasuje w piersi człowieka, stawia mu tysiączne przeszkody i który przymusił mnie raz oddać kiesę złota, którą znalazłem. Kto go przyjmie niemoże mu się opędzić, dla tego wypędzono go z miast, jako niebezpieczną i podejrzaną osobę, a każdy porządny człowiek, który chce żyć jak się należy, musi zaufać sobie i uwolnić się od niego.

1szy MORDERCA.

Do kata! Patrz, właśnie teraz trąca mnie w łokieć i dowodzi mi, że nietrzeba zabijać księcia.

2gi MORDERCA.

Weź djabła na pomoc i niewierz mu, ono chce się wściubić do ciebie i rozruszać cię żebyś wzdychał.

1szy MORDERCA.

Jestem zbrojny od stóp do głów — nieda sobie rady ze mną.

2gi MORDERCA.

Otóż mowa człowieka który uważa na swoją reputacyą. A co? zaczynamy?

1szy MORDERCA.

Weź go za łeb rękojeścią twego miecza a potem wpakujemy go do beczki małmazyi w drugim pokoju.

2gi MORDERCA.

Wyborny pomysł, umaczamy go jak bułkę w polewce.

1szy MORDERCA.

Cicho! budzi się!

2gi MORDERCA.

Zabij go!

1szy MORDERCA.

Nie! pogadamy z nim.

KLARENS.

Gdzieś ty, Brakenbur daj mi wina czarę.

1szy MORDERCA.

Będziesz miał dosyć, lordzie, wino stare. —

KLARENS.

Kto tu? Na Boga!

1szy MORDERCA.

Ludzie, jak ty.

KLARENS.

Ale nie z królewskiéj krwi, jak ja.

1szy MORDERCA.

Ale lojalni poddani, jak nie ty.

KLARENS.

Twój głos jest gromki, ale wzrok twój jasny.

1szy MORDERCA.

Mój głos jest króla, mój wzrok jest mój własny.

KLARENS.

Ciemną twa mowa — lecz grobowa mowa
Wzrok wasz mi grozi — bo się skrzętnie chowa;
Kto was tu przysłał? pocoście tu przyszli.

OBAJ MORDERCY.

Aby cię... aby...

KLARENS.

By mnie zabić pono...

OBAJ MORDERCY.

Tak, tak.

KLARENS.

Serce wam nieda wyrzec strasznéj myśli
To nieda dłonią wykonać skrwawioną.
Czym was obraził, moi przyjaciele?

1szy MORDERCA.

Nas? nie — lecz króla.

KLARENS.

Z królem się pogodzę.

2gi MORDERCA.

Nigdy, mój lordzie. Miéj się ku twéj drodze.

KLARENS.

Więc z milionów wy w tem strasznem dziele
Chcecie umoczyć ręce, z tylu innych
Sami mordować chodzicie niewinnych!
Gdzież moja wina, gdzież grzechów dowody,
Gdzież oskarżenie prawne coby w oku
Gniewnego sędzi wzrosło w moc wyroku?
Pierw nim mi prawne podadzą powody
Śmierć ma bezprawiem będzie w oczach świata
I w oku Boga! Dla tego na Chrysta
Krew was zaklinam, jeżli wiekuista
Dusza wam miła! odłóżcie miecz kata
Idźcie odemnie! na duszy zbawienie!
Bo za tym czynem pójdzie potępienie.

1szy MORDERCA.

Czynim z rozkazu, więc się groźb niestraszym.

2gi MORDERCA.

A ten co kazał, ten, jest panem naszym.

KLARENS.

Wassale króla, pogrążone w błędzie:
Wielki Król królów, napisał od wieka
W tablicach ustaw: że mord zbrodnią będzie!
Wy je depczecie z rozkazu człowieka.

Strzeżcie się, w ręku trzyma karę mściwą
Na tych, co łamią ustawę sędziwą.

1szy MORDERCA.

A ty, jak zdrajca, złamałeś to prawo
I w sercu syna, twego króla pana
Wierciałeś srogi twoją głownią krwawą.

2gi MORDERCA.

A wierność króla przysiągłeś osobie.

1szy MORDERCA.

Czemuż więc wzywasz ustaw tego Pana
Któreś sam zgwałcił w tak strasznym sposobie.

KLARENS.

Niestetyż! komum-ż takim czynem służył
Jeżli nie jemu, sprawie mego brata!
Nie za to zgładzić mnie chce z tego świata!
Ten grzech nas obu w jednę toń zanurzył.
Jeżli Bóg zemsty za ten czyn zapragnie,
To on przed światem głowy nasze nagnie
Więc mu z potężnéj dłoni niebrać gromu!
Bezprawia jemu nietrzeba, by komu
Zgruchotać głowę za gwałt jego prawom.

1szy MORDERCA.

Któż ci więc kazał, abyś dłonią krwawą
Mordował młodą Plantażneta wiosnę,
Panię, kochane takie i miłosne?

KLARENS.

Miłość ku bratu, szatan i szaleństwo.

1szy MORDERCA.

Miłość ku bratu, sługi posłuszeństwo
I nasz miecz dzisiaj do cięcia poruszy

KLARENS.

Jeźli kochacie brata, mnie kochajcie
Bo ja brat jego, co go kocha z duszy:
Jeźli zapłaty chcecie, to wracajcie
Idźcie do Glostra, on za moje życie
Więcéj zapłaci niż król za wieść zgonu.

2gi MORDERCA.

On was nie kocha — srodze się mylicie.

KLARENS.

O! on mnie kocha — mimo gniewów tronu
Kocha mnie. Idźcie!

OBAJ MORDERCY.

Pójdziemy!

KLARENS.

Powiedźcie
Że mu spominam, jak nasz rodzic dzielny
Nas błogosławił z pościeli śmiertelnéj
I miłość spólną zalecał trzem synom:
A on niewierzył w te słowa prostacze
I w taką przyjaźń. Oh! mnie łzy dziś płyną
Gdy na to spomnę — a i on się spłacze.

1szy MORDERCA.

Będzie głazami płakał, jak nas uczył.

KLARENS.

Nieszydźcie z niego, on ma czułą duszę.

1szy MORDERCA.

Jak mróz na żniwo. Z snu was zbudzić muszę
On to był, Gloster, co nam mord poruczył.

KLARENS.

To być niemoże! Płakał nad mym losem
Ściskał mnie, wzdychał, wolność obiecywał.

1szy MORDERCA.

I w tem nieskłamał, gdy za jednym ciosem
Będziesz wolności niebieskiéj używał.

2gi MORDERCA.

Pogódź się z Bogiem, lordzie, przed twym zgonem!

KLARENS.

Więc w waszych duszach mieszka myśl tak święta
Aby pojednan stać przed Jego tronem
A żaden o tem przecie niepamięta
Że wojnę z Bogiem przez mój mord zaczyna.
Więc pamiętajcie, że nawet ci sami
Co was posłali, odtąd wzgardzą wami;
Że ta straszliwa godzina méj śmierci
Jest oraz waszéj niełaski godzina.

2gi MORDERCA.

Cóż mamy czynić?

KLARENS.

Wstrzymać się i w pieczy
Mieć duszę swoją. Któryż z was w mym stanie,
Gdyby na Tower zmienił swe mieszkanie,
Gdyby go naszło dwóch morderców takich
Jak wy obydwa, o! któryż zaprzeczy
Żeby nieużył słów i prośb wszelakich

Któżby niebłagał życia? Kto niewzywał
Litości, ktoby łzą się niezalewał!?
Wy byście łaski błagali dla siebie
To miejcie litość.

1szy MORDERCA.

Wstrzymać się dla ciebie
To rzecz tchórzowska, niewieścia, dziecięca.

KLARENS.

A czyn wykonać, szatańska, zwierzęca!
Mój przyjacielu, jeżli się niemylę
W oku twem litość widziałem przez chwilę.
O jeżli oko twéj duszy niekłamie
To stań tu przy mnie i proś jego za mnie!
Któryż z żebraków nieczuje litości
Gdy książe żebrze!

2gi MORDERCA.

Miéj się na baczności!

1szy MORDERCA (*zabijając Klarensa*).

Masz raz, i drugi — i trzeci — gdy mało
Pójdź i małmazyi wypij beczkę całą.

(*Odchodzi z ciałem*).

2gi MORDERCA.

O krwawy czynie! o straszny pośpiechu!
Chciałbym jak Piłat umyć dłoń od grzechu!

(*Wraca 1szy Morderca*).

1szy MORDERCA.

Cóż to! Czemużeś mi niechciał pomagać
Dowie się książe, kto się umie wzdragać.

2gi MORDERCA.

Chciałbym by wiedział, że brat jego żywy.
Mów mu co zechcesz, mów, com tu powiedział:
Żal mi że zginął ten człek nieszczęśliwy.

(*Odchodzi*).

1szy MORDERCA.

Mnie nie — Idź tchórzu, z babami byś siedział!
Trzeba to ciało gdzie w kącie pochować
Póki exekwii niekażą sprawować.
A kiedy będzie w kieszeni zapłata
To nogi zapas — choćby na kraj świata
Bo tutaj niema po co przesiadować.

PRZYPISY.

[1]) Dla czytelników, mniéj obeznanych z zawikłaną historyą angielską owych czasów podajemy następujące wyjaśnienie: Za słabego panowania króla Henryka VI (1422—1472) powstała walka między partyą białéj i czerwonéj róży — Yorkami i Lankastrami. Ryszard York, potomek czwartego syna Edwarda III podniósł pretensye do tronu przeciw Henrykowi VI, potomkowi trzeciego syna. W roku 1455 zwyciężył York Henryka pod St. Albanem i dostał go w swoją moc; w r. 1460 zbił go po raz drugi pod Northampton za pomocą hrabiego Warwika i został protektorem Anglii z expektatywą następstwa tronu. Energiczna i okrutna królowa Małgorzata, żona Henryka, umiała jednak zebrać stronników i tegoż samego roku Ryszard Warwik uległ w bitwie pod Wakefield. Małgorzata pastwiąc się nad starcem, ubrała jego głowę w koronę papierową i zatknęła na bramie Yorku: Lord Klifford zaś jeden z jéj stronników, zabił młodego Rutlanda, siedmnastoletniego syna książęcia Yorku.

Pozostali synowie Edward, Klarens, Ryszard Gloster z pomocą Warwika uprzedzili atoli królową Małgorzatę w powrocie do Londynu z placu bitwy. Mając pospólstwo za sobą Warwik uzyskał z łatwością detronizacyę Henryka VI i wyniesienie Edwarda Yorka pod nazwiskiem Edwarda IV.

Panowanie Edwarda IVgo (1461—1488) mąciły też same swary i wojny. Młody i lekkomyślny król obraził przyjaciela ojca Warwika i własnego brata Klarensa i skłonił ich do chwycenia się przeciwnéj strony. Pod Barnet uległ atoli Warwik potędze Edwarda i zginął, Klarens opuścił go w stanowczéj chwili przechodząc do brata, a powracająca z wygnania żona Henryka VIgo wraz z mężem i synem w bitwie pod Tinksbury (1471) straciła resztę nadziei i wolność. Edward zemścił się straszliwie: Małgorzatę i Henryka rzucono do Towru, gdzie ten ostatni umarł wkrótce nie bez podejrzenia zabójstwa ze strony Ryszarda Glostra; waleczny i szlachetny Edward, syn Henryka padł pod ciosami tegoż Ryszarda i Klarensa.

Ta była chwila tryumfu domu Yorkowego, w któréj się wspaniały dramat Szekspira zaczyna. Król zniszczony rozpustą i burzliwem życiem, leży chory; królowa, piękna Elżbieta, wyniesiona do téj godności z niższego stanu, wzbudza zazdrość i nienawiść staréj arystokracyi Hastingsa, Stanleya, Buckinghama, stronnictwo jéj dumnie podnosi głowę ufne w łaskę królewską. Pośród tego dusznego i brzemiennego burzami momentu żarzy się w ciszy ponura myśl wielkiego i przebiegłego zbrodniarza, potworu upośledzonego od natury, książęcia Ryszarda Gloster.

2) „Ależ ja łapię ryby przed niewodem“ Tak chciałem przetłumaczyć angielskie przysłowie:

but i run before my horse to market

dosłownie: Ależ ja gonię na targ przed moim koniem.

3) „Patrzcie — umarłego rany“ itd. Przesąd średniowieczny, używany w ordaliach. Rany zamordowanego miały się otwierać w obecności mordercy:

4) Scena ta przypomina żywo Kromwella, który podobną inwektywą rozpędził parlament angielski.

5) „Odkąd szlachcicem pierwszy został ciura“ po angielsku:

Since every Jack became a gentleman
There's many a gentle person made a Jack.

RODZINA ALWAREDÓW

przez

FERNAN CABALLERO.

(Ciąg dalszy).

KSIĘGA DRUGA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Nadeszła jesień ponura z szeregiem dni coraz krótszych i zima skostniałemi palcami pukać już zaczynała do drzwi. Było to w chwili gdy wieśniacy wracają po dziennych trudach do domu i słońce ostatnie zimne spojrzenie zwraca na znak pożegnania ku ziemi.

Periko szedł zwolna za swoją mulicą, a za nim Melampo zdawał się chcieć sprostać wpowadze dawnéj swéj przyjaciółce i towarzyszce. Przypominała ona sobie jeszcze

z przerażeniem najście Francuzów, chociaż od tego czasu sześć lat już ubiegło; nigdy bowiem w życiu niezdarzyło jéj się cwałować z równą szybkością, jak wtedy gdy chodziło o ocalenie jéj pani. Gdyby miała chociaż najlżejsze pojęcie literatury zagranicznéj, jakiem dziś pyszni się niejeden, co słyszał że dzwonią, ale niewie w którym kościele— byłaby niezawodnie przekonać chciała Melampa, że dziki rumak na którym przywiązany był Mazepa, w porównaniu z nią w owéj pamiętnéj chwili, zaledwie wydawać się mógł ślimakiem. Od czasu tego nie zupełnie też jeszcze wypoczęła.

Gdy weszli w ulicę wybiegło dwoje ładnych dzieci naprzeciwko Perika. W téj chwili melodyjny i uroczysty głos dzwonu wzywał do modlitwy. Periko powstrzymał kroku i zdjął kapelusz. Pies i mulica którym głos ten przez długie doświadczenie był znany, stanęli również jakby na dane hasło i dzieci nieruszały się z miejsca.

Po skończonéj modlitwie dzieci zbliżyły się do ojca i rzekły:

— Rękę twoją ojcze!

— Niech was Bóg wyprowadzi na dobrych ludzi, rzekł Periko błogosławiąc swe dzieci.

Ktoby zwrócił był baczną uwagę na szeroką i poczciwą fizyonomią Melampa, który całéj téj scenie z widocznem przypatrywał się zajęciem, byłby z wzroku jego wyczytał, że pojmuje jéj uroczystość i ważność.

Chłopczyk drżący z niecierpliwości aby go ojciec na mulicę wysadził, zapytał dla czego trzeba zatrzymywać się w miejscu kiedy na modlitwę dzwonią.

— Czy niepamiętasz, odezwała się siostra jego Angelita, co ciotka Elwira mówiła, że kiedy uderzy ta godzina, poświęcona najświętszéj Pannie, nasi aniołowie stróże przez uszanowanie zatrzymują się i że chcąc wtedy iść daléj, bylibyśmy sami.

— Prawda siostro, odpowiedział chłopczyk, zuchwale uderzając biczykiem mulicę, na którą go ojciec wysadził, a która na szczęście niepoczuła nawet zadanego sobie razu.

Sześć lat upłynęło od owych wypadków, któreśmy powyżéj opowiedzieli. Jakby na domiar nieszczęścia Marcella, która będąc w dniu owym ukrytą na strychu, była świadkiem obelgi zadanéj ojcu, strasznéj zemsty jaką brat jéj dokonał i jego ucieczki, utraciła rozum. O Wenturze słych zaginął i wszyscy zgon jego opłakiwali, chociaż im życzliwość dla Pedra i miłość dla Elwiry kładła w usta słowa pociechy, w które sami niewierzyli. Czas jednak, ów najpewniejszy środek rozczynu, w którym się radość i troska jak cukier i sól rozpływają w wodzie, boleść tę jeżeli niemniéj gorzką, to przynajmniéj znośniejszą uczynił. Z ust tylko Pedra zamiast wesołych żartów i zwykłych igraszek często wyrywał się wykrzyk: biedny syn mój! biedna moja córka!

Na Elwirę jedynie czas niewywarł żadnego wpływu. Niknęła ona w milczeniu jak owe chmurki na niebie które zamiast zlać się na ziemię w pluszczących strumieniach deszczu, cicho wirują aż w końcu znikają w powietrzu. Nigdy się nieskarżyła, nigdy nawet imie Wentury, którego miała prawo uważać za towarzysza życia, z ust jéj niewyszło.

— Robak toczy jéj życie, mówiła Anna do Perika, wy tego niewidziecie, ale mnie wzrok nie zwodzi.

— Ależ matko, zarzucił Periko, poczem że to poznajecie, czyż się skarży?

— Nie mój synu, nie. Ale matka rozumie nawet niemą córkę, odpowiadała Anna z głęboką boleścią. Rita i Periko byli szczęśliwi; Periko bowiem obdarzony pełnem miłości sercem, łagodnym umysłem i pobłażającym charakterem, pracował dla wspólnego szczęścia. W rok po zamęściu wydała Rita na świat bliźnięta. Bliska wtedy

była śmierci i zawdzięczała życie tylko czułym staraniom męża i jego rodziny. Długo pozostała słabą i chorowitą, w chwili jednak w któréj wątek powieści daléj snuć zamierzamy, przyszła już zupełnie do siebie, i róże młodości i zdrowia bujniéj i piękniéj niż kiedykolwiek kwitły na jéj licach.

— Matko najświętsza! rzekła Marya, gdy pewnego wieczora znajdowali się razem, cóżto za straszna burza była wczorajszéj nocy! Wszystkie grzechy moje zliczyłam i wyspowiadałam je Bogu. Tyle odmówiłam modlitw, a do tego głośno, że mogłam być pewną iż nikt niepostrada życia, gdyż słyszę zawsze że gdzie głos modlitwy dochodzi, tam piorun siłę swą traci. Do Maurów, do Maurów! wołałam na srożący się uragan; do Maurów, aby się nawrócili i drżeli przed gniewem Boga. Dopiero zrana nabrałam otuchy, ujrzawszy tęczę, ów znak, który Bóg dał człowiekowi iż go powtórnym potopem karać nie będzie i aby ludzie więcéj nie drzeli przed ową groźbą.

— Dla czegoż matko, drzećby mieli przed zjawiskiem naturalnem? zapytała Rita.

— Naturalnem? z zadziwieniem powtórzyła Marya. Może jeszcze zechcesz dowodzić że wojna i zaraza są naturalne? Czy wiesz co to jest piorun? Otóż mówił mi pewien dozorca, że to pocisk z palącego się powietrza, który gniew boży miota. Dokądże nie wciska się powietrze, dokąd gniew boży nie sięga? A cóż dopiero piorun? Piorun rzekł pewien kaznodzieja, jest głosem Boga i jego majestatu; drzyjmy, kiedy grzmot się odezwie. Pamiętajcież więc dzieci że grzmot i burza są przestrogą, którą nam Bóg zsyła.

— Deszcz bardzo teraz potrzebny, rzekł Periko, ziemia spragniona.

— Ziemia zawsze spragniona jak pijaczka, zauważała Rita.

— Ojcze rzekła mała Aniela, czy wiesz com dziś śpiewała widząc jak bańki występują na powierzchni stawu?

I zaczęła śpiewać:

Pragnieniem usycha zboże,
Deszczu, daj deszczu o Boże! —
Najświętsza Panienka stoi
U wielkich niebios podwoi
Na śnieżnym koniu i żenie
Świetlane z góry promienie.
Wszędzie się bui ruń plonu. . . .
Chwalcie Pana głosem dzwonu.

Anioł (to było imie chłopczyka) niechcąc się dać zawstydzić swéj żywéj jak iskra siostrzyczce, rzekł szybko:

— A ja ojcze śpiewałem:

Serdecznem błagam cię pieniem,
Zwilż ziemię deszczów strumieniem;
Boże! jam słabe jest dziecie,
Nieskąp mi chleba na świecie.

— Dość już, dość bębny! rzekła Rita, skwirczycie jak koniki polne i nudneście jak żaby.

— Czy się możemy w jaką grę bawić? zapytał chłopczyk.

— Bawcie się kocim ogonem odpowiedziała Rita.

— Babko Maryo! rzekła dziewczynka, opowiedz mi jaką historyjkę to ci powtórzę katechizm. Ot słuchaj... Trzech jest nieprzyjaciół duszy: czart, świat i ciało.

— A czyto ciało to samo co mięso, rzekł chłopczyk, bo co tego nieprzyjaciela to lubię.

— Cicho pusta głowo, tu nie o mięsie mowa odrzekła babka.

— A o czemże? zapytał chłopczyk.

— Nateraz naucz się saméj litery, późniéj będziesz mógł zastosować to czegoś się nauczył. Tymczasem do-

wiedz się że ciało, to jest żądze twoje czynią cię tak łakomym i że niewstrzemięźliwość jest grzechem śmiertelnym.

— Siedm jest grzechów śmiertelnych, wyrwała się dziewczynka i szybko je wyliczyła.

— A ja babko, rzekł Anioł, umiem na pamięć trzy osoby: Bóg ojciec, Bóg syn i duch święty, który jest gołębiem.

— Jakiżeś głupi, zawołała Rita.

— Moje dziecie, rzekła Marya, nikt się nie rodzi mędrcem. Wiedz mój chłopcze, mówiła zwracając mowę do Anioła, że gołąb jest symbolem. Duch ś. jest równie Bogiem jak ojciec i syn.

Oboje dzieci uczepiły się sukni babki i każde ciągnęło ją w inną stronę aby jéj uwagę zwrócić na siebie.

— Ja umiem przykazania boskie, rzekło jedno.

— A ja kościelne, wtrąciło drugie.

— Ja sakramenta....

— A ja przymioty ducha ś...

— Ja...

— Cicho, cicho!... to już więcéj niż dosyć, rzekła, Rita; w końcu cały katechizm wypaplecie jak gdyby w szkole. A to mi przyjemna zabawa!...

— Jakto? rzekła z boleścią Marya, która się z prawdziwą uciechą przysłuchiwała wnukom, nudzi cię słowo boże i niema dla ciebie powabu w ustach twych dzieci? Pamiętam że spłakałam się z radości kiedyś odmówiła poraz pierwszy ojcze nasz.

— Wy bo gotowibyście i przy fandango płakać, odrzekła córka.

Biedna matka nic nie odpowiedziała lecz odwróciwszy się do dzieci rzekła:

— Tak z was jestem uradowana, że dokładnie umiecie katechizm, iż wam opowiem co tylko wiem najpiękniejszego.

I dzieci usiadły na ławeczce obok pieca na przeciwko babki, która w ten sposób rozpoczęła swe opowiadanie:

— Gdy anioł świętemu patryarsze Józefowi rozkazał uciekać do Egiptu, umieścił święty na swym osiołku Matkę i Syna i udali się w drogę przez bory i łasy. Wśród największéj gęstwiny lasu Matkę ogarnęła trwoga, gdyż droga była ciemna i samotna a gdy nadciągnęli pod jaskinię, wyskoczyła z niéj banda zbójców i rzuciła się na świętą rodzinę. Chcieli właśnie ściągać z osiołka Matkę i Syna, kiedy herszt zbójców imieniem Dyzma zbliżywszy się spojrzał na chłopca i do głębi serca wzruszony, rzekł do swych towarzyszy: Kto téj kobiecie i temu dziecięciu najmniejszą przykrość wyrządzi, ze mną będzie miał do czynienia — a do świętéj pary przemówił: Noc się zbliża i zdaje się że będzie burzliwą. Chodźcie a dam wam nocleg u siebie. I tak się stało. Herszt nakarmił ich i napoił, a święci oblubieńcy przyjęli ofiarę, gdyż Bóg nie odrzuca pomocy równie dobrych jak złych; dla tego nigdy niezaniedbujcie modlitwy, chociażbyście w śmiertelny grzech popadli. Kiedy z upływem czasu ów herszt zbójców schwytany i na śmierć został skazany, otrzymał zlitowanie i żałował za grzechy na krzyżu w godzinę śmierci, którą poniósł jako pokutę, w chwili kiedy zbawiciel nasz poniósł ją jako ofiarę. Został chrześcianinem i pierwszy ze wszystkich ujrzał majestat Bóga, jak mu to Chrystus był przyrzekł, który krew swą zań przelał.

Tymczasem wicher dął w przeciągłych świstach; drzwi drgały jakby niewidomą poruszane siłą a stare drzewo pomarańczowe na dziedzińcu szelestem swym zdawało się wiatrom czynić wyrzuty, że jego spokojność mącą.

— Żadna łodyga chwastu nie ostoi się w ziemi rzekł Periko.

— Cóż za ulewa! odezwał się Pedro, chmury rozbijają się i rzeka wyleje na pole.

— Czy widziałeś, rzekła Aniela do brata, jak dziś wieczór ścigały się chmury jak gdyby charty?

— Dokądże one tak pędziły? zapytał chłopczyna.

— Do morza aby wody naczerpać.

— Czyż to w morzu tak wiele jest wody?

— Oj, oj, więcéj niż w sadzawce dziadzi Pedra.

— Jęk wiatru rzekła Marya wydaje mi się być głosem złego ducha; jakąż on trwogą przeraża?

— Wy matko, bo się wszystkiego lękacie, zauważała Rita, kiedyż się już serce wasze uspokoi? Ty śpiochu, rzekła odtrącając chłopca, który się wsparł na jéj ramieniu, poszukaj sobie innéj podpory.

Chłopiec na pół rozespany utracił równowagę. Elwira krzyknęła. Periko przyskoczył i pochwycił go w ramiona. Annie wypadło z rąk wrzeciono; podniosła go nie mówiąc słowa.

— Jeżeli kiedy dzieci twe postradasz, rzekł Pedro oburzony, nie będziesz ich opłakiwać jak ja mojego syna; tę masz przynajmniéj korzyść przedemną.

— Ta żywość, ta żywość, któréj się zawsze tak lękam! rzekła Marya przestraszona, chcąc tym sposobem drobniejsze nadać rozmiary nagannemu przez się czynowi.

— Więc wszystkiego się lękacie matko, odezwał się Periko, czy nawet czarownic?

— Nie, tego nie, odrzekła mu świekra, nauka Chrystusa wzbrania wierzyć w czarownice i czary. Ja się tego lękam co Bóg dopuszcza jako chłostę na ludzi, a przedewszystkiem rzeczy nadprzyrodzonych.

— Czy są czarownice? widzieliście już kiedy którą? zapytała Rita.

— Czy są? odpowiedziała Marya, i ty wątpisz o tem?

— Rozumie się.

— Niewierzysz więc że są rzeczy nadzwyczajne?

— I owszem, taką rzeczą nadzwyczajną jest dzień, w którym mnie karmicie waszemi morałami — lecz żeby istnieć miały rzeczy nadprzyrodzone niewierzę. Jestem jak ś. Tomasz.

— Masz się czem chełpić!... szkoda że się nieporównywasz z ś. Piotrem, kiedy się mistrza swego zaparł.

— Ale czyż widzieliście kiedy co podobnego?

— Tak jakżebym widziała, odparła Marya.

— Jakże to było ciotko? zapytała Elwira.

— Moje dziecię, rzekła staruszka zwracając się do swéj siostrzenicy, najprzód opowiem ci co się wydarzyło hrabinie Villaorun, a o czem mi sama hrabina mówiła, gdy nieboszczyk mąż mój był dozorcą w dobrach jej Quintos. Pani ta miała pobożny zwyczaj kazać odprawiać mszę za złoczyńców w chwili gdy byli traceni. Słysząc o okrucieństwach jakich się dopuszczał słynny bandyta Vellico, postanowiła hrabina uczynić wyjątek w razie gdyby się dostał w ręce sprawiedliwości; i tak się też stało. Gdy został stracony, nieodprawiono mszy za jego duszę. Wkrótce potem gdy w nocy spała spokojnie, przebudził ją głos żałosny, tuż obok łóżka wołający ją po imieniu. Przestraszona zerwała się, lecz niedostrzegła nikogo, chociaż się lampa nocna paliła w sypialni. W tem posłyszała żałośniejszy jeszcze głos w dziedzińcu, a zanim z przestrachu ochłonąć zdołała, usłyszała po raz trzeci imie swe wymienione, lecz już tylko jak gdyby dalekie westchnienie.

Hrabina głośny wydała okrzyk; wszyscy domowi zbiegli się i znaleźli ją na pół żywą z przestrachu; lecz nikt nie słyszał głosu [1]).

Nazajutrz zaledwo na ołtarzach zapalono świece, odprawioną została msza za duszę potępionego wyrokiem

---

[1]) Jest to wydarzenie prawdziwe. Przyp. autora.

ludzkim i hrabina klęczała przed ołtarzem śląc gorące modły za nim do nieba; gdyż sprawiedliwość boska która jest inną jak ludzka, nie wyklucza nikogo. Cóż na to powiesz Rito?

Wszyscy byli wzruszeni opowiadaniem Maryi, tylko Rita rzekła ziewajac:

— Zapewne jéj się śniło... a słowa te jak zimny szron na kwiaty padły na serca obecnych.

— A niech że cię... cóżto za niedowiarstwo! zawołał stary Pedro. Ta Rita jeszcze kiedy taki weźmie koniec jak Lucero, który jak księża mówią, odszczepił się od kościoła.

— O niemówcie tego na Boga! wykrzyknęła Marya, chociażby to było tylko dla przyrównania. Powiedzcie raczéj jaki upór! gdyż mówi to jedynie aby mi się sprzeciwiać.

Szelest za drzwiami, które prowadziły na tylny dziedziniec, przerwał Maryi ostatnie słowo.

— Przebóg cóżto? zawołała.

— Nic matko, odpowiedział śmiejąc się Periko, cóżby być miało jeżeli nie wiatr, który dziś wieczór wszystko w ruch wprowadza.

— Mamo! rzekła Aniela, weź mnie na kolana jak tata Anioła, bo się boję.

— Tegoby jeszcze brakło, rzekła Rita w złym humorze, idź precz i niepokazuj mi się więcéj.

— Chciałbym wiedzieć, rzekł po chwili Pedro, czy ci co się naigrawają z bojaźni drugich, sami jéj niedoznają.

— Periko, Periko! rzekła Marya trwożliwie, jakiś szelest słychać w dziedzińcu.

— Ależ matko odpowiedział tenże, jakże jesteście trwożliwi i przestraszeni? czyż niesłyszycie że to deszcz ścieka z rynny.

— Ja, mówił daléj Pedro słabym głosem i jakżeby do siebie, jestem... odkąd dom mój krwią został splamiony...

— Pedro! przerwała Anna, pocóż zawsze wracać do jednego? Chcecież się znowu nastroić do smutku? poco wspominać przeszłość i to czego zmienić niemożna?

— Bo to co cierpię, odpowiedział Pedro, nieraz mnie tak ciężkiem brzemieniem przygniata, że muszę sercu memu ulgę nieść słowami. Często kiedy jestem samotny w domu, cierpienie to uderza na mnie całą siłą. Wierzcie mi, nieraz w nocy kiedy wszystko w koło mnie pogrążone było w milczeniu a sen powiek moich unikał, widziałem go... widziałem owego grenadyera jak w szarym swym płaszczu i futrzanéj czapce wychodził ze studni, w którą ciało jego było wrzucone i wpadał do izby jakżeby odszukując śladów krwi swojéj. Widzę go przed sobą, patrzcie, jaki wielki, nieruchomy, straszny!

W téj chwili otwarły się drzwi i postać wielka, nieruchoma, straszna w szarym płaszczu i w grenadyerskiéj czapce pojawiła się w izbie.

Jakby piorunem rażeni wszyscy zamilkli i siedzieli jak statuy kamienne.

— Wszelki duch Boga chwali! zawołała Marya.

Anioł rzucił się na łono ojca, Aniela na łono babki.

— Wentura! wyjąknęła Elwira zamykając oczy i głowa jéj opadła na piersi matki.

Melampo rzucił się łasząc do nóg swego dawnego pana.

Kobieta, dla któréj nieistnieje zapomnienie i pies który nieznа niewierności, poznali go równocześnie.

Z szybkością błyskawicy zerwał się Pedro z krzesła i biedny starzec który się na nogach utrzymać nie mógł, byłby runął na ziemię, gdyby Wentura zrzuciwszy płaszcz i czapkę, niebył przyskoczył i w ramiona go

swe pochwycił. Scenę jaka w owéj chwili nastąpiła łatwiéj pojąć niż opisać; był to epizod pełen zamieszania, słów urywanych, wykrzyków radości i podziwienia, łez i modłów do nieba.

Gdy się Wentura wyrwał z uścisków ojca, który go ramiony swemi objął za szyję, gdyż starzec nie wierzył jeszcze aby żywego syna przyciskał do piersi, zwrócił wzrok ku Elwirze, którą matka trzymała na rękach dając jéj wąchać w occie zmaczaną chustkę. Lecz to już nie ta była Elwira, jaką odchodząc zostawił. Blada, znędzniała, niepodobna do siebie, zdawała się już więcéj nienależeć do świata. Błyszczące oczy Wentury przybrały wyraz łagodności i głębokiéj troski i z całą otwartością wieśniaczą zapytał ją:

— Czyś chorowała Elwiro? zmieniłaś się nie do poznania...

— O teraz wszystko pójdzie lepiéj, wierzaj mi jak jestem synem mojéj matki, rzekł Pedro, w którym radość wzbudziła dawnego ducha wesołości i żartów. Nieobecność twoja i to że słuch o tobie zaginął, przyprawiło ją o chorobę — a to nie mała rzecz. Lecz czemuż dziecię moje nie pisałeś i niedawałeś żadnéj wiadomości o sobie.

— Sierżant moj napisał za mnie z pół tuzina listów, odpowiedział Wentura. Prócz tego byłem we Francyi i w niewoli; lecz długoby o tem mówić. Ale jak ty dobrze wyglądasz rzekł do Rity, która od chwili gdy wszedł nieoderwała wzroku swego od uroczego młodzieńca, którego zdobiły piękne wąsy, mundur i postawa wojskowa. Dalibóg śliczna z ciebie kobieta! Wszystko to jest skutkiem dobrego pożycia z Perikiem. A ty Periko czy zawsze się jeszcze żalisz? A toż wasze są dzieci? Cudne, małe stworzeńka! Niech je Bóg ma w swojéj opiece! Pójdźcież tu do mnie, przecież nie jestem Francuzem, ani straszydłem.

Wentura usiadł i zaczął się pieścić z dziećmi.

W téj chwili zbliżyła się do niego Marya z tyłu, wzięła głowę jego w obie dłonie i okrywała ją pocałunkami i łzami.

— Ciotko Maryo! rzekł Wentura, wieleżeście modlitw odprawili za mnie? Założyłbym się że nowenny jakieście odmówili, policzyćby można na setki, a śluby czynione na tysiące.

— Tak jest mój luby, niemylisz się; a jutro sprzedam najlepszą kurę na mszę przed ś. Anną, którą jéj przyrzekłam.

— Ależ ciotka Anna nic do mnie nie mówi, zauważył Wentura, czyście nie radzi z mego przybycia?

— O tak, tak mój synu! ale zajętą byłam Elwirą. Bóg jeden wie jak się cieszę żeś do nas wrócił, mówiła patrząc w bladą twarz swéj córki, i dziękuję mu za to, jeżeli to na dobre wyjdzie.

— O na dobre wyjść musi dla wszystkich, rzekł Pedro, prócz dla moich koźląt i waszych kurcząt, które przez miesiąc póki trwać będą zapowiedzi, z kolei przychodzić muszą na rożen.

— Nie bądźcie tak nagli kmotrze, rzekła uśmiechając się Anna, wesele nie da się tak łatwo upiec jak kurcze.

— Teraz każdy do swego kąta, rzekł Pedro po chwili wstając, dzieci! okno które wychodzi na ulicę już więcéj nie będzie samotne.

— Dziś stryju Pedro, rzekła śmiejąc się Rita, cała troska z Francuzem wpadła do studni i ani pierwsza ani druga już z niéj nie wyjdą.

— Daj Boże, taką mam nadzieję, odpowiedział uszczęśliwiony starzec.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Gdy się następnego wieczora zebrano, przyprowadził z sobą Wentura czarnego szpicla imieniem Tambor. Nie było jeszcze wypadku, aby obcy pies znajdował się na tem zebraniu. Zaledwo więc machając ogonem, umyty, wyczesany, wszedł z całą swobodą znamionującą ton wielkiego świata, rzucił się nań Melampo, który gardził temi przymioty lekceważąc wykwintnych darmozjadów, i przygniótł go do ziemi jedną z swoich ogromnych łap, bez samolubnéj atoli myśli naśladowania postawą i wyrazem lwa z Waterloo.

Periko jął go smagać prętem, Wentura kopał go nogami, Pedro rzucał za nim swój kapelusz, kobiety wołały nań po imieniu; wszystko napróżno — Melampo utracił całą swoją przytomność, zwykłe umiarkowanie i karność. Któżby się był mógł spodziewać że się zdoła nagle z wszelkich karbów wyłamać? Dopiero gdy Anioł doń przybiegł i objąwszy rączętami jego szyję w ucho mu wrzasnął: leżeć Melampo! wypuścił zdobycz swoją i poszedł w kąt z spuszczoną głową, jak gdyby się wstydził że słabszego pokonał. Położył się z odwróconem ku ścianie wzrokiem, aby nie być świadkiem pieszczot jakiemi obsypywano na pół kudłatego, na pół gołego psa z kędziorami na łebku, z rozpierzonym ogonkiem, za sztuki, które pokazywał.

— Wytłómacz mi Wenturo, rzekł Periko, jakim sposobem spadłeś wczoraj z deszczem z rynny i znalazłeś się raptem w izbie, do któréj ci nikt drzwi nie otworzył.

— Trudno to zapewne pojąć, odpowiedział Wentura. Przyszedłszy, udałem się do naszego domu i stara Eura któréj ojciec mój daje wolne mieszkanie za to, że mu

się gospodarstwem trudni, otworzyła mi, a chcąc tu być prędzéj i niespodziankę wam sprawić, przeskoczyłem mur, jak to byłem zwykł czynić będąc chłopięciem.

— Czyż niemówiłam wczoraj wieczór, rzekła Marya, że słyszę skrzypienie bramy i odgłos kroków w dziedzińcu.

— Opowiedz nam teraz swoje przygody, rzekł Periko. Niebyłżeś kiedy raniony?

— Czy nie był raniony? odezwał się Pedro, patrzcie tylko na piersi jego, a ujrzycie głęboką bliznę od kuli; że nie poległ zawdzięcza to jedynie temu guzikowi, który siłę kuli osłabił i dziś wgnieciony w samym środku wygląda jak miseczka... A tu widzicie jaka rana na ramieniu!

— Ej co tam ojcze, rzekł Wentura, już ona dziś zgojona. W ucieczce mojéj, mówił daléj, trzymałem się kierunku ku południowi, przybyłem do Sanlucar i zawinąłem do Kadyksu. Tam napotkałem pułk gwardyi, którym książę Infantado dowodził. Zawarłem przyjaźń z pewnym *Distinguido* z dobrego domu i pokochaliśmy się jak bracia. Wkrótce potem popłynęliśmy do Tarify w zamiarze zajęcia tyłu Francuzom, podczas gdy Anglicy mieli na nich z przodu uderzyć. Wypadkiem tego planu była bitwa pod Barrozą, po któréj Francuzi uciekli do Jerez, a my opanowaliśmy ich obóz.

Chodź, mówiłem do przyjaciela mego wśród boju, wydrzyjmy z rąk Francuzom orła, którego tak dumnie nad sobą unoszą, a który jest mi cierniem w oku. Chodź, odpowiedział, i nie poleciwszy się ani Bogu ani szatanowi, rzuciliśmy się na chorążego, któremu towarzysz mój zadał cios śmiertelny i zdobył obrzydłego ptaka.

Ale w mgnieniu oka ujrzeliśmy się otoczonymi przez Francuzów, którzy zażądali zwrotu zdobyczy, na co rzekliśmy im: Przepadło koledzy, ptak wpadł do klatki

i nie wyjdzie z niéj gdyby nawet Peppe Botellas [1]) lub Napoladron [2]) osobiście po niego przyszli.

Oparliśmy orła o dzikie drzewo oliwne, a sami stanąwszy na przodzie, zawołaliśmy: teraz chodźcie i weźcie go sobie! i przyszli... a odwagę mają te szatany jakkolwiek w złéj sprawie! Położyli trupem mego przyjaciela i ze mną byłoby się to samo stało, gdyż ich było dużo.

Mnie tylko żal było ptaka. Ale Bóg chciał aby więcéj nie świstał po francuzku: *Mambru* [3]) gdyż nasi nadciągli i odparli ich. Mnie posiekano prawie na kapustę, ale niech ich tam.... niewiedziałem doprawdy że tyle krwi mam w sobie. Stawiono mnie wraz z moim orłem przed pułkownikiem, który mi rzekł że się dzielnie popisałem i że otrzymam krzyż Ferdynanda za to żem zdobył potwornego ptaka. Jam go nie zdobył panie pułkowniku! rzekłem, lecz mój przyjaciel który... W tem straciłem przytomność. Gdym ją odzyskał ujrzałem się w szpitalu. Co się tyczy krzyża, były to gruszki na wierzbie...

— To twoja wina, rzekła Rita, pocóżeś powiedział pułkownikowi że to nie ty...

Wentura spojrzał na Ritę jak gdyby nierozumiał co mówi.

— Uczyniłeś, coś był powinien, rzekł Pedro, mów daléj...

Po licach Elwiry spłynęła łza.

— Zaledwo przyszedłem do siebie, popłynęliśmy do Huebra i byłem w bitwie pod Albuera, stoczonéj przeciw dywizyi marszałka Soulta. Późniéj dostałem się do

---

[1]) Dosłownie: Józef Flaszka. Jest to szydercza nazwa, jaką Hiszpanie dawali królowi Józefowi.

[2]) Przezwisko hiszpańskie Napoleona. Dwie ostatnie zgłoski (ladron) znaczą: rozbójnika.

[3]) Znaczy marsz: Marlborough.

niewoli, z któréj ucieczką udało mi się wydobyć i wstąpiłem do armii w Grenadzie, dowodzonéj przez księcia Del Parque, z którym ścigałem nieprzyjaciela aż po za Pireneje. W końcu przybyłem do Madrytu, gdziem przeczekał póki mi nie wręczono uwolnienia.

— Mój Boże! rzekła Marya, to ty Wenturo, tułałeś się po świecie daléj niż bociany.

— Ja nie, odpowiedział Wentura, ale znałem takiego. Był on z jenerałem La Romana na północy, gdzie ziemia tak grubą warstwą śniegu jest pokryta, iż ludzie w niéj czasem pogrzebani zostają.

— Czyż to być może? zawołała Marya z przerażeniem.

— Są tam jednak dobrzy ludzie, którzy nożów całkiem nieznają.

— Niech ich Bóg błogosławi, rzekła Marya.

— W kraju tym niema oliwy; razowy chleb tylko jedzą.

— Zły to kraj dla mnie, odezwała się Anna, gdyż zawsze najlepszy chleb mieć muszę, gdyby mi nawet wszystkiego zresztą zabrakło.

— Jakaż tam może być wodzianka z razowego chleba i bez oliwy? rzekła Marya z gestem obrzydzenia.

— Nie jadają wodzianek, odpowiedział Wentura.

— A cóż oni jadają?

— Ziemniaki i mleko, rzekł Wentura.

— Winszuję im smaku.

— Ale co najgorsza ciotko Maryo niema w całym kraju mnichów ani zakonnic.

— Co mówisz? zawołała Marya zdziwiona.

— Tak jest; mało jest tam kościołów, a i te wyglądają jak złupione szpitale bez kaplic, bez ołtarzów, bez wizerunków świętych, bez N. Sakramentu.

— Przebóg! zawołali wszyscy prócz Maryi, która nie-

ma zgrozą, wyglądała jak statua. Po chwili złożyła ręce i rozpromieniona radością zawołała:

— O moje słońce! Mój chlebie biały, mój kościele, moja Matko Boża, mój kraju, moja wiaro, moje święte ciało pańskie! Jakże niewypowiedzianie jestem szczęśliwą, żem się tu urodziła i tu przy miłosierdziu boskiem umrę. Dzięki niech będą Bogu, żeś nie poszedł do tego kraju.... do kraju odszczepieńców. Jakże byłoby to okropnie!

— Czyż to zaraża jak świerzb? zapytała Rita szyderczo.

— Tego nie mówię, broń mnie Boże? odpowiedziała staruszka, ale...

— Wszystko zaraża rzekł Pedro, jedno tylko dobre nie... lepiéj więc żeby każdy został w swojéj ojczyznie. Daję wam słowo, że ci co tam byli, nic nam dobrego nie przynieśli.

— Co też biedny żołnierz znieść nie musi? rzekła Elwira.

— Dla tego też zawsze lubiłam żołnierzy, odezwała się Marya, a nadewszystko dla tego że wiary chrześciańskiéj bronią. Dla tego także czciłam i czczę z takiem nabożeństwem ś. Ferdynanda, tego pobożnego i dzielnego wodza. W izbie mojéj wisi obraz świętego oprawny w ramki, a w około niego poprzylepiałam na ścianie papierowych żołnierzy, sądząc że to świętemu będzie przyjemnem, gdyż całe życie otaczał się swem wojskiem. Gdy Rita miała lat dwanaście poszłam była do Sewilli; dała mi ona reala, aby jéj grzebyczek kupić. Przechodziłam koło sklepu, przed którym wystawiony był wielki arkusz z malowanemi żołnierzami. Jakaż to będzie straż przyboczna dla mego świętego! pomyślałam sobie. Ale pieniędzy mi zabrakło, miałam tylko reala Rity, a tyle właśnie kosztował arkusz. Lepiéj, rzekłam do siebie, że Rita obchodzić się będzie bez próżnéj

ozdoby, niż święty bez straży przybocznéj i kupiłam żołnierzy.

Ricie powiedziałam że niewystarczyło pieniędzy, co w istocie nie było kłamstwem. Nazajutrz kiedym wydobyła żołnierzy, aby ich wokoło wizerunku króla rozlepić, weszła Rita. To na tych nędznych rycerzy papierowych, rzekła, miałaś pieniądze, a na mój grzebień ci ich zabrakło? To mówiąc wzięła arkusz z żołnierzami z rąk moich i chciała go za okno wyrzucić. Moje dziecie! zawołałam, z tymi żołnierzami wyrzucasz serce moje na ulicę. A gdym spostrzegła że na to nie zważa, pochwyciłam rózgę i wysmagałam ją. Ten to jedyny raz w życiu otrzymała odemnie karę.

— Lepiejby było dla was, rzekł Pedro, gdybyście częściéj byli to powtarzali...

— Któż wam dogodzi stryju Pedro, matka błądziła że córki swéj nie karciła, a ja błądzę że dzieci moich niepieszczę.

— Wszystko ma swoje właściwe granice moje dziecię, odpowiedział Pedro.

— Kiedy tak matko lubicie żołnierzy, mówiła daléj Rita, czegoż takie podejmowaliście trudy, aby siostrzeńca waszego Miguela uwolnić?

— Lubię żołnierzy dla tego właśnie że wiele cierpią i wiele przygód doznawać muszą i tego to powodu chciałam siostrzeńca mego uwolnić, odpowiedziała Marya.

— Jakżem się wtedy naśmiała, rzekła Rita zwracając się do Wentury. Podczas losowania pozapalała matka moja świece przed wszystkimi świętymi, a niemając tyle lichtarzy poprzylepiała do ściany skorupy ślimacze, w każdą włożyła knot, nalała oleju i zaczęła się modlić. Wśród tego nadeszła matka Miguela i oświadczyła jéj, że syn jéj musi zostać żołnierzem. Matka pogasiła natychmiast światła jak gdyby świętym powiedzieć

chciała: możecie sobie pozostać w ciemności, niepotrzebuję was więcéj.

— Co też to mówisz Rito, odrzekła Marya; oby Bóg podobnie serc nie sądził. Poddałam się, bo Bóg wolę swą objawił... a kiedy Bóg niechce, nieporadzą święci.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Radość Elwiry była niemniéj żywą jak krótką. — Cóż ujść potrafi oczom kochającéj dziewczyny? Są rzeczy które jak wiatr Guadarramy zaledwo wydają się tchnieniem a przecież zabijają. Zanim Rita i Wentura zdać sobie mogli sprawę z czaru owéj siły przyciągającéj, jaką wzajem wywierali na siebie, złożyła Elwira powtórnie Bogu w ofierze boleść utraconéj miłości; tym razem jednak już bez najodleglejszéj nadziei. Cierpliwa i rozumna Elwira uważała zerwanie jako niewątpliwy skutek jakiegobądź zdarzenia i przyjmowała równie dziś jak dawniéj, nie mogąc się zdobyć na odmowę, chłodne objawy miłości, równie bladéj i wątléj jak ona sama i gasnącéj obok żywego płomienia nowéj skłonności niemniéj silnéj błyszczącéj i piękněj jak przedmiot, który ją podniecał. Nocne odwiedziny pod oknem coraz były zimniejsze i krótsze. Niebyło okoliczności ażeby ruch, rzut oka, słowo, bezpośrednio nie zbliżyły ku sobie Rity i Wentury, których jakiś instynktowy, niczem niepokonany popęd przysuwał jak motyla ku sferze płomienia; nieznaną jest bowiem rzeczą pomiędzy ludem aby mężatka zapomniała swych obowiązków lub narzeczony przeniewierzył się swéj kochance. Dla rodziny

któréj historyą opowiadamy, było to rzeczą niezrozumianą i uważano ją za niemożliwą. Ale Rita nieznała żadnego hamulca, a życie żołnierskie złą było szkołą dla obyczajów Wentury.

Pewnego rana Periko wychodząc w pole rzekł do Elwiry siedzącéj w dziedzińcu:

— Tu masz siostro pieniądze, spraw sobie suknie jaśniejsze. Dopełniłaś już ślubu niezdejmowania żałoby aż do powrotu Wentury; dziś chciałbym ubior, twarz i wszystko na tobie i w tobie widzieć wesołe.

— Schowaj pieniądze bracie! odrzekła Elwira, z trudnością powstrzymując łzy cisnące się do oczu; czuję się codzień słabszą, zamiast przyodziewać szaty godowe wolę raczéj myśleć o Bogu i niezamieniać na inne barw, które mnie w trumnie osłaniać będą.

— Nie mów tego siostro zawołał Periko, bo mi serce ranisz; ale to już zwyczaj twój teraz, pogrążać się w ponurych myślach. Gdy będziesz szczęśliwą z Wenturą jak Rita i ja, gdy jak my dwoje dziatek mieć będziesz, które ci radość przyniosą, wtedy znikną twoje obawy. Chodźcie, rzekł biorąc oboje dzieci za rękę, chodźcie rozerwać ciotkę waszą.

Elwira odprowadziła wzrokiem brata i boleść, tem zjadliwsza i głębsza, im bardziéj ją tłumiła, rozrywała jéj serce, gdyż skarga wydawała się jéj jako bezrozumne wołanie o pomoc przeciw nieuleczonemu cierpieniu.

— Ciotko, rzekł Anioł, Melampo nigdy niezostaje w domu gdy ojciec wychodzi.

— Czyni co powinien jako dobry pies, odpowiedziała Elwira.

— Dla czego on się zowie Melampo, pytał daléj chłopiec z ową ciekawością właściwą dzieciom, którą starsi lekceważyć ani wyszydzać niepowinni.

— Zowie się tak, odpowiedziała Elwira, według miana jednego z psów, które szły z pasterzami do Betleem

aby widzieć nowo narodzone dziecię; było ich troje: Melampo, Kulidon i Lebina, a psy które nazwę tę noszą nie wściekają się nigdy.

— Ciotko, rzekła Aniela, goniąc za małą ptaszyną, niemogę złapać téj jaskółki.

— To nie jest jaskółka, odezwała się ciotka. Jaskółki wracają dopiero na wiosnę i nienależy ich łapać ani im nic złego robić.

— Dla czego ciotko?

— Bo są przyjaciołkami człowieka, mają w nim ufność i ścielą swe gniazdka pod jego dachem. One to wyciągały także ciernie Zbawicielowi z korony cierniowéj gdy był przybity na krzyżu.

W téj chwili potknął się i upadł Anioł i zaczął płakać. Rita wybiegłszy z swego mieszkania wzięła go na ręce.

— Cóżeś sobie zrobił moje drogie dziecię?

I obcierając zapaską twarz zbrukaną dziecka, mówiła daléj:

— Zbrudziłeś sobie twoją ładną buzię. Niech będą błogosławione twoje oczka, twoje usteczka, i twoje rączki!

I pieszcząc się z nim z namiętną czułością, zabrała go i siostrę jego do domu swéj matki, lecz sama wkrótce znowu wyszła na dziedziniec w tyle domu prać bieliznę.

Nadmieniliśmy już że dziedziniec tylny stykał się z dziedzińcem Pedra, i niezbyt wysokim murem był od niego oddzielony.

Rita zaczęła sobie śpiewać według obyczaju krajowego.

Lud andaluzyjski ma taki zapas w głowie wierszy najrozmaitszéj treści, że nie trudno znaleść stósowną zwrotkę na oddanie jakiejbądź myśli.

Piękny, harmonijny, dźwięczny głos odpowiadał jéj z sąsiedniego dziedzińca i ztąd wywiązał się dwuśpiew, który

głos mężczyzny zakończył następną strofą, świadczącą ile poprzedzające pragnieniom jego nadały odwagi:

Nie na wiatr szerzyć żale,
Ni księżyc skargą nużyć,
Lecz użyć pragnę, użyć,
Nim pory miną fale.

Tymczasem siedziała Elwira przy matce i szyła, a łagodna jéj twarz opromioniona pogodą rezygnacyi niezdradzała bynajmniéj bolu ani katuszy serca. Anna wpatrywała się w nią przenikliwym wzrokiem matki i myślała sobie: Miałyżby spełznąć nadzieje jakie przywięzywałam do powrotu Wentury? Miałżeby Bóg chcieć ją dla siebie zachować?

W téj chwili wpadły dzieci zadyszane.

— Babko! ciotko! Pedro nam mówił że się dziś w nocy mulica ożrebiła, chodźmy, chodźmy zobaczyć.

I jedno z dzieci ciągnęło babkę, drugie ciotkę za rękę. Nagle otwarły się na oścież drzwi prowadzące na tylny dziedziniec.

Jakiż to miecz obosieczny dla Anny, owéj roztropnéj niewiasty, kochającéj matki! Wentura i Rita siedzieli obok siebie w czułych pieszczotach w tem odległem i ukrytem miejscu.

Jak błyskawica skoczył Wentura na koło wozu stojącego pod murem i zniknął.

Rita z roziskrzonemi od złości oczyma zbliżyła się do balii w któréj prała bieliznę i z bezprzykładnem zuchwalstwem śpiewała:

Czemu najpierwsze stadło tak zgodne,
Pędziło w raju chwile swobodne?
Bo ni mężowi, ani niewieście,
Niedokuczały świekry ni teście.

Dzieci niezatrzymując się pobiegły do stajni. Anna odprowadziła do domu córkę prawie bez życia. Tam na

piersiach matki, któréj zgryzota Elwiry już więcéj tajną niebyła, wpadła w spazmatyczne łkanie.

— I ty wiedziałaś o tem milcząca męczennico roztropności! rzekła Anna. Płacz moje dziecie! płacz, łzy są jak krew, które płynąc z rany czynią ją mniéj niebezpieczną. Jam wiedziała czego jest zdolną i przepowiedziałam jéj to. Wiedziałam że na związku z własną krwią ciąży klątwa i przestrzegałam go. Lepiéjby było gdyby był poszedł na wojnę. Ale serce błądzi równie jak rozum.

Tymczasem bezwstydna kobieta następującą śpiewała zwrotkę:

Cały rydwan uroczy
Świekier, teściów się toczy;
Gdzież się czerń ta powlekła?
Do ojczyzny — do piekła.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Po bezsennie wśród najdolegliwszych trosk przepędzonéj nocy, Anna zdawała się spokojniejszą. Błysnął jéj promień nadziei, postanowiła bowiem pomówić z Ritą, pokazać jéj przepaść, w którą ślepo bieży i skłonić ją do odwrotu.

Anna posiadała jakiś urok godności, wywierającéj wpływ na każdego, w kim pycha, ów najsroższy wróg, jakiego człowiek mógł mieć kiedykolwiek, niezatarła najszlachetniejszego przymiotu... uszanowania. Pycha bowiem śmielszą jest nad wszystko inne, dumniéj podnosi czoło w obec cnoty, bardziéj stanowczą i rozkazującą przybiera postać, staranniéj owija bezwstyd swój w wdzię-

czne formy, silniéj gmatwa pojęcia i pokorę, tą święte uczucie, które z pierwszem błogosławieństwem Boga przyszło na świat, potępia jako podłość. Niekiedy pycha przystraja się w szatę godności, ale nikogo nie zdoła omamić. Godność bowiem wbrew przeciwnie dumie, nie wywyższa się kosztem drugich zostawia i stara się zachować wszystko na właściwem stanowisku, i wspanialéj jeszcze wydaje się kiedy czci niż kiedy bywa czczoną. Nie bogactwa, nie nauka, nie dostojeństwa nadają godność, a najmniéj ze wszystkiego... zarozumienie. Jest ona wiernem odbiciem wzniosłéj duszy, która zna swoją siłę, jest tak naturalną jak rumieniec zdrowia, nie zaś udaną jak kolor malowanéj twarzy.

Są jednak istoty, które siebie nad wszystko cenią i stawiają się z zadziwiającą pewnością na urojonym, w powietrzu z budowanym piedestale. Cechą ich jest zarozumiałość i nieograniczona pewność siebie, któréj brak tym, co stoją na silnéj skale niezmiennéj sprawiedliwości i wiernéj prawdy. Do rzędu tych istot, które pewnym krokiem i z pogodnem czołem krętą idą ścieżką, należała Rita.

Zdrowy rozum wieśniaków, którzy głęboko czują to wszystko cośmy właśnie powiedzieli, pojmował charakter obu tych kobiet i najtrafniejszy kreślili oni ich obraz mówiąc: Ciotka Anna milczeniem nawet uczy słowa bożego, a o Ricie wyrażali się: Ona się nieboi Boga ani czarta.

Rita szyła gdy Anna weszła. Zasunąwszy rygiel u drzwi, usiadła naprzeciw synowéj.

— Wiadomo ci Rito, że połączenie twoje z moim synem nigdy mi niebyło miłem.

— Przyszliście zapewne aby wam za to podziękować, odrzekła Rita opryskliwie.

— Przeniknęłam cię już wskróś.

— Niepotrzeba na to daru jasnowidzenia odpowiedziała Rita, jestem otwartą że tak powiem na oścież, nie przywdziewam maski i mówię co myślę i jak myślę.

— Nie w tem leży złe że mówisz to co myślisz, lecz w tem że myślisz to co mówisz.

— O zapewne byłoby lepiéj dla mnie, gdybym udawała cichą wodę jak inne, co wyglądają jak śnieg a są poprostu szczypiącą solą.

Byłto raz wymierzony przeciw Elwirze. Anna zrozumiała to dobrze, jednak niby niezważając na ten dotykalny przytyk, mówiła daléj:

— Omyliłam się — nie całkiem cię przeniknęłam.

— Oho! rzekła Rita, nadciąga burza!

— Nie sądziłam nigdy prowadziła daléj Anna, aby aż do tego przyszło.

— Teraz pójdzie na ostre, szyderczo nadmieniła Rita i szyła daléj obojętnie.

— Kiedy się niewstydzisz, mówiła Anna oszukiwać mego syna....

— Czy aż tak, odpowiedziała Rita zimno.

— I moją biedną córkę zabijać....

— Wyszło w reszcie szydło z worka, zawołała Rita, otóż właściwy węzeł rzeczy. To ja mam pokutować za to, że Wentura niechce zaślubić nudnéj dziewczyny, któréj bliżéj do cmentarza niż do ślubnego kobierca? Mojaż wina że on wesoły, woli się bawić ze mną, która także jestem wesołą, niż się nudzić z Elwirą?

— Anna pozwoliła się Ricie wygadać i tylko bladość śmiertelna świadczyła o stanie jéj umysłu.

— Rito, rzekła gdy ta skończyła mówić, kobieta nigdy niedopuszcza się bezkarnie wiarołomstwa.

— Co? zawołała Rita zerwawszy się z płomieniejącą twarzą i iskrzącemi oczyma, i rzucając robotę; cóżeście wyrzekli Seńora? Wiarołomstwo? ja? Nienawidziliście mnie zawsze jako świekra, a do tego zła świekra; ale

niepojmowałem nigdy aby kto co się w pobożności po szyję zanurza, podobne składał świadectwo.

— Niemówię ja abyś się dopuściła wiarołomstwa, odpowiedziała Anna w tym samym poważnym i spokojnym tonie, jaki od początku zachowywała w swéj mowie, lecz że znajdujesz się na drodze, która do niego prowadzi i że się go dopuścisz jeżeli Bóg niedopomoże i nieotworzy ci oczów.

— Wszędzie i zawsze prorokiem! prawdziwy Jonasz uosobiony! Oby cię, dodała cicho, również wieloryb pochłonął.

— Tak jest rzekła Anna i przychodzę...

— Grozić mi? zapytała Rita zuchwale.

— Nie — moje dziecie, odpowiedziała zacna kobieta drżącym, wzruszonym głosem, przychodzę zakląć cię w imie Boga, na miłość dla mego syna, na szacunek dla krewnych twoich, na twoje własne szczęście, abyś się zastanowiła nad tem co czynisz i weszła w siebie póki jeszcze pora.

— Czy wam to Periko polecił?

— Nie — syn mój niedomyśla się niczego i niedaj Boże aby się śpiący lew rozbudził.

— Pocóż się więc troszczycie o to co was nieobchodzi wcale. Periko nie jest i nigdy niebył zazdrosnym i z igły niezrobi wideł. Nie jest on również obłudnym świętoszkiem, ażeby zaraz wołał w niebogłosy że ktoś jest wesoły, lub gorszył się tem że kto parę wiader wody żonie jego przyniesie, kiedy ta pierze.

— Rito, nierób sobie igraszki z mężczyzn!

— A wy nierobicież sobie igraszki z kobiet? czyż niezakrawa to prawdy nato jakżebym dla całéj wsi była zgorszeniem?

— Pamiętaj Rito, mówiła Anna w coraz surowszym tonie, że obraza zwykle krew za sobą pociąga u mężczyzn.

— Tobyście skakać powinni z radości odpowiedziała Rita, jeżeli trochę krwi popłynie, gdyżby się spełniło wasze proroctwo że „własna krew nieprzynosi szczęścia" i inne smalone duba, któremi chcieliście syna waszego od żenienia się odstraszyć. Ale wam się nieudało jak się i dziś nieuda, kiedy jak widzę, chcecie niezgodę pomiędzy nami zaszczepić. Wiem ja co czynię. Periko jest człowiek cichy i wie czem jestem dla niego. Zostawcie nas więc w spokoju, a żyć będziemy szczęśliwi jak dawniéj, jeżeli synowi waszemu nierzucicie żaru do głowy. Postarajcie się raczéj o ślubną suknię dla corki, waszéj faworytki, która według woli waszéj związki zawiera.

Słuchając owego wybuchu obelg i przekąsów, czcigodna matrona tracić zaczęła na chwilę zimną krew swoją, lecz anioł cierpliwości, którego Bóg zsyła matkom w pierwszéj zaraz chwili, gdy niemi zostają i który im krzyż dźwigać pomaga, odniósł zwycięztwo. Z wyrazem bolesnego uśmiechu, w którym więcéj było politowania niż pogardy, oddaliła się Anna.

Dręczące zwątpienie opanowało biedną matkę gdy się przekonała że krok, który uczyniła, pozostał daremnym. Postanowiła zawiadomić o wszystkiem Pedra, aby syna swego oddalił. Wkrótce potem umarł dozorca, który po Wenturze nastąpił i znowu Wentura zajął jego miejsce. Oddalenie jego, jakkolwiek przerywane częstemi odwiedzinami, dozwalało Annie nieco odetchnąć. Myślała ona sobie: żyć przez dzień jeden jest przecież życiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Tymczasem nadeszły wesołe święta Bożego Narodzenia i dla dzieci uwito piękny sad z wonnych gałązek sośniny, tymianku, lawendy i innych roślin, który zajmował część izby w domu Perika. Periko sam przyniósł z pola rośliny z niemniejszą radością jak kochanek, który dla swéj ulubionéj kwiaty przynosi.

W pierwszę święto wysłuchał Periko wcześniéj mszy św. i wyszedł w pole aby zobaczyć pszenicę, gdyż mu powiedziano że kozy przechodziły miedzą.

Około dziesiątéj wrócił i dzieci zastał same.

— Dobrze żeś przyszedł, zawołały radośnie wybiegając na przeciw niego.

— Gdzież jest babka Marya i ciotka Elwira?

— Poszły na sumę.

— A przy kimże was zostawiono?

— Przy matce.

— Gdzież ona jest?

— Czyż my wiemy! Bawiliśmy się w izbie przy niéj tańcując i śpiewając około sadu. Wtem nadszedł Wentura i matka kazała nam iść gdzieindziéj z naszą muzyką, gdyż ją głowa boli. Wychodząc słyszałem ojcze jak rzekł Wentura: dobrze robisz że ich wysyłasz, bo aniołowie są świadkami szatana. Prawdaż to ojcze? czy my jesteśmy świadkami szatana?

Któż w życiu niedoświadczył, jak nieraz jedno słówko staje się kluczem do tajemnicy, pochodnią, która teraźniejszość i przeszłość rozświeca i mnóstwo okoliczności i zdarzeń, które minęły niepostrzeżenie, lecz zestawione z sobą tworzą pojęcie, przekonanie, a nareszcie pewność, wydobywa z zapomnienia i w jasnem świetle stawia. Takie wrażenie wywarły na Perika słowa, które karząca opatrzność umyślnie włożyła w usta nie-

winności. Późno lecz w okropnéj postaci stanęła prawda przed jego oczyma, które dotąd zamykało zaufanie, i nieufność zajęła miejsce w sercu jego, które dotąd tak było zdrowe i w własnéj roztropności tak silny upatrywało puklerz, że nigdy podejrzenie nieznalazło doń wstępu.

— Ojcze, ojcze! co tobie? zawołały dzieci widząc go drżącym i bladym.

Periko niesłyszał ich głosu.

— Babko Anno! rzekły do wchodzącéj matki Perika, chodź prędzéj, ojciec nasz zasłabł.

Periko posłyszawszy chód matki, zwrócił ku niéj błędny wzrok swój i zdało mu się że czyta na jéj poważnem czole straszliwy wyrok, jaki wydała o przyszłości, od któréj troskliwa miłość jéj ustrzedz go chciała, iż zła córka będzie również złą żoną.

I bezprzytomnie wybiegł z domu jąkając niezrozumiale jakiś pozor swego nagłego wyjścia.

Anna stanęła w oknie i ochłonęła nieco z wrażenia widząc go na ścieżce wiodącéj w pole.

— Mianożby donieść że cudze bydło weszło na jego pole?

— Być może matko; wczoraj się jeszcze tego obawiał odpowiedziała Elwira.

Ale godzina obiadowa nadeszła a Periko niewrócił.

W Boże Narodzenie mogło to wprawdzie uderzać, lecz nic wtem niebyło niepokojącego na wsi gdzie się nietrzymają godziny.

Wieczór o przeznaczonéj godzinie przyszedł Periko i Marya, każde osobno.

— Czy Wentura dziś niebył? zapytała Anna.

— Był, odpowiedział Pedro, ale dziś jest muzyka i przyjaciele jego zapewne go z sobą zabrali. Zawsze on tak namiętnie lubił tańcować, iżby dla fandanga wszystko porzucił.

— A Rita czy niebyła u was ciotko Maryo? zapytała Elwira.

— Tak jest Elwiro, lecz wybrała się z siąsiadką na muzykę. Odradzałam jéj, ale że mnie nigdy nie słucha...

— I dobrzeście robili rzekł Pedro. Uczciwa kobieta powinna być potulną i dom nadewszystko miłować.

Wszyscy milczeli zadumani, gdy nagle wszedł Periko. Blade światło lampy, przyćmione jeszcze zasłoną, niedozwalało widzieć zmienionéj jego twarzy. Sine obwody, jakby po długiéj chorobie otaczały pałające jego oczy; suche, czerwone jego usta znamionowały gorączkę. Rzucił szybki wzrok w około i zapytał:

— Gdzie jest Rita?

Wszyscy milczeli, w końcu rzekła Marya nieśmiało:

— Poszła na chwilkę z sąsiadką na muzykę mój synu!... zebrała ją ochota... dziś Boże Narodzenie... ale wróci niebawem.

Niemówiąc ani słowa wybiegł Periko z izby.

Matka jego zerwała się i chciała iść za nim, lecz go niemogła dogonić.

— Mówię wam Maryo! rzekł Pedro, że Periko miałby rozum żeby jéj dał pamiątkę. Niemiałbym mu tego za złe.

— Dajcie pokój Pedro, Periko niebyłby zdolnym targnąć się na swą żonę. Biedaczka! i cóż w tem zresztą tak złego że sobie trochę podskoczy. Starzy niepowinni zapominać że także kiedyś byli młodymi.

W téj chwili weszła Anna bardzo pomieszana.

— Pedro rzekła, idźcie na muzykę...

— Co wam się śni odpowiedział Pedro. Ani sześcią końmi niedałbym się powieść. Zresztą jeżeli Periko swéj najdroższéj małżonce parę sińców wypiętnuje na plecach, to jéj wyjdzie na zdrowie. Nie otrę jéj łez moją chustką.

— Idźcie powtarzam Pedro, błagała Anna raz jeszcze, ale tak przerażonym głosem, że Pedro zwrócił się i spojrzał na nią.

Anna pochwyciła go za rękę i odprowadziwszy na stronę szybko szepnęła mu słów kilka.

Starzec wydał przytłumiony wykrzyk, złożone ręce oparł na zmarszczonem swem czole, chwycił za kapelusz i wybiegł z izby.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Wentura i Rita tańczyli wesoło rozgorączkowani tem wszystkiem, cokolwiek może obłąkać głowy, olśnić wzrok rozumu, nakazać milczenie rozsądkowi i wypędzić uczucie przyzwoitości, to jest: winem, czysto zmysłową miłością, swawolnym tańcem i odurzającą siłą bezrozumnych oklasków.

W istocie Wentura i Rita piękną tworzyli parę. Rita ustroiwszy w świeże kwiaty młodociano uroczą swą głowę, nadawała jéj zalotne ruchy, równie jak i całemu ciału, z ową krajowi temu właściwą i trudną do naśladowania gracyą, która według upodobania przybiera kształty wstydliwe albo lubieżne. Czarne jéj oczy błyszczały jak szklący agat, a w różowych jéj palcach odzywały się kastaniety, jak wabiący głos miłości. Wentura był jedynie godnym jéj tancerzem, i nigdy niewidziano, aby kto z większą lekkością i wdziękiem tańcował fandango.

Wśród ostatnich zwrotów tańca, w chwili kiedy się podwajały oklaski i głośne objawy zadowolnienia, wszedł Periko i stanął na progu.

Wśród ogólnego zajęcia tańcem nikt niedostrzegł jego przybycia, a Wentura, który Ritę zaprosił do pokoju, gdzie się raczono napojami, przeszedł z nią tuż obok niego i nieujrzał Perika stojącego po za obrębem światła, które z pokoju padało. Perika doszły ciche wyrazy, które sobie Wentura z Ritą szeptali i przekonały go o całéj rozciągłości nieszczęścia, o całym bezwstydzie kobiety którą tak kochał, która była matką jego dzieci, o całéj szkaradzie zdrady przyjaciela i brata.

Cios tak był okropny że przez chwilę stał jakby piorunem rażony, przyszedłszy jednak do przytomności udał się za niemi:

Rita stała przez zwierciadłem i poprawiała kwiaty na głowie.

— Zwiędły, rzekł Wentura. Pocóż się stroić w róże, czy niewiesz że one na głowie pięknéj kobiety usychają z zazdrości.

— Zdaje się Wenturo, rzekł jeden z jego przyjaciół że ci ze wszystkich owoców najbardziéj przypadają do smaku zakazane.

— Mnie, odpowiedział Wentura smakują wszystkie owoce czy zakazane czy nie.

— To jest nikczemność, rzekł jeden z przyjaciół Perika.

Jeden z obecnych wziął go pod rękę i odprowadził na stronę:

— Milcz człowieku, czy niewidzisz że ma w głowie? Któż cię tu zresztą postanowił stróżem? Po co ci się w to mieszać, kiedy Periko którego to najbliżéj obchodzi, zezwala.

— Kto śmie mówić że Periko Alwareda zezwala na nikczemność? rzekł tenże wychodząc na środek pokoju blady jak gdyby prosto wstał z trumny.

Na głos męża wślizněła się Rita jak wąż pomiędzy pijących i znikła.

— Przyszedł w porę czuwać nad swoją żoną, rzekło śmiejąc się kilku z młodzieży tworzącéj orszak walecznego żołnierza i prym trzymającego w tańcu.

— Cóż widzicie w méj twarzy, co was tak rozwesela? zapytał Periko z założonemi rękami i wyrazem przytłumionego gniewu.

— Śmieszność, odpowiedział Wentura.

Wszyscy parsknęli od śmiechu.

— Masz szczęście że niemam broni, zawołał Periko z wściekłością.

— Nie sróż się, rzekł Wentura z szyderczym śmiechem; jagnie chce lwa udawać. Daj pokój święty człowieku samochwalstwu; nie szukaj zwady i idź do domu dzieciom nosy obcierać.

Periko rzucił się na Wenturę, który się zachwiał zaczepiony gwałtownie, lecz wkrótce odzyskał równowagę, schwycił Perika wpół z właściwą sobie siłą i zręcznością, powalił na ziemię i kolanem przycisnął mu piersi. Na szczęście Periko niemiał z sobą noża i Wentura swego nie dobył, lecz za to ścisnął go za gardło obu rękami i powtarzał pieniąc się:

— Ty śmiesz targnąć się na mnie, ty któregobym trzeba palcami na kawałki rozszarpał, ty tchórzu podły! pieszczochu!

Wtem ukazał się Pedro pomieszany:

— Wenturo, zawołał, Wenturo! co robisz, co robisz nędzniku!

— Na widok ojca Wentura puścił Perika i podniósł się.

— Jesteś pijany, rzekł Pedro odchodząc od siebie z gniewu i boleści, jesteś pijany i bezprzytomny... do domu mi zaraz, mówił popychając go z tyłu, naprzód do domu.

Wentura był posłuszny i nic nie odpowiedział, gdyż w słowach Pedra nietylko głos ojca doszedł jego uszu, lecz głos rozumu, sumienia, serca. Szlachetne jego nat-

chnienia zbudziły się na nowo i wstydził się bardzo nietylko całéj gorszącéj sceny, lecz i tego co do niéj dało powód.

Tymczasem podniesiono Perika, który zwolna przychodził do siebie z odurzenia jakie mu ciśnienie rąk Perika sprawiło. Ręką potarł czoło, rzucił po otaczających wzrokiem zranionego i skrępowanego lwa i idąc rzekł żałosnym głosem:

— Oboje wtrącił nas w przepaść.

Ponieważ ojciec prowadził Wenturę nikt się nieośmielił temu sprzeciwiać.

— To tak nie zostanie rzekł jeden kiwając głową.

— Ma się rozumieć rzekł inny, zdradę czeka kara, a gdzież ten święty, któryby to znieść potrafił?

— Nienależałożby téj imościanki na resztę życia zamknąć w klasztorze? dorzucił trzeci.

Tymczasem Periko mówiąc do siebie w urywanych słowach, przyszedł do domu.

— Tchórzu podły! pieszczochu! śmieszność jest w mojéj twarzy! I to on mnie powiedział, on? łagodne jagnie!.. Nikt jeszcze honoru mego nie dotknął... ty go pierwszy zeplwałeś i zdeptałeś nogami ..... O zobaczemy!

Wszedł do izby i pochwycił za broń

— Ojcze! zawołała Aniela cieniutkim głosem z izby sypialnéj, ojcze! myśmi sami.

— Wkrótce bardzéj jeszcze będziecie sami, odmruknął Periko.

Głosy dziecięce odzywały się daléj:

Ojcze, ojcze!...

— Nie macie już ojca, rzekł Periko i wybiegł na dziedziniec.

Oparł strzelbę na pniu pomarańczowego drzewa, aby przygotować ładunek i nabić, ale jak gdyby stary ów opiekun rodziny zobojczą broń od siebie odepchnął, strzelba

ześliznęła się i upadła na ziemię. Liście drzewa jak gdyby ciemnem poruszone przeczuciem, zaczęły szeleścić.

Właśnie chciał Periko wyjść, gdy matka jego niespokojnością miotana zasnąć nie mogąc, na odgłos kroków syna, wyszła naprzeciw niego.

— Gdzie idziesz Periko? zapytała go.

— W pole — niewiecież że kozy przechodzą miedzą?

— Czy byłeś na muzyce?

— Byłem.

— A Rita?

— Nie było jéj. Ciotka Marya marzy jak w gorączce.

Anna odetchnęła, chociaż z drugiéj strony niezwykle surowy ton syna i szorstkość jego odpowiedzi zaniepokojoną już matkę zadziwiły.

— Nie chodź teraz w pole mój synu! rzekła błagającym głosem.

— Nie iść? dla czego?

— Niewiem, ale serce moje mówi mi, że niepowinieneś wychodzić, a serce mnie nie zwodzi nigdy.

— O wiem to? odpowiedział Periko ale z taką goryczą i tak ostrym naciskiem, że matka jego lękać się zaczęła czy zkądinąd niezaczerpnął podejrzenia, chociaż Rity na muzyce niewidział.

— Kiedy wiesz, to niechodź rzekła.

— Matko! odpowiedział Periko, kobiety oburzają tem mężczyzn że chcą nad niemi panować; mnie nazywają pieszczochem... sprobuję o własnéj sile wylecieć.

I zbliżył się do drzwi.

— Tak mój synu? mówiła biedna matka cicho do siebie. O jemu coś jest, jemu coś jest?

Gdy Periko drzwi otworzył ukazał się przy nogach jego wierny towarzysz Melampo.

— Pójdziesz! zawołał Periko i kopnął go nogą.

Biedny pies nieprzywykły do złego obejścia, cofnął się zdumiony, lecz bez cienia nawet urazy, co czyni

psa w przywiązaniu wzorem rezygnacyi i wierności, rzucił się zaraz do drzwi za swoim panem; były już jednak zamknięte. Zawył więc żałośnie i dowiódł jak trafny jest instynkt tych zwierząt, kiedy wyciem bliskie wróżą nieszczęście.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Dnia następnego wstał Wentura snem zupełnie wytrzeźwiony, z szczerą skruchą i głębokiem zawstydzeniem. Nie tłómacząc się słuchał on ciężkich i słusznych wyrzutów ojca.

— Ojcze! masz słuszność we wszystkiem, rzekł, lecz odpowiem ci tylko że niewiedziałem co czynię. Cierpię ja mocno nad tem. O to przeklęte wino!... W obec całéj wsi dam mu zadośćuczynienie; a tem siebie więcéj uszanuję niż obrażonego Perika.

— Chcesz mu więc dać zadośćuczynienie? rzekł Pedro.

— Choćby sto razy ojcze!

— Ożenisz się z Elwirą?

— Z największą radością.

— I uczynisz ją szczęśliwą?

— Przysięgam na ten krzyż, odpowiedział Wentura, zakładając palec na palec.

Pedro patrzył przez chwilę na syna swego głęboko wzruszony i rzekł:

— Jeżeli tak, to niech cię Bóg błogosławi mój synu!

Obydwa poszli do domu Anny, chcąc się zobaczyć z Perikiem. Wyszedł on był już, jak im oznajmiła Anna.

Gdy Anna ujrzała Wenturę i Pedra i jakieś swobodne zadowolenie w twarzy ostatniego dostrzegła, uśmierzyły się jéj niepewne i dręczące obawy. Najwięcéj jednak doznała otuchy, gdy Wentura zbliżył się do Elwiry, i z pełną miłości troskliwością z nią rozmawiał, podczas gdy Pedro rzucając z miną tajemniczą ukośnie wzrok na syna swego rzekł:

— Nieborak niemoże się doczekać chwili swoich zaślubin.... nieprzewlekajcież tak kmotro przygotowań weselnych... młodzi niemają tyle zimnéj krwi, co my starzy.

Wkrótce potem wyszli: Wentura do wsi, gdzie był dozorcą; Pedro chcąc iść w pole, szedł z nim razem, tęż samą mając drogę przed sobą.

Pszenica pięknie zieleniła się na polu; było w niéj jednak dużo chwastów.

— Chwasty bują się swobodnie, rzekł Wentura.

— Natura rzekł Pedro siląc się w chwasty, głuszy pszenicę; lecz nie dziw, są one prawem dziecięciem ziemi, któréj pszenica jest tylko wychowanką. Ale z pomocą bożą niezabraknie w domu pszenicy dla nas... i uśmiechając się dodał... dla tych co być jeszcze mogą

Pożegnali się i Wentura poszedł do oliwnego gaju.

Pedro spoglądał za nim.

— Takim synem, rzekł do siebie, żaden król się nieposzczyci. W całéj Hiszpanii drugiego takiego nie znajdzie. Jeżeli ciało jego jest piękne; to dusza jeszcze piękniejsza.

Zaledwo Wentura wszedł do oliwnego gaju, ujrzał w odległości Perika ze strzelbą wychodzącego z za drzewa.

— Mam, zawołał Periko, coś w mojéj twarzy, co jakeś powiedział, pobudza do śmiechu, lecz mam zarazem coś w rękach, co śmiech powściągnąć zdoła. Jestem po-

dłym tchórzem i pieszczochem, lecz potrafię ja jeszcze obmyć obelgę, którą mnie splamiłeś.

— Cóż zamierzasz czynić Periko! zawołał Wentura, rzucając się nań aby mu rękę powstrzymać.

W tem zagrzmiał strzał i Wentura padł śmiertelnie ugodzony na ziemię.

Pedro posłyszawszy strzał zawołał przerażony:

— Cóżto jest? Ale cóżby być mogło? zapewne Wentura strzelił do kuropatwy. Strzał padł tak blisko, muszę zobaczyć.

Szybkim krokiem puścił się ścieżką, którą syn jego poszedł. Ujrzał postać broczącą we krwi na ziemi i jak błyskawica przyskoczył:

— Boże wszechmocny! zawołał, wszak to człowiek zabity! a tym człowiekiem mój syn!

Biedny starzec runął na ziemię obok syna swojego.

— Ojcze! rzekł Wentura, mam jeszcze siłę... nieodchodź od zmysłów i pomóż mi... pójdziemy tam, patrz oto folwark jest blisko! zawołaj mi księdza, chcę umierać jako katolik.

Bóg miłosierdzia udzielił sił nieszczęśliwemu ojcu. Podniósł syna, który wsparty na nim kilka kroków postąpił tłumiąc jęk, który doskwierające bóle z piersi jego wyrywały.

Na folwarku dosłyszano żałosny głos wołający o ratunek. Wszyscy wybiegli nadwór. Biedny Pedro zwolna zbliżał się ścieżką, niosąc umierającego syna swego na barkach. Otoczono go wokoło.

— Księdza! księdza! wołał Wentura konającym głosem.

Na najszybszym koniu popędził umyślny posłaniec do wsi.

— Chirurga! chirurga! wołał ojciec.

— Sędziego! dodał rządca folwarku.

Położono Wenturę na tapczanie i starano się zatamować krew z rany płynącą.

Tak przeciągła się godzina pełna trwogi i przerażenia.

W tem zatętniał szybki chód koni. Posłaniec powrócił z księdzem. Pomoc religijna najprzód nadeszła.

Ksiądz wszedł z najświętszem sakramentem. Wszyscy uklękli.

Pedro znalazł w rozpaczy swéj ulgę w strumieniu łez.

Ksiądz i umierający pozostali sami. Uroczyste milczenie przerywane tylko jękami Wentury panowało na folwarku.

Sługa Boży opuścił pokój. Łagodny spokój rozlał się na licach pojednanego z Bogiem.

Wszedł chirurg który przybył właśnie podczas spowiedzi.

Bada ranę, milczy, i zwraca się smutno kiwając głową do otaczających.

Pedro, który z złożonemi rękami czekał na wyrok pomazańca sztuki, padł na ziemię i wyniesiono go.

W téj chwili wszedł alcalda z pisarzem sądowym i zbliżyli się do Wentury leżącego z zamkniętemi oczami. Bladość śmierci okrywała twarz jego.

— Panie alcaldo! rzekł chirurg, on niemoże już składać świadectwa... już kona.

Słowa te doszły do uszu Wentury.

Z właściwą sobie energią otworzył oczy i rzekł zrozumiale:

— Zapytujcie, mogę wam jeszcze odpowiadać.

Pisarz sądowy zasiadł do pisania a alcalda zapytał:

— Cò jest przyczyną twojéj śmierci?

— Ja sam, odpowiedział Wentura wyraźnie.

— Kto cię zabił?

— Ten któremu przebaczyłem.

— Więc przebaczasz mordercy?

— Przed Bogiem i ludźmi. Te były ostatnie słowa jego.

Ksiądz wziął go za rękę i rzekł:

— Módlmy się za duszę jego.

Wszyscy uklękli, a anioł stróż ulatującą jego duszę, która mordercy przebaczyła, przyjął jak siostrę, zanim jeszcze wyrok Boży usłyszała.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wszystkie kobiety zgromadzone były w mieszkaniu Anny, a chociaż żadna prócz Rity niewiedziała o wydarzeniu ubiegłéj nocy, ponure jednak panowało milczenie, które w końcu Marya zwykle gadatliwa przerwała:

— Niewiem co mi się dzieje, ale tak mi jakoś okropnie jak gdyby mi serce piersi chciało rozsadzić.

— I mnie także, dorzuciła Elwira, trudno oddychać i zdaje się jak gdyby mi kamień leżał na sercu. Czy to jest skutkiem powietrza? Miałożby to być przepowiednią burzy, ciotko Maryo?

— Biedne dziecie! lekarstwo przybywa za późno Ziemia domaga się swéj własności: ciała, a niebo duszy.

— A ja jestem jak zawsze, rzekła Rita. Ona właśnie niemogła sobie znaleść miejsca z niespokojności.

Aniela zrobiła sobie lalkę ze szmatek, położyła ją w wydrążonéj dachówce zamiast w kolebce, a smutne milczenie, jakie po tych kilku słowach nastąpiło, przerwał czysty głos dziecka, który w łagodnéj lecz jednotonnéj nucie, jakiéj matki usypiające dzieci taki umieją nadawać urok, zaśpiewał następującą zwrotkę:

Gdy z tobą pieszczoty dzielę,
Z boleścią marzę wtedy,
Co z nami będzie aniele!
Jak się rozstaniem kiedy?
O aniołkowie z nieba . . .

W tem dziecięcy ten i łagodny śpiew przerwał głęboki i poważny głos dzwonu, którego drzące tony rozpływały się w powietrzu zwolna jak gdyby wznosząc się w wyższe sfery.

— Cóż to jest Boże! zawołali wszyscy.

Anna modliła się za tego, który miał przyjąć najświętszy sakrament.

— Któż to być może?... rzekła Marya. Niewiem żeby kto we wsi chorował.

Rita przystąpiła do okna i zapytała przechodzącą kobietę, kto we wsi chory.

— Nie wiem, odpowiedziała, ale to gdzieś po za wsią.

Inna kobieta zbliżyła się mówiąc:

— To jakieś morderstwo, z proboszczem pospieszyli razem chirurg i sędzia.

— Boże zlituj się! zawołali wszyscy z owem głębokiem wzruszeniem i okropną trwogą jaką straszliwe słowo morderstwo nabawia.

— Któż to być może? zapytała Rita.

— Któż wie, odpowiedziała zapytana.

W tem zabrzmiał z wieży dzwon konających! ów uroczysty, żałobny głos kościoła, który ludziom obwieszcza że jeden z ich braci walczy z cierpieniem, mękami i przestrachem, i wkrótce stanąć ma przed strasznym sądem. Jest to surowa przestroga dla tego wielkiego tłumu, tarzającego się w kale lekkomyślnych zabiegów, które za najważniejsze poczytuje i przemijających namiętności które za wieczne ogłasza; przestroga zdająca się mówić: Wstrzymajcie się na chwilę przez cześć dla śmierci,

przez szacunek dla bliźniego, który się zabiera opuścić ziemię, jak wy ją jutro opuścicie. Ale ów głos, co mówi o śmierci, ów głos co nakazuje modlić się i rozpamiętywać nieodpowiada wiekowi oświaty. Bo i jakże oświata ma myśleć o śmierci? Trzeba to zostawić kartuzom. Oświata kazała milczeć kościołowi, bo jéj głos jego był uciążliwym.

Wszyscy byli w głębokiem pogrążeni milczeniu; była to cisza morza, w którem się nieraz pod spokojną powierzchnią w głębi burzą bałwany. Wrażenie to dzieliła cała wieś prawie, zgroza bowiem przed śmiercią, ręką człowieka zadaną działa pogromczo, gdyż klątwa, którą Bóg rzucił na Kaima cięży całem swem brzemieniem na wszystkich pokoleniach.

— Jakże się czas wlecze, rzekła Anna, zdaje się jak gdyby dzień zatrzymał się w miejscu.

— I jak gdyby słońce przybite było na niebie, dodała Elwira, z tym bowiem co nic nie wie, dzieje się tak jak z tym co nic niewidzi; w myśli jego jest zamęt. — Byliżby to zbójcy?

— Może się to stało przypadkiem, zauważała Marya.

— Babko Anno, kto to zabił człowieka i za co? zapytała Aniela.

— Któż może zgadnąć, odpowiedziała Anna, co było powodem, i czyja zuchwała ręka odważyła się wyprzedzać rękę Boga i gasić pochodnię, którą on zapalił.

W téj chwili dała się słyszeć wrzawa. Ludzie wiedzeni ciekawością przebiegali ulicę. Przebijaały się niezrozumiałe odgłosy trwogi i żalu.

— Co to jest? zawołała Rita stając w oknie.

— Oto niosą ciało zmarłego, odpowiedziano jéj.

Parta niepokonaną ciekawością zbliżyła się również Elwira do okna.

— Odejdź ztamtąd Elwiro, rzekła jéj matka, czy niewiesz że znosić niemożesz widoku umarłego?

Elwira niesłyszała gdyż zbliżał się już tłum ludzi, którzy z przyjaźni, ciekawości lub współczucia otaczali zmarłego i jego orszak.

Anna i Marya przystąpiły również do okna. Trup leżał w poprzek na koniu i był przykryty prześcieradłem.

W tyle szedł wsparty na dwóch ludziach, starzec z opuszczoną na piersi głową.

Spojrzały nań kobiety i zawołały:

— Boże wszechmogący! wszak to Pedro!...

Na wykrzyk ten razem wydany, podniósł Pedro głowę w górę i ujrzał Ritę. Rospacz i wściekłość dodały mu siły. Wyrwał się z rąk tych co go prowadzili i zbliżywszy się do konia, zawołał:

— Przypatrz się twemu dziełu lekkomyślna... Periko go zabił.

To mówiąc podniósł zasłonę i odkrył zwłoki Wentury krwią zbroczone i z głęboką raną w piersiach.

(Dokończenie w przyszłym numerze).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

BOSKA KOMEDYA DANTA

W PRZEKŁADZIE

JULIANA KORSAKA

w Warszawie nakład Orgelbranda 1860.

(Dokończenie).

Pieśń o piekle, któréj treść podałem, zajmująca z powodu swoich historycznych postaci, politycznych zastósowań, i silnéj życiem rzeczywistości, więcej zazwyczaj miewa czytelników niż następne dwie pieśni o *Czyścu* i *Raju*, więcéj spekulacyjne, zawikłane językiem teologii, scholastycznéj i mistycznego platonizmu dla których to powodów nazywano je spoetyzowaną *Summą* Tomasza z Akwinu. Jednakże popularność pierwszéj, nieodej-

muje wartości dwom drugim, które są szczytem najgłębszéj poezyi chrześciańskiéj i średniowiecznéj mądrości.

Widzieliśmy jak Wirgili prowadząc Danta przez wszystkie kręgi piekielnéj otchłani pokazał mu stopniowo najróżnorodniejsze zbrodnie w jakie popadł rodzaj ludzki, równie jak katusze i kary zachowane dla winowajców i zbrodniarzy. Skończywszy tę okropną podróż mistrz i uczeń, znaleźli się na odwrotnéj stronie ziemi, w miejscu odpowiadającem okręgowi Judasza w piekle. Czystsze i pogodniejsze owionęło ich powietrze. Z tego to miejsca powiada Dante:

Ku drugiéj osi gdy spojrzę na prawo
Samoczwart gwiazdy świeciły jaskrawo
Jakie widziała pierwsza para ludzi.

Gwiazdy te miały być znane w Europie dopiero w piętnastym wieku, dlatego komentatorowie chcą widzieć w nich cztery cnoty kardynalne: roztropność, umiarkowanie, siłę woli i sprawiedliwość.

Cokolwiek bądź one znaczą, promienie tych czterech gwiazd padły na oblicze sędziwego starca stojącego przy Dancie — tym starcem był Katon utycki:

Powagą ruchów, sędziwością lica
Poszanowaniem dziwnem mię przeniknął,
Więcejby niemógł czuć syn dla rodzica.
Broda mu długa, jak włos głowy, biała
Dwoistą miotłą na piersi spadała...

Poważna ta postać Rzymianina, niezmiernie kłopotała komentatorów chcących wytłómaczyć, dla czego Dante mający sławę głębokiego teologa, zostawił Wirgila w otchłani, a Katona z niéj wyprowadził i umieścił

w miejscach tak bliskich Czyśca, bo zajmujących przestrzeń od bram piekielnych aż do stóp góry, na któréj siedmiu stopniowych piętrach umieszczony jest Czyściec. Zdaje się, i to najpewniéjsza, że poeta chciał uieśmiertelnić Katona za jego gorącą miłość wolności, a osłonić samobójstwo, chociaż jest grzechem śmiertelnym. Na téj zasadzie Cezara pomieścił w otchłani jako tego co przygotował złoty wiek Augusta i monarchię któréj Dante był wielbicielem. Brutusa zaś z Kasyuszem, rzucił na pastwę Lucyperowi mszcząc się za zabójstwo Cezara.

Uważając tedy *Boską Komedyę* jako ogromny obraz alegoryczny przedstawiający różne stopnie kar i oczyszczeń przez jakie przechodzi dusza ludzka wzięta w stanie pogańskiéj niewiadomości, ażeby kolejno dostąpić i wtajemniczyć się w poznanie przedwiecznéj mądrości i prawdziwego Boga, niepoczytamy za złe wieszczowi florenckiemu że do pierwszego swego przewodnika Wirgila, przybrał jeszcze Katona, męża surowéj moralności, co choć się dopuścił na sobie zbrodniczego czynu, jednakże ten czyn w swoim czasie uchodził za najwyższy szczyt cnoty. Zresztą sekta stoików do któréj należał Katon, może być uważaną za jeden z tych odcieni filozoficznych wyobrażeń, co dopomogły ludziom do wyrzeczenia się pogaństwa a przyjęcia wiary Chrystusa. P. Champagny w historyi rzymskich Cezarów nie bez zasady, uważa system stoików za przygotowujący do nauki ewanielicznej. Można twierdzić na śmiało, że Katon gra tu rolę inicyatora, zwłaszcza że powiada Wirgilemu w jaki sposób ma się Dante oczyścić do dalszéj podróży w doskonalsze sfery:

Idź więc i wiotkim opasz go sitowiem
Brud mu zmyj z twarzy, aby jak przystoi
Wszedł za aniołem do rajskich podwoi. —

Oczyszczają się więc w świętéj wodzie i przebywają morze w łodzi napełnionéj duszami, które pod przewodnictwem anioła idą szukać oczyszczenia. Wylądowawszy u stóp góry czyścowéj, spotykają nowoprzybyłe dusze, a między niemi Manfreda króla Sycylii i Apulii które naszym podróżnym wskazują drogę wiodącą na tę niebotyczną górę.

Na niższym stoku téj góry spotykają się z duszami które przez lenistwo zaniedbały pracować na zbawienie. Takim jest Casalla, co niegdyś uczył Danta muzyki, takim Sordello poeta prowansalski, Henryk III król angielski i inni. Cudownie srkeślił tu poeta to lenistwo duchowne, które ludziom wzbrania dójść do doskonałości, chociaż czują ku niéj wewnętrzny pociąg. Takim przedstawił Belakwę któremu się niechce iść daléj po zupełne oczyszczenie i woli w lenistwie leżyć pod gorą...

Belakwa! rzekłem: czy tu czekasz kogo?
Czy moc dawnego trzyma cię nałogu,
Że i tu tobie próżnować tak błogo?"
On: — „iść pod górę niebraknie mi woli,
Lecz do pokuty dójść mi niepozwoli
Anioł tam Boży siedzący na progu.
Za niebem tyle tu mi lat żyć trzeba,
Ile tam w życiu przeżyłem bez nieba.
Bo odkładałem lenistwem zatruty,
Na kres ostatni żal mojéj pokuty.
Chyba że serce, tam w łasce żyjące,
Przyszle tu za mną modlitwy gorące:
Bo tu daremny pacierz mego ducha,
Lub jaki inny, gdy niebo niesłucha."

Spotkanie się ze Sordellem nasuwa Dantemu ten sła-

wny ustęp w którym narzeka na wewnętrzne niezgody i wojne domową rodzimėj Florencyi i całėj Italii:

O Italio! kraju nieszczęśliwy!
Łodzi bez steru, śród burzy straszliwėj!
Z królowėj morza i ozdoby lądu,
Dziś niewolnico, gospodo nierządu!...

Dalėj posuwa swoją ulubioną myśl o monarchii i radzi swojėj ojczyźnie:

O! gdybyś dobrze czuła i pojęła,
Co ci potrzeba, i co Bóg ci mówi,
Sama Cezara za panabyś wzięła!

Wystawiwszy obraz szarpiących się stronnictw, jakiż cudowny i szczytny potem zwrot robi, wołając:

O! Zbawicielu świata! coś na ziemi
Umarł na krzyżu za nas! gdzież w tėj porze
Snać od nas oczy odwróciłeś Boskie,
Dla grzechów naszych? Czy też tylko może
W przeznaczeń twoich głębi tajemniczėj
Którėj nieprzejrzyć oczyma ludzkiemi,
Dobro ze złego wywieść jest twym celem;
Że tak dopuszczasz aby kraje włoskie
Gnietli tyrani!...

To były apostrofy do całėj Italii — poczem osobno obraca się do rodzinnėj Florencyi, i maluje nieśmiertelnemi rysami rządy demagogów miejskich. Co tu scharakteryzował, wiecznie powtarzać się będzie, ilekroć ludzie stojący u steru dadzą owładnąć się namiętnościami czy religijnemi czy politycznemi, czy socijalnemi, a raczėj kiedy ster wpadnie w ręce rozszalałego tłumu.

Każdy tu wiersz jak rdzenny pocisk prosto leci do celu, i wywraca potęgą prawdy...

Gdzieindziéj czują sprawiedliwość w duszy,
Lecz w czynach tylko, lub w radzie ją głoszą;
U ciebie [1]) wszyscy na ustach ją noszą,
Jeden drugiemu wciąż nią trąbi w uszy.
Gdzieindziéj stronią urzędów publicznych,
Niepewni swoich czy sił, czy przymiotów:
U ciebie każdy na najwyższe gotów;
Wszystko wié, umié, wszystkiego dokaże!
Byle miał głosy wyborców ulicznych!...

A znowu jak wybornie mówi o tych coraz nowych rozporządzeniach i prawach zbijających jedne drugie, co wszakże niebywa zawsze niespokojnych republik wadą...

Ateny, Sparta, te starego świata
Prawodawczynie, cóż są obok z tobą,
Co tyle nowych praw tworzysz bez liku,
I tak je cienko przędziesz w swojéj radzie
Że coś zaledwo sprzędła w październiku,
Jak nić pajęcza rwie się w listopadzie.
Przypomnij tylko na twoją zaletę,
Ileś to razy zmieniała w tym czasie
Prawa, zwyczaje, ubiór i monetę;
Sam twój rząd nowym wciąż jest—lub być zda się,
I, jeśli jasno widzisz sama w sobie
Zaprawdę jesteś jak ów bliski śmierci,
Co ulgi znaleść niemoże w chorobie,
W łożu swem tylko miota się i wierci...

---

[1]) We Florencyi rozdartéj i zawichrzonéj stronnictwami.

Przytoczyłem obszerniejszy ten wyjątek żeby zwrócić uwagę i na ducha poezyi dantoskiéj, i na szczęśliwy, pełen mocy, dokładności i wdzięku przekład Korsaka, który prawdziwe odniósł zwycięztwo nad nieskończonemi trudnościami, a przytem naturalną łatwością czytelnika pociąga.

Dante po ciężkich przeprawach, snem zwyciężony, usypia i ma widzenie. Wkrótce za pośrednictwem jednéj z niebianek, Lucyi, będącéj symbolem boskiéj łaski, zostaje przeniesiony do bramy czyścowéj. Na progu diamentowym siedzi anioł z gołym mieczem. Idąc za radą Wirgila, Dante rzuca się odźwiernemu do nóg i prosi aby go wpuścił. Anioł daje się uprosić, i na czole poety napisawszy końcem miecza siedm razy literę P, symbol siedmiu grzechów śmiertelnych mający być zmazanym przez aniołów w siedmiu kręgach czyścowych— najprzód kluczem śrebrnym *powagi* i *władzy*, potem kluczem złotym *nauki teologicznéj*, otwiera bramę czyscową.

W pierwszym kręgu oczyszczają się dumni; w drugim zazdrośni; w trzecim leniwcy. Tutaj Wirgiliusz w chwili odpoczynku, i aby zaspokoić niecierpliwą ciekawość Danta, wykłada mu treść, istotę miłości:

Zwróć ku mnie — mówił — przenikliwe oczy
Twego rozumu, a ujrzysz błąd lepiéj
Tych, co chcą drugich prowadzić, choć ślepi.
Serce stworzone z skłonnością kochania
W czem upodoba, zatem się ugania
W chwili, gdy czuje pociąg podobania.
Pojęcie nasze, co w lot wszystko łowi
Schwycony przedmiot przedstawia duchowi;
W nim, takim blaskiem ten przedmiot pozłaca,
Że w prost ku niemu dusza się obraca:
I gdy się wznosi doń z żywą skłonnością
Jest przyrodzoną ta skłonność miłością,

Która przez rozkosz z wami się tak splata,
I jako płomię, co w powietrze wzlata
Spełniając ślepą swéj natury wolę,
Gdzie się przepala dłużéj w swym żywiole,
Tak nakłoniona poddaje się dusza
Żądzy, ten bodziec duchowy porusza
Serce człowieka nieustannem biciem,
Nim rzecz kochana stanie się użyciem.
Widzisz jak prawdzie błąd kłamstwo zadaje,
Twierdząc, co dłużéj zbijać niepotrzebna,
Że każda miłość jest w sobie chwalebna.
Treść jéj, być może, dobrą mu się zdaje,
Że wosk jest dobry, czyś przyznać gotowy,
Że dobrym każdy jest odcisk woskowy? —

Na to mu Dant powiada, że nową czuje wątpliwość; bo jeżeli miłość działa na nas z zewnętrznych przedmiotów, to dusza niema zasługi czy idzie prosto, czy krzywo. Mistrz przyrzeka mu to objaśnić, o ile rozum na to starczy:

Czekaj, aż dójdziesz sam do Beatrycy,
Bo wiara klucz ma od téj tajemnicy.
Każdy duch z treści swojéj niewcielony,
Różny od ciała, jednak z niem złączony,
Zamknięty w sobie ma własność szczególną,
Któréj nam uczuć i ponieść niewolno.
Lecz się objawia przez skutki i czyny
Jak przez zielony liść życie rośliny,
Człowiek nic niewie zkąd się lęgnie miłość,
Jaka pociągów pierwszych jest pochyłość,
Które podobnie są w nas jako w pszczole,
Dla miodobrania latającéj w pole,

Ta pierwsza wola, co skłonność prowadzi,
Ni do pochwały jest ni do zganienia.
Więc gdyby wszystko zlać w tę arcywolę,
Macie wrodzony przymiot, który radzi,
Który stać winien w progu przyzwolenia.
Rozum jest gruntem, zkąd dla was wypływa
Powód zasługi, zasługa prawdziwa,
Podług, jak waszéj panując krewkości
Uprawnia dobre, albo złe skłonności.
Mędrce zgłębiając treść rzeczy aż do dna
Przyznali, że jest ta wolność przyrodna,
I jako owoc swoich myśli kwiatu
Księgę morału zostawili światu.
Przypuśćmy, miłość co iskrą z was błyska
Że z konieczności wynika ogniska,
Lecz w was jest władza co ją gdzie chce, kłoni.
Szlachetny przymiot, który Beatryce
Zwie wolną wolą; jéj ci tajemnicę
Ona rozwiąże, z tobą mówiąc o niéj. (Pieśń 18 czyścu).

W ostatnich tych wyrazach powyższego ustępu o miłości, poeta alegorycznie pokazał wyższość teologii nad filozofią. Jakoż Wirgili daje mu tylko to, co ma, światło rozumu — Beatryce może dać dopiero światło wiary, klucz najwyższych tajemnic.

Po wypoczynku, Wirgili z Dantem wstępują w krąg piąty, gdzie w liczbie tych co się oczyszczają ze skąpstwa, spotykają papieża Adryana V, Hugona Kapeta i poetę Stacyusza. W szóstym kręgu pokutują żarłocy, w siódmym zaś i ostatnim dusze oczyszczają się dopiero we właściwym ogniu czyścowym.

Trudno niezwrócić uwagi na poetę Stacyusza któremu Dante każe tu dziwną odgrywać rolę; gdy bowiem nasi zaświatowi podróżni rozmawiają w najlepsze z rozmaitemi duszami, uczuwają nagle trzęsącą się górę, i sły-

szą głosy śpiewające Chwałę Panu. Zdziwiony tym fenomenem Dante, pragnie dowiedzieć się co jest przyczyną przerażającego trzęsienia. Wirgili uspokaja go, lecz niecierpliwość florentczyka niełatwo da się uspokoić, aż szczęściem jedna z dusz zbliża się do nich, i oznajmia im, że

Góra ta z drżeniem wtenczas się porusza,
Gdy oczyszczona ze zmaz wstaje dusza
I wzlata wyżéj; głośno, potem ciszéj,
Jéj wniebowzięciu ten krzyk towarzyszy.

Tą duszą dającą objaśnienie był Stacyusz autor Tebaidy i Achilleidy. Po takim wstępie do znajomości opowiada on swój żywot, dość sprzeczny z tem, co wiemy z historyi; jako urodziwszy się w Tuluzie (właściwie urodził się w Neapolu) został powołany do Rzymu gdzie po przeczytaniu *Poliona* eklogi wirgiliuszowéj, przyjął chrześcianizm, lecz przestraszony okropnością prześladowań Domicyanowych niemiał dość odwagi przyznać się otwarcie do téj wiary; dla tego za tę małoduszność przez wiele wieków musiał pokutować w Czyścu. Skończywszy teraz swoją pokutę, przyłącza się do Wirgila i Danta i towarzyszy im przez ciąg dwónastu pieśni, aż do przybycia Beatrycy. Ciekawym jest ustęp w którym Dante zapytuje go, dla czego cienie snujące się w czyścu, wyglądają tak wychudzone, chociaż niepodlegają głodowi? Na to śpiewak Tebaidy ma długą rozprawę w któréj stara się wyłożyć swoją fizyologię metafizyczną o kształceniu się człowieka w żywocie macierzyńskim, potem koleją przechodzi do formacyi tkanki mózgowéj, do wyrabiania się w niéj władz umysłowych i duchowych. Fizyologia trzymająca się wyłącznie dróg naturalizmu i analizy, zanadto wyłącznie zajmowała się dotąd samą materyą człowieka. Być może że ta jasno—

widząca myśl wieszcza florenckiego rozszerzy zakres pojęć fizyologicznych, a fizyologowie podnosząc się od analizy rozumującéj do syntezy duchowéj, pogodzą jedno z drugiem na korzyść téj ważnéj nauki.

Suchy ten traktat naukowy, ubarwił poeta cudownym językiem poezyi, a co najważniejsza, okazał wszechstronność swego jeniuszu ogarniającego wszystkie gałęzie wiedzy, przeczuwającego nawet te umiejętności o jakich za jego czasów niewiedziano nawet.

Przebywszy wszystkie kręgi czyscowe, gdy na ostatni szczyt góry wstępowali, Wirgiliusz utkwiwszy wzrok w towarzysza, tak mówił:

„Ogień mający czas, i ognień wieczny
Widziałeś synu; to kres ostateczny
Drogi przebytéj z tobą tak przyjemnie,
To punkt za którym nic widzieć niemogę.
Aż tu mój rozum wskazywał ci drogę,
Teraz sam musisz próbować sił własnych.....
Odtąd niesłuchaj mych rad i rozmowy,
Masz wolnéj woli sąd prosty i zdrowy:
Byłby zaiste w tem błąd rozumowy,
Gdybyś niedziałał jak chce twoja wola;
Więc koronuję cię na twego króla.

To rzekłszy znika Wirgili, a uczeń jego przechodzi pod opiekę Beatrycy. Uniesiony żądzą zwiedzenia ziemskiego raju, kieruje się ku roskosznemu gajowi pokazującemu się w oddali; alić wstrzymuje strumień Lety nad którego brzegiem przechadza się śpiewając i zrywając kwiaty dama jakaś, mianem Matylda, przez komentatorów poczytana za sławną hrabinę Toskańską, mającą być symbolem życia czynnego. Matylda zapytuje go dla czego tak się zajmuje i dziwi wszystkiemu co tu widzi, i usposabia go do ważniejszego ziawiska. Ziawiskiem tem

jest boska Beatryce, zstępująca z Empireju. Pani ta wyobrażająca życie kontemplacyjne i teologię, strofuje na wstępie poetę za nieroztropne postępowanie od chwili kiedy ona zeszła ze świata, i wyrzuca mu obojętność na jéj rady dawane mu w troskliwości o jego duszne zbawienie. Poeta przyznaje się do winy, i nauczony przez Matyldę, zanurza się w strumieniu Lety, pije jego wodę, i kładzie się do snu pod drzewem wiadomości złego i dobrego. Wypoczętemu i zbudzonemu Matylda znowu przynosi rozkazy Beatrycy, i on jeszcze raz oczyściwszy się w wodach rzeki Eunoe (dobréj-chęci) powiada kończąc pieśń o czyścu:

Wyszedłem z wody, przez jéj treści zdrowe
Tak odnowiony, jak rośliny nowe,
W gałązkach, liściach swoich odnowione;
Gdy nie tu jeszcze koniec mojéj jazdy,
Czystym i gotów wylecić pod gwiazdy.

Odtąd Dant wyłącznie pod przewodnictwem Beatrycy zwiedzić ma krainy niebieskie. Zobaczmyż w jak uroczystym, majestatycznym tonie trzecią pieśń otwiera:

Cześć, chwała Tego, który świat porusza,
Nierówny rzuca blask w kole stworzenia;
Byłem ja w niebie, gdzie się rozpromienia
Blask ten najwięcéj, i widziałem rzeczy
Których, kto schodzi z tamtąd, niepowiada,
Bo na to słowa niema głos człowieczy.
Albowiem nasza zbliżając się dusza
Do najdroższego swéj żądzy przedmiotu
Tak w nim głęboko i cała zapada
Że pamięć traci, nadzieję powrotu.
Jednak z królestwa świętego zebrany
Skarbiec piękości w ducha mego cieśni
Od dzisiaj będzie treścią mojéj pieśni.

Tu wzywa z całym klasycznym entuzyazmem Apolina, aby go natchnął, i ma tę wiarę że stanie się godnym lauru, chociaż jak mówi

Dzisiaj tak rzadko kto uszczknąć się stara
Laur na poety tryumf, lub Cezara...

Zwróciwszy potem wejrzenie na Beatricę, uczuł się zdolnym w tych błogosławionych krainach do wykonania przedsięwzięć jakichby nadaremnie kusił się na naszym padole.....

Pod wodzą Wirgila przebył już ziemię (piekło) potem wodę, ogień, powietrze czyscowe; po tych dwóch próbach, następuje trzecia pod opieką Beatricy. Wzbijają się więc w powietrzne szlaki aby dostać się do raju.

Mistyczni kochankowie w napowietrznéj wędrówce spotykają się najpierwéj z księżycem, gdzie jest pobyt wszystkich dusz obojéj płci, co obrały stan dziewiczy. Beatryce tłómaczy swemu towarzyszowi teologiczne znaczenie *woli mięszanéj i bezwzględnéj* utwierdzającéj więcéj lub mniéj postanowienie ludzi poświęcających się stanowi zakonnemu. Z księżyca dostają się na innego planetę, to jest na Merkurego, gdzie rozmawiają z Cesarzem Justynianem i Romeem ministrem Raymunda Berengera — a potem ścigają wiekami i narodami historyczny polot Rzymskiego orła Imperatorów, przyczem jest i aluzya do orła Gibelinów i lilij francuzkich walczących ze sobą o panowanie w Italii. Wspaniały to ustęp pełen szczytnego liryzmu i tych szerokich spojrzeń w życie narodów w jakie obfituje Boska komedya więcéj niż wszystkie razem wzięte starożytne i nowożytne utwory poezyi; tylko duch i treść powszechnego kościoła, wznioślejsza i bardziéj ogarniająca niż wszystko na co się świat dotychczasowy mógł zdobyć, tylko

taka potęga była w stanie sądzić, rozumieć wieki i ludy, i tysiące prawd i obrazów wydobyć sumujących że tak powiem, całe bogactwo wewnętrznych skarbów człowieka i życia ludzkości.....

W pieśni VII Beatrice tłómaczy swemu kochankowi Nieśmiertelność duszy i Zmartwychwstanie. Koniec tego ustępu szczególny; na zarzut bowiem Danta: dla czego tyle rzeczy stworzonych przemija? Odpowiada Beatrice, że to co przemija nie jest bezpośrednio stworzone od Boga, lecz od sił jakich on udzielił gwiazdom;

Dusza wszech zwierząt i roślin, złożona
Z władz rozmaitych, w swéj skończonéj sferze
Iskrę i ruch swój od świętych *gwiazd* bierze.

Jedno tylko ciało ludzkie bezpośrednio stworzone w Adamie i Ewie, ożywione duszą nieśmiertelną, zmartwychwstanie w dzień sądu ostatecznego, aby się na wieczność z duszą połączyć.

Na trzecim planecie, *Wenerze*, poeta znajduje Karola Martela króla węgierskiego, i prowansalskiego poetę Fulka z Marsylii. Po hymnie opisującym porządek w jakim Bóg świat stwarzał, Beatrice z Dantem dostają się na czwartego planetę to jest *słońce*, gdzie Św. Tomasz z Akwinu opowiada o życiu Ś. Franciszka i Ś. Dominika. Tych to dwóch książąt zesłała Oblubienicy (*Kościołowi*) Opatrzność:

Aby do celu wiedli ją najprościéj
Drogą miłości i drogą mądrości.....

Obok tych świateł kościoła ukazuje się tam Ś. Augustyn i Boecyusz.

Na *Marsie* piątym z kolei planecie przebywają dusze tych którzy walczyli za prawdziwą wiarę. Widok rycerzy

krzyżowych i bojowników Chrystusa tworzy blask podobny do gwiazdozbioru dróg mlecznych przecinających się w kształt krzyża, na którym poświęcił się Chrystus.... Cudowny opis tego widzenia, a jaka malowniczość porównań!

Od stóp do wierzchu krzyża po ramionach
Ruchome światła to w ściśnionych gronach
To się rozpierzchłe mrówiły bez końca,
W starciu się iskrząc żywszemi blaskami.
Tak widzim czasem w przyćmionéj świetlicy,
Drobnych atomów latająca rzesza
Prostemi, albo w zygzak liniami
Słoneczny promień gronami obwiesza,
Gdy ten zabłądzi przez szczel okienicy,
Którą nas przemysł broni od gorąca.
Tworzą szmer wdzięczny temu słuchaczowi
Co jego nuty wyraźnéj niezłowi,
Taki na krzyżu lał się dźwięk uroczy
Ze świateł, jakie postrzegły me oczy
Który mą duszę przenikał zapałem
Chociaż ich hymnu sam nierozumiałem.
Czułem że śpiewa wysokie pochwały
Bo w nim te słowa najwyraźniéj brzmiały:
„Wstań i zwyciężaj!“.....

Ostatnie te wyrazy poeta stosuje do siebie, i powiada że nawet oczy jego Pani (Beatricy) nierobiły na nim takiego wrażenia jak miłość pociągająca go do tego znaku zbawienia utworzonego z samych gwiazd..... Wszakże zwyczajem swoim robi zaraz nagły przeskok i wyprowadza na scenę swego pradziada Kaciagwida (Cacciaguida) który doń odzywa się po łacinie, a następnie opowiada dzieje Florencyi, i wywróża koleje życia swego prawnuka Danta, malując jego tułactwo w znanych i często przytaczanych wierszach:

Porzucisz drogie osoby i rzeczy,
Ten grot wygnania najsrożéj kaleczy;
Poznasz jak gorzką zaprawiony solą
Chleb cudzy, dany nie z gościnną wolą;
Poznasz jak przykro, bodaj się nierodzić,
Po cudzych wschodach wstępować i schodzić!
A co najwięcéj zgarbi twe ramiona,
To ciżba głupia, z tobą potępiona.

Gdy zaś poeta wynurza przed pradziadem swoim obawę, że te gorzkie prawdy jakie w Boskiéj komedyi powiedzieć musiał o ludziach współczesnych, ziednają mu tyle nieprzyjaciół, że już nigdzie nieznajdzie przytułku, ten go uspokaja i zachęca w tych słowach:

. . . Kto swoim nieczyste
Lub cudzym wstydem obciążył sumienie,
Gorycz twéj mowy poczuje, zaiste:
Całe, niekłamiąc, objaw twe widzenie,
Jak je widziałeś; przysłowie poucza,
Niech się ten drapie, tam, gdzie świerzb dokucza.
Bo choć twa mowa zrazu niesmak sprawi,
Lecz zato pokarm żywotny zostawi
Temu, kto dobrze ją w myśli przetrawi.
Twój krzyk to zrobi, co wiatr który bierze
Za cel swych szturmów co najwyższe wieże,
Co piorun, bijąc w wyższe drzewo boru.

Cały ten ustęp z Kaciagwidem nosi piętno namiętne i groźne, właściwsze ażeby był pomieszczony w jakim obwodzie piekielnym, niż śród promiennéj pogody i majestatów raju; alić poeta uznał inaczéj, bądź uniesiony kaprysem swego charakteru, bądź żeby artystyczny przedstawić kontrast roztaczając obraz krwawych rewolucyi floreńskich u stopni krzyża na którym Chrzy-

stus przybity.... Najpewniéj, wielki niemylny instynkt doradził mu niezapominać o własnéj ojczyźnie, nawet w obec największych cudów zaświata; w krajach mistycznych widzeń jeszcze stopami dotykać się ziemi, do któréj jako żyjący, nieprzestał należyć.

W niewyczerpanéj téj fantazyi wszystko się znachodzi, wszystko usprawiedliwić się daje bezdennością poglądu...

W szóstem niebie na *Jowiszu*, dokąd podróżni nasi przybywają, pobyt jest tych, co sprawiedliwie rządzili na ziemi; z nich to układa się gwieździsty napis: *Diligite justitiam qui judicatis terram.* Takiemi są: Dawid, Ryfeusz, Trajan, Ezechiasz, Konstantyn i inni. Tu również Dante rozmawia z wielkim orłem z samych gwiazd utkanym. Ptak niebieski wysławiając boskie miłosierdzie które umieściło w otchłani takich pogan jak Homera, Wirgila, Saladyna, Awerhoesa, tłómaczy jakim sposobem osoby niewyznające wiary chrześciańskiéj, przecież w czasie pobytu na ziemi umiały miłować sprawiedliwość, co sprawiło, że Pan Bóg łaskawem okiem dozwolił na ich odkupienie, jako niezatrutych jadem pogaństwa.

Nakoniec Dante z Beatrycą wznoszą się do siódmego nieba na gwiazdę *Saturna*, zamieszkaną przez dusze oddane życiu zakonnemu i duchowo mistycznemu rozmyślaniu: jak, Ś. Benedykt, Ś. Piotr Damian; ależ nieznajdzie nic uroczéj wdzięcznego w całym poemacie nad mistyczne zaloty Danta do Beatrycy w tych sferach najwyższéj szczęśliwości.

Znów moje oczy — (mówi poeta)— z niemi dusza cała
Do mojej Pani obrócone były,
Całą uwagą tylko w niéj utkwiły:
Ona uroczo więcej się nieśmiała;

Gdybym uśmiechem błyszczącym za wiele
Tu zaświeciła — rzekła Beatryce:
Spłonąłbyś cały na proch, jak Semele,
Bo piękność moja w blask rośnie stopniami,
Jle, coś widział w ciągu naszej jazdy,
Wstępujem dworca wiecznemi schodami,
Gdybym ci blasku jéj nie złagodziła,
Tu wystawiona na jéj błyskawice
Takby zwietrzała twa śmiertelna siła,
Jak liść piorunem okruszony z drzewa.
Jużeśmy przyszli aż do Siódméj gwiazdy,
Co pod Lwa piersią swe żary zagrzéwa,
Które łagodząc z nim przyświeca Ziemi.
Myśl twoją ciskaj za oczyma twemi,
A zrób zwierciadło z oczu dla obrazu
Co się w nich cały odbije od razu.

Na to poeta:

O! ktoby wiedział jak strzelistem okiem
Błogosławionym pasłem się widokiem,
W chwili, gdy wzrok mój oderwałem od niéj,
Przyzna, że trudno być posłusznym godniéj
Pani, co wagą Łaski nad swym sługą
Równoważyła jednę rozkosz drugą.

Prawdziwa to rozmowa Aniołów, jaką tylko wyobrażać sobie można w duchowym świecie: Kochanka powiada mu że gdyby się doń roześmiała, gdyby nie miarkowała ognia swych spojrzeń, toby go w proch spaliła, jak piorun . . . rozkazuje mu tedy patrzyć w otaczające go cuda — i on szczęście patrzenia w nią stawia na równi z rozkoszą spełniania jéj rozkazów. — Ująłem powyższe wiersze umyślnie w tę prozę, aby lepiéj zwrócić uwagę, na piękności dantoskie często mniéj dostępne,

nieprzywykłym do jego sposobów wyrażania się, a do tego w tłómaczeniu, które z natury rzeczy zawsze szwankuje na naturalności.

W ósmem niebie gdzie się znajdują stałe gwiazdy, poeta będąc świadkiem tryumfu Jezusa Chrystusa śpiewanego przez chóry błogosławionych, zapytywany jest przez Św. Piotra o *wierze*, przez Św. Jakuba o *nadziei*, a przez Sw. Jana o trzeciéj cnocie teologicznéj o *miłości*. Następuje rozmowa z Adamem o grzechu pierworodnym — poczem on i Beatryce wzbijają się ku dziewiątéj sferze. Niebo otoczone tam kręgiem światła i miłości; zapełnia je tylko sam Bóg w swojéj nieskończoności..... Istność Boska objawia się poecie w trzech hierarchiach anielskich chórów otaczających ją.....

Przybywają nakoniec do samego Empireju będącego zwykłem mieszkaniem Beatrycy; Dante przypatruje się tryumfom aniołów i dusz błogosławionych, z zachwyceniem widzi cuda dworu niebieskiego, a kiedy chce przewodniczki swéj pytać o znaczenie każdego przedmiotu — nie widzi jéj koło siebie — znikła! Na miejscu jéj stoi starzec podobien do duchów niebieskich, pełen powagi ojcowskiéj i słodyczy, i odpowiada mu:

Od Beatrycy przychodzę jéj goniec,
Aby twéj żądzy wskazać kres i koniec.
Spójrz, gdzie najwyżéj kołuje krąg trzeci,
Tam ją zobaczysz jak na tronie świeci
Gdzie posadzona jest własną zasługą.

Kochanek zanosi modlitwę do swéj pani, a ona uśmiechnąwszy się, znowu się zatapia w niewyczerpanym zdroju szczęśliwości wiecznéj. — Starcem tym mającym zastąpić Beatricę, jest Ś. Bernard. On mu pokazuje tę stronę nieba gdzie przebywają Błogosławieni starego i nowego Testamentu; a przywiodłszy ucznia aż do stopni

tronu Bogarodzicy, błaga Królowéj Niebios, aby pozwoliła Dantemu oglądać Majestat Boski — co i zamyka szereg widzeń Boskiéj Komedyi.

Oto suchy szkielet najbogatszéj w świecie poetycznéj kompozycyi...

O ile powabnem jest i łatwem zaznajomienie się z światem pieśni o piekle, a wczęści o Czyścu — o tyle pieśń o Raju przy swoim spokoju, i ciszy uroczystéj przerywanéj niekiedy hymnami lub rozmowami metafizyczno-mistycznemi — pieśń żeglująca jakby po morzu wielkiéj światłości, tak napręża wszystkie władze umysłu, tak wysoko nastraja ducha, że prawie dostaje się zawrotu, olśnienia, właśnie jak kiedy gołem okiem kto patrzy w krąg południowego słońca.... Kto tylko niespoufalony z bogactwem języka i stylu Dantoskiego, ten niepodobna aby sobie dał rady... Tłómaczenie tak nawet starannie wypracowane, jak Korsakowe, nie jest w stanie zwalczyć olbrzymich trudności ztąd pochodzących, że poeta w przewidywaniu téj monotonii jaka zagrażała przedmiotowi obracającemu się w świecie nadzmysłowych ziawisk, chciał go przystroić w najszczytniejszą i najbarwistszą szatę poetycznego języka. Nie jest to zatem poemat dający się czytać pobieżnie, — wymaga on głębokiego zastanowienia się — i ma to do siebie, że za trud odpłaca. Są to perły, lub diamenty które wyłupywać trzeba z grubéj oprawy.....

Jedno tylko dołożyć mam do ogólnego szkicu Boskiéj Komedyi. Żeby godnie ocenić i uszanować to największe Arcydzieło nowożytnego świata, zapytajmy czem był Dante? — Oto nauczycielem swego narodu. — Co dlań zrobił? Oto pierwszy dał popęd do poznania i uprawy klasycznéj literatury Rzymu, pierwszy ufundował językowo-literacką jedność Italii, a i na powszechną kulturę i umiejętność swego narodu nieskończony wpływ wywarł. Nietylko bowiem uczeni kształcili się na Boskiéj Komedyi,

nietylko sztukmistrze aż po Michała Anioła, szukali w niéj natchnień, ale i lud wszystek więcéj się z niéj niż z czegobądź nauczył. Dante szkolną naukę spopularyzował w téj poetycznéj encyklopedyi; a chociaż uczony materyał nie jest tam podług metody i systematu rozgatunkowany i podzielony, jak w zwykłych encyklopedyach — ale popęd dany jest wszystkim skarbom wiedzy jakiemi owe rozporządzały wieki, a popęd idący z wysokiego źródła, ubrany w powabne szaty poetycznych zmyśleń — dla tego poeta wszędzie sięgnął, wszędzie się przecisnął, gdzie szkolny pedantyzm nieznalazłby przystępu..... Wszakże niewielka byłaby zaleta Boskiéj Komedyi gdybyśmy nic jéj nieprzyznali więcéj, nad przymioty encyklopedyczne. Dla zawartych w niéj podań, leged, wyobrażeń, a mianowicie dla jéj politycznéj, a głównie religijnéj treści, Boska Komedya nosi na sobie piętno właściwe, odrębne, charakterystyczne, robiące ją epopeją opiewającą kończący się świat pewnych idei. W dziejach nierzadki to przykład, że duch konającéj epoki raz jeszcze zbiera się, i powstaje w obronie chylącego się państwa... W tym duchu i Dant wyruszył do boju. Acz Olbrzym, niezdołał już walącéj się budowy średniowiecznéj podeprzeć — tylko na krańcach kończącéj się epoki, postawił monument, jakiego niepokaże żadna literatura... Divina Comedia to śpiew łabędzi odśpiewany na pożegnanie wieków średnich.....

Lucyan Siemieński.

CEZARY BALBO O WŁOSZECH.

Zaiste mało o jakiéj sprawie rozprawiano kiedykolwiek tyle, co od roku przeszło o sprawie włoskiéj, w ostatnich zaś czasach o najważniejszym w téj sprawie wypadku, anneksyi Włoch środkowych do królestwa sardyńskiego. Bo też rzeczywiście mało jest wypadków, o którychby tak różnostronnie rozprawiać się dało.

I tak, zapatrującemu się na anneksyę Włoch środkowych z teoretycznéj strony tego faktu, przedstawia się jako przedmiot głębokiéj wymagający rozwagi zasada powszechnego głosowania. Zasada ta niewystąpiła nigdzie i nigdy silniéj i bardziéj stanowczo jak w téj sprawie, i stała się podstawą całego czynu. Nieuznana dotąd w prawie publicznem europejskiem opartem na traktatach, do-

maga się tego uznania rozciągając zakres swéj działalności i swych następstw aż do stosunków między narodowych, stając wbrew traktatów, i walcząc bezwględnie z dawną zasadą legitymizmem zwaną. Walczy bezwzględnie, bo tak zwykle walczą zasady na polu teoryi, upatrując zawsze w ostatecznościach największą siłę własną a największą słabość przeciwnika. Tak się dzieje, pomimo przekonania, do jakiego jużby świat dojść powinien, że w polityce niema i być nie może zasad absolutnych, że zatem społeczność przerzucając się z jednéj ostateczności w drugą, do trwałego spokoju dojść nie zdoła. *Vox populi, vox Dei*, wołają jedni; *omnis potestas a Deo*, odpowiadają drudzy. A przecież niema sprzeczności między temi aksyomatami: są one oba prawdziwe, ale prawda zawisła właśnie na ich pogodzeniu. Do owéj jednak między niemi zgody nie może przyjść dopóki tłómaczenie ich i zastósowanie namiętnościom będzie powierzone. Ani też do ich uciszenia wystarczą takie usiłowania, jak rządu francuzkiego, który widocznie w sprawie przyłączenia Sabaudyi i Nicei do Francyi, starał się pogodzić prawa panujących z zasady legitymistycznéj płynące, z prawem ludowem na zasadzie powszechnego głosowania opartem. Usiłowania takowe jakkolwiek chwalebne, mijają bez wpływu, bo im brakuje owéj ścisłości loicznéj jakiéj wymaga walka zasad do ostateczności doprowadzona. Uchodzą starania takowe za ofiarę zło-

żoną na rzecz wymagalności dyplomatycznych i chwilowych, a walka idzie swoim trybem. Zastąpiła ona dawniejszą walkę absolutyzmu z konstytucyonalizmem przez lat trzydzieści prowadzoną. Lecz ta ostatnia toczyła się na polu monarchicznem, szło też w niéj o wolność jaką przywiązywano do téj a nie innéj formy rządu. Walka obecna odbywa się na polu państwa i chodzi w niéj o istotę władzy czyli państwa, a nie o formę rządu, bo głosowanie powszechne nie przesądza bynajmniéj ani formy absolutnéj ani konstytucyjnéj; w walce téj nie chodzi o zwycięztwo wolności. Tak jak się dziś przedstawia, zdawałoby się że legitymizm do przeprowadzenia idei państwa i ujęcia spółeczności w tę formę władzy jego nader dogodną, oparł się na ludzie i użył praw jego jako narzędzia do celu; teraz lud na mocy tych samych praw zaprzecza mu praw jego, a przynajmniéj swoje wyżéj kładzie, ogłaszając je za jedyne źródło władzy. Przyglądając się bezstronnie obecnemu położeniu, rzecby można, że powszechne głosowanie ogranicza się dotąd na sankcyi ludowéj udzielonéj dla idei państwa....

Z kilku tych pobieżnie rzuconych uwag, pokazuje się, jak obszerną jest teoretyczna strona anneksyi Włoch środkowych do Piemontu, jak niesłychanie ważnych dotyka kwestyj nietylko politycznych lecz spółecznych, a zwłaszcza jak następstwa ogólne wypadku tego głęboką zasłonięte

są tajemnicą. Przechodząc do strony praktycznéj, czyli do stosunku w jakim fakt ten zostaje do prawa publicznego obowiązującego w téj chwili jeszcze w Europie, żadnéj nie ulega wątpliwości, że przyłączenie Włoch środkowych do Piemontu nadweręża niektóre postanowienia traktatu wiedeńskiego jak niemniéj traktatu zürichskiego czyli tak zwanéj konwencyi z Villafranca. Traktaty wiedeńskie licznym i ważnym uległy zmianom od r. 1815. Trudne atoli stawia się do rozwiązania zadanie, czy zmiana wypadkiem anneksyi sprowadzona nie jest ważniejsza od wszystkich innych dotąd zaszłych, jeżeli nie co do istoty samego czynu, to następstw jakie pociągnąć może? Jeżeli bowiem sam fakt anneksyi, nadweręża tylko niektóre postanowienia czyli literę traktatów wiedeńskich, czyż następstwa jego nieniweczą samego ducha traktatu, choćby tylko wprowadzeniem zasady, któréj on nie uznaje, a która jest właśnie podstawą dokonanego faktu?... Daléj jeszcze pójść można, bo jeżeli systemat faktu dokonanego, nie potrzebuje sankcyi żadnéj ani uznania ogólnego w Europie, to wtedy prostą jest konsekwencyą, że niemasz prawa publicznego, jest tylko prawo mocniejszego. I rzeczywiście, główna słabość traktatu wiedeńskiego w ostatnich czasach ztąd się okazała, iż złamanym on był kilkakrotnie, a zmiany ztąd wynikłe nie uzyskały sankcyi wszystkich państw które traktat podpisały. Sprawa anneksyi Włoch środkowych niezawodnie

odwoła się do takowych precedencyj... Co się zaś tyczy traktatu zürichskiego, ten w postanowieniach które anneksya nadweręża, był tak nieokreślonym, tak zagadkowym, jeżeli nie z sobą samym sprzecznym, że nigdy opinia publiczna nie miała klucza do odgadnięcia jakim sposobem wykonanym zostanie. Oczekiwano wypadków. Te przeciw niemu się obróciły.... Tak więc strona praktyczna przyłączenia Włoch środkowych do Piemontu przedstawia się w kształcie walki faktu dokonanego z pisanem prawem publicznem. Gdyby prawo pisane wyłącznie się było na sprawiedliwości opierało, zwycięztwo niebyłoby wątpliwem...

Biorąc znów stronę anneksyi ściśle polityczną, napotyka się w pierwszym rzędzie pytanie: jaki wypadek ów wywrze wpływ na równowagę europejską. Widocznem jest, że systemat równowagi zaprowadzony pozornie traktatem wiedeńskim nietylko został zachwianym przez przyłączenie Włoch środkowych do Piemontu, ale nawet zniesionym. Półwysep włoski, który zdaniem sławnego dyplomaty, niemiał żadnego w polityce znaczenia, będąc tylko „wyrażeniem jeograficznem“, stał się przez fakt anneksyi wyrażeniem politycznem, i jako taki nabył wielkiego znaczenia, chociaż jeszcze niezajął odpowiedniego stanowiska Włochy jako Włochy milczały w polityce, teraz zabrały głos, a głos kraju liczącego dwadzieścia dwa miliony, z przeszłością taką jak

włoska, nie może być obojętnym w systemacie, który zależał na tem, aby utrzymać Europę w sztucznéj równowadze państw między sobą. Rozchwiała się też w obec tego głosu cała ta sztuczna budowa na któréj miał się opierać pokój europejski. Zresztą, jakkolwiek ważność całego półwyspu włoskiego, nie jest i nie może być jeszcze stanowczo oznaczoną w nowym układzie politycznym, to jest pewno, że samym faktem anneksyi utworzyło się nowe państwo, dość wielkie materyalnie, aby stanąć na czele państw drugiego rzędu; a nadto przez szczególny zbieg okoliczności, stać się reprezentantem nowéj zasady politycznéj, i zniewolonem być niejako do coraz dalszego rozwijania się w kierunku raz powziętym; państwo dość znaczne, aby sięgać po miejsce w radzie mocarstw europejskich. Że takie a nie inne jest znaczenie Piemontu zwiększonego przyłączeniem Włoch środkowych, dowodzi najlepiéj anneksya Sabaudyi i Nicei do Francyi. Jeżeli Francya uznała za stosowne zabezpieczyć swe granice od Alp, uczyniła to niezawodnie w przewidzeniu roztropnem polityki przyszłości, jaką Piemont reprezentuje, a nie w obawie przed państwem dwunastomilionowem. Słuszność owego zapatrywania się Francyi na Piemont, przyznała niejako Europa, niepowstając przeciw rozszerzeniu się jéj granic. Tak więc to najbliższe i najpierwsze następstwo faktu anneksyi Włoch środkowych najlepiéj wyświeca faktu tego stronę polityczną, wykazując

przeważny jego wpływ na równowagę europejską. Wiele jeszcze innych kwestyj tak politycznych jak dyplomatycznych, zawiera w sobie anneksya z politycznéj uważana strony; pominąć je atoli wypada, ograniczając się do wskazania najgłówniejszych przedmiotów zasługujących na głębszy rozbiór.

Bo jeżeli każda z dotkniętych tutaj okoliczności jest ważną, to wszakże ważniejszem jeszcze niezaprzeczenie jest zadanie, jakie anneksya Włoch środkowych nasuwa, gdy się ją ocenić i następstwa jéj odgadnąć zechce z właściwego jéj wyłącznie stanowiska, to jest gdy się ją rozważy ze strony którą niechaj wolno będzie nazwać włoską. Od owych następstw zależy przyszłość półwyspu, zależy one stanowisko polityczne Włoch o jakiem powyżej; od tego zaś stanowiska zawisło, aż do pewnego stopnia rozwiązanie w przyszłości wszystkich pytań w uwagach tych poprzednio postawionych.

Aby sobie należycie zdać sprawę z całego znaczenia anneksyi Włoch środkowych do Piemontu, nie trzeba głównie spuszczać z uwagi dwóch kierunków, w jakich sprawa włoska zawsze występowała. Od lat trzydziestu przeszło cechowały one wszystkie usiłowania włoskie, czy to pismem czy to czynem objawiane. Wspólny miały punkt wyjścia: to jest oswobodzenie półwyspu od wszelkiego obcego wpływu, czyli niepodległość Włoch. Lecz gdy ów punkt wyjścia

był oraz i celem do którego dążyć trzeba było, różne, aby go osiągnąć obierano drogi. Ztąd owe dwa kierunki polityczne które się dwoma wyrazami dają określić: Konfederacya i Zjednoczenie czyli jak dziś nazywają *unifikacya* Włoch, bo Konfederacya jest także zjednoczeniem, tylko w innym kierunku. *Unione, ma no unità italiana* mawiali Włosi co chcieli Zjednoczenia a nie Unifikacyi.

Stronnicy pierwszego kierunku czyli konfederacyi, obierali drogę historyczną i organizacyjną. Możliwość a nawet konieczność konfederacyi upatrywali oni w duchu włoskim, w przeszłości całych Włoch, w ich obecnych dążnościach. Narodowość włoska nie przedstawiała im się jako narodowość historyczna, rzeczywista, ale tylko zbiorowa, oparta na pokrewieństwie szczepowem, tem silniejszem że włoskie narodowości historyczne nie zostawały w żadnéj między sobą przeczności moralnéj, nie istniał między niemi żaden tak głęboki i rzeczywisty rozdział, jak się to między narodowościami w innych rasach widzieć daje. Duch zatem włoski mógł być podstawą, spójnią a nawet siłą konfederacyi, chociaż nie był żywiołem wyłącznym organizmu związkowego. Żywiołami tego organizmu były narodowości każda ze swoją historyczną autonomią i municypalności każda ze swemi tradycyjnemi swobodami. Organizacya federacyjna na naturalnych wpływach i przewagach oparta, nie przesądzająca żadnéj formy rządu, nie wykluczająca ża-

dnych reform ani wymagań nowoczesnéj cywilizacyi, ale oraz nie usuwająca żadnéj siły, żadnéj potęgi z wiekowego rozwoju i dziejowéj sławy półwyspu, będąca niejako dalszym tylko wątkiem jego historyi na tle teraźniejszości osnutym, miała zapewnić stanowisko Włoch między państwami europejskiemi i osiągnąć cel zamierzony, to jest oddać Włochy Włochom. Na téj drodze pracowali piórem najliberalniejsi i najpatryotyczniejsi publicyści włoscy; w tym kierunku działali mężowie stanu jak Gioberti, Rossi i inni, lubo się różnili i nie mogło być inaczéj, co do sposobu jakim federacya takowa przyjść miała do skutku; w tym nareszcie kierunku był ruch wywołany w r. 1847 przez Piusa IX, a w ostatnich czasach sławna broszura *Napoleon III. i Włochy;* cała wojna włoska i nareszcie konwencya w Villafranca popierały myśl konfederacyi włoskiéj.

Stronnicy drugiego kierunku to jest unifikacyi Włoch, dążyli nie tylko do zjednoczenia ale raczéj do przeobrażenia wszystkich narodowości włoskich w jedno państwo. Narodowość włoska służyła im tylko za sztandar, utworzenie jednego państwa włoskiego było właściwie ich celem. Niechcieli też widzieć żadnéj innéj narodowości prócz włoskiéj, w brew historyi i tradycyi. Narodowości historyczne i tradycyjne municypia, musiały całkiem ustąpić wyższemu celowi, oswobodzeniu Włoch. Była to droga rewolucyjna,

wyrzekająca się wszelkiéj przeszłości, i używająca środków aby dojść do kresu również rewolucyjnych to jest: niwellacyi i centralizacyi.

Piszący te wyrazy miał sposobność przekonać się o dążnościach tych dwóch kierunków, wtedy jeszcze gdy oba z nich wypływające systemata uchodziły za utopie I tak w r. 1833 ścierały się w jego obecności te opinie u p. Sismondego w Genewie, w którego domu schodzili się wszyscy bawiący w ówczas w Szwajcaryi wychodźcy włoscy. Tam młody natenczas p. Mazzini bronił już unifikacyi Włoch przeciw konfederacyi któréj rzecznikami byli p. Rossi i uczony autor „historyi rzeczpospolitych włoskich“. Późniéj w roku 1841 we Włoszech, a zwłaszcza w Rzymie spostrzedz już można było jak wielkie postępy w umysłach uczyniła była idea jednego państwa włoskiego, za staraniem tajnego towarzystwa zwanego *Giovine Italia*. Godłem jego była rzeczpospolita Włoska i nic więcéj. Zapominać nie trzeba, że króla Karola Alberta uważano w tedy jeszcze za największego Włoch nieprzyjaciela, a poezye popularnego poety piemontskiego p. Berchet: *Esecrato o Carignano, sia tuo nome da ogni gente*, krążyły we wszystkich patryotycznych kołach. Niemyślano więc o królu Włoskim, tylko o rzeczypospolitéj, nie federacyjnéj lecz jednéj i scentralizowanéj. Uderzać musiało przedewszystkiem, że do takiego dzieła niechciano prawie użyć wcale włoskich żywiołów; wszystkie środki i myśli w gruncie czer-

pane były z rewolucyi francuzkiéj, jakkolwiek w barwy włoskie pozornie przybrane. Taką cechę miała rzeczpospolita ogłoszona w Rzymie po ustąpieniu Papieża; jéj to echem były wystrzały skierowane przeciw Karolowi Albertowi w Medyolanie, pomimo że zmienił był politykę, ogłosił statut i prowadził wojnę za niepodległość włoską.

Mazzini główny rzecznik jeżeli nie twórca myśli zlania się Włoch w jedno scentralizowane państwo przyznaje się do tego z dumą w odezwie do powstańców sycylijskich którą podają dzienniki: „Kiedym przed trzydziestu laty, mówi on, zapisywał na sztandarze dla *Giovine Italia* godło: jedność Włoch, śmiali się ze mnie ludzie praktyczni, nazywali mnie marzycielem i ogłaszali za utopię to do czego dąży dziś cały półwysep. Wypadki ostatnie dowiodły że jedność polityczna Włoch nie będzie marzeniem ale rzeczywistością. Zapiszmy więc na sztandarach: Anneksya!.... Zanim byłem republikanem, byłem unitarystą. Zdawało mi się że sama rzeczpospolita tylko doprowadzić nas może do owéj jedności. Byłem w błędzie. Wiktor Emanuel prowadzi Włochy do tego celu. Poświęcam stare myśli dawnéj zasadzie i wołam: Niech żyje Wiktor Emanuel król Włoch!“...

Czy odezwa powyższa, z któréj ważniejsze podane ustępy, a wypuszczona czcza deklamacya, jest autentyczną? czy rzeczywiście wyrzekł się Mazzini rzeczypospolitéj i zaufał królowi Wi-

ktorowi Emanuelowi, on co tak niedowierzał Karolowi Albertowi, chociaż ten ostatni koronę stawiał na zakład? nie ma potrzeby wchodzić i mniejsza o to. Bo i bez téj odezwy, bez tego dowodu, same wypadki dostatecznie przekonywają, że przez fakt anneksyi Włoch środkowych kierunek unifikacyi Włoch przeważne otrzymał zwycięztwo nad myślą związku federacyjnego. Nie przesądzając wniczem ani dalszych zamiarów, ani widoków rządu piemonckiego na przyszłość, — lubo oświadczenia hr. Cavoura w Parlamencie z powodu anneksyi Sabaudyi i Nicei do Francyi, oraz mowy królewskie podczas ostatniego objazdu krajów przyłączonych, dawałyby niejakie do tego powody, — to sama anneksya wystarcza na przekonanie, że podstawa na jakiéj się odbyła, poświęcenia jakich wymagała, następstwa jakie za sobą prowadzi, są w kierunku wyłącznym politycznéj jedności Włoch. Utworzyła ona państwo, na zasadzie nie ducha włoskiego ale zasad będących następstwem rewolucyi francuzkiéj, z poświęceniem historycznych narodowości i municypalności, które się zlać mają w jeden scentralizowany organizm. Czy popęd takowy raz nadany i w takich jak dzisiejsze okolicznościach, może się ograniczyć, zatrzymać, i kiedy? Oto zadanie, które przedstawia anneksya uważana ze strony włoskiéj.

A jest to zaiste strona tak włoska że cokolwiekby o niéj obce napisało pióro, zawszeby je

może pomówiono o niewiadomość lub stronniczość. Dla tego zapewne znany francuzki publicysta, p. Saint Marc Girardin, odwołał się do Włocha pisząc o przyszłości Włoch w chwili gdy anneksya Włoch środkowych dokonaną została. Ciekawy ten artykuł, idąc za jego przykładem powtórzyć tu nie będzie od rzeczy.

Ze wszystkich broszur jakie czytałem w ostatnich czasach, pisze p. Saint Marc Girardin, żadna nie zajęła mnie tyle co broszura z datą r. 1849, zawierająca mowę wielkiego i szlachetnego Włocha, hr. Cezarego Balbo, mianą w Izbie deputowanych turyńskiéj 26go lutego 1849 r. W epoce téj Pius IX był w Gaecie, a Rzym był jeszcze w ręku Garibaldego, któremu jenerał Oudinot miał go wkrótce wydrzeć aby go oddać na powrót Papieżowi. Kilku deputowanych piemontskich żądało aby rząd króla sardyńskiego uznał rzeczpospolitę rzymską, to jest aby uznał wywłaszczenie Papieża. Cezary Balbo wystąpił energicznie przeciw temu żądaniu, a syn jego ogłasza w téj chwili wyrzeczoną w ówczas mowę ojca swego. Życzę ją jak najwięcéj czytać tak we Włoszech jak i we Francyi. Nic użyteczniejszego nad porównywanie od czasu do czasu uczuć i zdań, jakie się miało, z temi jakie się ma dzisiaj, w celu zrobienia rachunku sumienia. Przyjdzie się do uznania, że raz przeszłość miała słusznie, to znów teraźniejszość, lecz takowe porównanie oświeca umysły, a co najważniejsza, dozwala uniknąć największego niebezpieczeństwa, jakie polega na schlebianiu duchowi chwilowemu i braniu wrażenia za przekonanie.

Co mnie uderza na pierwszy rzut oka, to przedewszystkiem owa dziwna różnica w opiniach Włochów najznakomitszych patryotyzmem i zdolnościami w owéj epoce

a Włochów dzisiejszych. Stronnik i świetny obrońca zasad Giobertego i Manzoniego, Cezary Balbo wierzy że Rzym i Papieztwo są jedną z sił i chlub Włoch, jedną z przyczyn dla których Włochy istnieją na świecie; gdy tymczasem niektórzy włoscy ludzie stanu i roznamiętniony tłum pod niemi, zdają się mniemać dzisiaj, że Rzym i Papieztwo są trudnością i przeszkodą dla przyszłości Włoch, zaporą fatalną dla ich jedności i wielkości. Nie idzie za tem, aby Cezary Balbo był fanatycznym stronnikiem władzy doczesnéj Papieztwa: „Przyznaję, uważam za pewne, i wypowiadam głośno, orzeka on w swéj mowie, że w teoryi władza doczesna Papieżów nie jest bynajmniéj koniecznością dla religii katolickiéj“. Nie w tem widzi on kwestyę. Prawdziwa dla niego kwestya nie polega na tem aby wiedzieć, czyli Papież obejść się może bez doczesnéj władzy, ale aby wiedzieć co się stanie z Papieżem ogołoconym z władzy doczesnéj, jak zniosą Rzym i Włochy to ogołocenie, jakie pociągnie za sobą skutki dla Kościoła katolickiego wywłaszczenie doczesne Papieztwa. „Mamy teraz do czynienia, powiada, z trudnością utrzymania władzy doczesnéj; starajmyż się rozpatrzyć się w trudnościach, jakieby sprowadziło jéj zniszczenie“. Z tego to zwłaszcza względu pożyteczną jest rzeczą odczytywać mowę Cezarego Balbo.

Postawmy dobrze kwestyę, którą traktuje Balbo. Nie chodzi o to tylko aby wiedzieć czy Papieztwo obejść się może bez władzy doczesnéj, czy Papież może przestać być monarchą; ale wiedzieć także trzeba czy tego chce, to jest czy się dobrowolnie wyrzecze téj niepodległości politycznéj i religijnéj jaką mu daje jego zwierzchność doczesna. „Panowie, mówił w parlamencie turyńskim Balbo w roku 1849, trzeba ludzi brać tak jak są, tak jak się przedstawiają w swoją przeszłością, ze swemi opiniami, ze swemi obowiązkami rzeczywistemi lub

urojonemi, i nic tu nie pomoże, trzeba wziąść. Papieży tak jak są. Niechcę ja przez to powiedzieć, aby opinie Papieży były przesądami, ale zważmy dobrze, iż ci nawet którzy je za takowe uważają, muszą się rachować z temi mniemanemi przesądami. Owoż, pytam was, cóż sądzicie że uczynią Papież Pius IXty i jego następcy ogołoceni z swéj władzy doczesnéj? Czy ustąpią, zgodzą się, uznają rzeczpospolitę rzymską, rzeczpospolitę centralną lub to co niebawem po niéj nastąpi? albo też, czy opierać się będą, protestować, czy nie pójdą na wygnanie do innéj części Włoch, do Francyi lub Hiszpanii, do Niemiec lub do Ameryki?..... Mało na tem zależy aby wiedzieć, czy ludy chrześciańskie mają prawo utrzymać władzę doczesną Papieztwa: każdy lud chrześciański ma prawo którego mu zaprzeczyć nie można i które już wykonywał, ma prawo ofiarować schronienie uciekającemu Papieżowi; ważną zaś jest rzeczą wypadek ten należycie ocenić: jakie skutki i następstwa mieć może ta ucieczka i to schronienie?..... Lud u którego wygnani Papieże przyjmą schronienie, nabędzie nad wszystkiemi innemi ludami przewagę i wpływ którego mieć nie powinien, który nie jest w naturze rzeczy, a który szczególnie będzie szkodliwym dla nas Włochów. Nie kładę zaś większego nacisku na to ostatnie porównanie, albowiem niechcę mówić tylko o niebezpieczeństwach zagrażających Włochom, ale w ogóle chrześcianom".

Balbo wylicza wtedy te niebezpieczeństwa, które zasługują na rozwagę poważnych umysłów; niebezpieczeństwo powszechne, skoro Papież osiądzie w wielkiem państwie katolickiem i do potęgi tego państwa dorzuci przewagę swéj obecności. We Włoszech, gdzie niema wielkiego państwa, niebezpieczeństwa tego niema się przyczyny obawiać. Papież jest niepodległym we Włoszech, albowiem jego doczesnéj wielkości żadna tam nieprzeważa potęga; bo we Włoszech Papież nie jest ani ni-

czyim poddanym, ani też niesąsiaduje z żadnym zbyt potężnym panującym.

Niebezpieczeństwo, albowiem „ludy zazdrosne (a wydziedziczone Włochy nie będą ostatniemi w tym rzędzie) nie przyjmą papiezkich dekretów tak ła wo jak je przyjmowały skoro te wychodziły z Rzymu“, niebezpieczeństwo przeto odszczepieństwa i niesnasek religijnych.

Lecz niebezpieczeństwo zwłaszcza dla Włochów; dusza bowiem patryotyczna Cezarego Balbo przyszłością i stanowiskiem Włoch przedewszystkiem się zajmuje. „Nie widzicież, mówił on do parlamentu turyńskiego, że jakikolwiek książe lub naród, skoro tylko Papieża w gościnę posiądzie, owładnie zarazem wielki sposób zakłócenia Włoch, wyborny pozór ciągłego wpływu, interwencyi i napadu? Patrzcie, jak ambitne mocarstwa chętnie przyjmują u siebie pretendentów wszelkiego rodzaju. Jakżeby korzystnem dla nich było posiadać pretendentów tak niewzruszonych, tak nieugiętych, tak świętych jakiemiby byli Papieże?“...

Przytoczyłem te ustępy z mowy Cezarego Balbo mianéj w 1849 r., aby wykazać raz jeszcze różnicę między tem cobym nazwał *italianizmem* z r. 1849 a dzisiejszym. Italianizm z r. 1849, czyli szkoła Giobertego, ogromne miejsce naznaczała Papieztwu w przyszłéj organizacyi Włoch; dążyła do przymierza między Sardynią i Papieztwem; zdaje mi się, że Gioberti i jego stronnicy chcieli nawet uwolnić Rzym od Mazzinizmu za pomocą interwencyi piemontskiéj. Była to polityka śmiała, mądra, a zwłaszcza bardzo włoska. Zamiast odnawiać stare zapasy między Papieztwem a królestwem Lombardów, pracowała ona w Turynie i w Rzymie aby zawrzeć przymierze między Papieztwem a Sardynią. Powiedzieć można, że myśl konfederacyi włoskiéj z prezydencyą Papieża, myśl konwencyi Villafranca, były to tradycye szkoły Giobertego. Wistocie, szkoła ta chciała stanowczo

niepodległości Włoch, a przeto wykluczenia wszelkiego wpływu obcego, lecz nie chciała jedności a raczéj unifikacyi Włoch. Ta jedność jest ideą szkoły Mazziniego, jedność republikańska w r. 1849, jedność monarchiczna w r. 1860. Dzisiejszy italianizm chce jedności Włoch; zdaje mu się, że jednością tą potrafi jedynie oprzeć się nieprzyjaciołom Włoch i wywalczyć to co jeszcze do niepodległości brakuje. Ależ pośród téj namiętnéj dążności do unifikacyi Włoch cóż się stanie z Rzymem i Papieztwem które jest zaporą na téj drodze? W r. 1849, szkoła Giobertego przegrała wobec trudności zewnętrznéj to jest wojny; lecz nie miała drugiéj trudności, trudności wewnętrznéj, to jest nie potrzebowała niszczyć Papieztwa. Przeciwnie stawiała je jako siłę i powagę Włoch całych. Utrzymują, że dopóki Włochy nie będą całkiem niepodległe, konieczną jest jedność ich wojenna, i aby utworzyć tę jedność wojenną, śpieszą się stworzyć jedność polityczną. Lecz tu właśnie występują trudności wewnętrzne, włoskie: w Rzymie papieztwo, w Neapolu królestwo Obojga Sycylii; a trudności te mogą na szwank wystawić dzieło Sardynii osłabiając to państwo w obec Austryi, i czyniąc z pomocy i przymierza Francyi nieodzowną dla Piemontu konieczność.

Jeżeli weźmiemy za cel niepodległość Włoch a nie ich unifikacyę, to polityka szkoły Giobertego, polityka mowy Cezarego Balbo była niesłychanie Włoską. Utracić Papieża, mówił on, jest to dla Włoch utracić wielki środek powagi i przewagi w Europie. Dla Rzymu jest to utracić wszystko. Dodajcie do tego, mówił bardzo słusznie Balbo, że jeżeli Włochy i Rzym utracą Papieża, to na to aby go innemu krajowi ustąpić. Wygnanie nie jest śmiercią dla Papieztwa. Papieztwo żyć będzie chociaż nie będzie we Włoszech, i żyć może będzie przeciw Włochom... Lecz na to italianizm z r. 1860 odpowiada, że we Włoszech nawet, Papieztwo żyje już dziś

13

przeciw Włochom. Zarzutu tego z r. 1860 nie mógł nikt uczynić w roku 1849 ani szkole Giobertego ani mowie Cezarego Balbo. W owym czasie, Papież Pius IX właśnie co był usiłował przeprowadzić wielkie i wspaniałe reformy które ożywiły całe Włochy. Źle go za nie wynagrodzono, skoro zmuszony był opuścić ów Rzym, owe państwo które chciał uczynić wolnem i szczęśliwem. Lecz nieszczęście jakiego doznał, nie zmniejszyło wdzięczności Włoch dla wspaniałomyślnego Najwyższego Kapłana. Żal powiększał jeszcze tę wdzięczność. Miał przeto prawo Balbo wystawiać w Piusie IX nie tylko Papieża, ale księcia włoskiego, przyjaciela swego ludu. Miał prawo powiedzieć: „Czyn początkujący i użyźniający nasze odrodzenie, czyn nieśmiertelny amnestyi nie należy do Piusa IX Papieża, ale do Piusa IX Monarchy; bez panowania Piusa IX nie mogło być amnestyi i reform; panowanie więc, władza doczesna Piusa IX była niezaprzeczenie zawiązkiem naszego wielkiego narodowego ruchu. Wskażcie mu jaką chcecie koléj; zawsze pozostanie faktem, że go rozpoczęła władza doczesna Papieżów"...

Te ostatnie wyrazy uderzą niewątpliwie wszystkie poważne umysły. Zawierają one rozwiązanie dalekie jeszcze ale konieczne kwestyi rzymskiéj. Długo może jeszcze utrzymywać będą jedni, że administracya państwa Kościelnego niewymaga żadnéj reformy, że trzeba zachować władzę doczesną Papieztwa taką jaka jest, i jakkolwiek może być wykonywaną; drudzy znów powtarzać będą, że trzeba zniszczyć tę doczesną władzę, że Papież powinien być kapłanem tylko a nie monarchą, że w Papieżu monarcha stoi na zawadzie powołaniu księdza, a ksiądz nie dozwala znów być monarchą. Długo jeszcze ścierać się będą z sobą te argumenta doprowadzone do ostateczności. Lecz po wielu starciach, z których może nie wydobędzie się wiele światła, wypadnie w końcu wrócić do rad, jakie podaje historya i

do nauki jaką przynosi doświadczenie. Balbo ma słusznie: władza doczesna Papieżów rozpoczęła wielki ruch narodowy we Włoszech. Czyliż Pius IX, gdy usiłował zreformować nadużycia dawnéj administracyi rzymskiéj, gdy się starał nowe instytucye zaprowadzić obok wiekowéj powagi papieztwa, czyliż wtedy nie był Papieżem? czy nadwerężał wtedy w czemkolwiek wiekuiste dogmata katolickie? Lub też, czy wtedy nie był monarchą? czy nie działał na mocy swéj doczesnéj władzy? Papieże mogą być roztropnymi i mądrymi władcami, nie będąc przez to złymi księżmi. Mogą zaprowadzać reformy polityczne i administracyjne nie naruszając w czemkolwiek wiary katolickiéj. To co Pius IX dokonać zamierzał w roku 1847, bez żadnéj apostazyi, mógłby również przeprowadzić w r. 1860 bez ubliżenia w czemkolwiek obowiązkom swego wzniosłego stanowiska. — Nie powiodło się, wiem dobrze, i to właśnie niepowodzenie stało się przyczyną i skutkiem owéj nieliberalnéj reakcyi, na jaką Rzym się skarży od powrotu z Gaety. (Lecz czemu się niepowiodło i komu to przypisać należy?) A reakcya nieliberalna czy się owiodła? Papież rewolucyjny — mówiąc językiem pewnych osób — był nieszczęśliwym; byłże szczęśliwym Papież reakcyjny? Zaufanie ludziom liberalnym zgubiło wszystko, mówią jedni. Uratowałże wszystko na drodze reakcyjnéj, odpowiadają drudzy. Niechaj rząd rzymski porówna oba te przebyte doświadczenia: drugie nie o wiele lepsze od pierwszego. Czemużby rząd papiezki, przebywszy z równem niepowodzeniem rewolucyę i kontrarewolucyę, nie miał się zatrzymać w systemacie pośredniego i roztropnego umiarkowania? Kto wie, może myśli które niem kierowały w r. 1847, powtórnie ogłoszone ale tak aby nie dawały przystępu ani zbytnim nadziejom, ani szkodliwym nieufnościom, zdołałyby przywrócić Papieżowi i papieztwu we Włoszech tę przewagę moralną

jaka się należy władzy jego duchownéj, tę przewagę która jest prawdziwą potęgą Papieztwa, tę nareszcie przewagę, która się szkole Giobertego zdawała tem ważniéjszą, że Papież utracić jéj nie może opuszczając Rzym, że może ją przenieść z sobą gdzieindziéj, nie bez tego jednak, aby na tem nie ucierpiała Europa chrześciańska, nie bez tego szczególniéj, aby na tem Rzym i Włochy niesłychanéj nie poniosły szkody.

Możeż kto myślić abym się dzisiaj owego powrotu do ducha umiarkowanego z r. 1847 od Papieztwa spodziewał? Nie zaprawdę: dzisiaj powrót ten nie miałby ani godności ani siły; byłby podejrzany jako wybieg lub przymus. Czekać należy. Są czasy walki i czasy pokoju. Trzeba przetrwać pierwsze a przyspasabiać drugie. Ale nawet w czasach zapasów, trzeba odsłaniać myśli wiodące do zgody, które ukazują się wprawdzie zdaleka, lecz zbliżają się coraz więcéj, dzięki staraniom zdrowych umysłów i dusz poczciwych, do jakich w tak wysokim stopniu należał Cezary Balbo.

Artykuł napisany przez p. Saint Marc Girardin a zamieszczony w Dzienniku *Journal des Dé ats* nie może być podejrzany o zbytnią dla władzy doczesnéj Papieztwa stronniczość. Ważność jego atoli nie leży w konkluzyi publicysty francuzkiego, bo sąd ostateczny o reformach jakie w administracyi państwa Kościelnego przedsięwzięte być mogą, i o chwili przeprowadzenia takowych właściwéj, należy wyłącznie do Ojca Świętego, jako do Głowy Kościoła i Monarchy. Nikt nie może wiedzieć lepiéj od Papieża, Następcy Piotra, czego wymaga dobro Kościoła i Papieztwa, nikt krom niego orzekać nie może o tem, co mu czy-

nić wypada i jak pogodzić obowiązki władzy jego duchownéj z wymagalnościami władzy doczesnéj, interes całego katolicyzmu z interesem krajów stanowiących dziedzinę Piotrową. Przez dziesięć wieków utrzymywali Papieże tę zgodę z niezaprzeczoną dla Kościoła i całéj ludzkości korzyścią, i nadal utrzymywać ją niezawodnie potrafią. Trudności nie są sprzecznością; jakiekolwiek one być mogą nie dowodzą aby sprzeczność istnieć musiała. Trudności są w naturze ludzkiéj, były zawsze i będą, bo wiadomo że Kościół jako zgromadzenie wiernych nie składa się z duchów ale ludzi. Mogą być większe dziś niż dawniéj; ale nie zmieniają one istoty Papieztwa. Połączenie dwóch władz duchownéj i doczesnéj w osobie Papieża jest opatrznem zrządzeniem; nie ma więc ani być może w tem połączeniu żadnéj sprzeczności, a ta jaką dziś upatrują jest tylko wypływem nieświadomości, fałszywych doktryn, wzburzonych namiętności a poczęści i złéj wiary, wzbraniającéj się pomimo niezbitych dowodów uznać, że właśnie w tem połączeniu jest rękojmia dla katolików niepodległości i niezawisłości tak niezbędnie potrzebnéj Naczelnikowi duchownemu dwustu milionów wyznawców Kościoła Chrystusowego. Lecz o tem już obszernie dawniéj mówionem było [1]).

To co przedewszystkiem w artykule powyższem uderzać musi, to że piękne i tak prawdziwe wy-

[1]) Patrz zeszyt październikowy r. z.

razy Cezarego Balbo wyrzeczone w r. 1849 dadzą się dziś w zupełności zastosować do obecnego położenia sprawy państwa Kościelnego. Papież jest w Rzymie, a przecież podobnie jak się pytał Balbo, zapytać się dzisiaj można: cóż się stanie z Rzymem, z Włochami i z całą Europą Chrześciańską jeżeli Papieztwo Włochy opuści? a zapytać się z nierównie jeszcze większą niż w ówczas troskliwością, bo jak się zdaje nie będzie ono mogło dzisiaj, gdyby je z Rzymu wyparto, szukać schronienia w Gaecie jak to w 1849 r. uczyniło. Nie jest to wcale bezzasadnem przypuszczeniem, ani żadnym pessymizmem. Dość na to odczytać dzienniki i to najprzychylniejsze obecnéj polityce włoskiéj, które ciągle przedstawiają prawdopodobieństwo wojny Piemontu z Rzymem i Neapolem, a dzisiaj powtarzają pytanie: cóż się stanie z Lamoricierem jeżeli się wyprawa Garibaldemu powiedzie?... Mniejsza o Lamoriciera, ale cóż innego ma znaczyć to pytanie, jak tylko że Papieztwo z doczesną swą władzą ostać się w Rzymie nie może, jeżeli Neapol połączy się w jedno państwo z Piemontem.....

Pan Saint Marc Girardin ani razu w artykule swoim nie wspomniał o anneksyi. I słusznie, bo anneksya z włoskiéj uważana strony nie ma innego znaczenia, jak tylko unifikacyę Włoch, czyli przeobrażenie wszystkich narodowości składających włoski półwysep na prowincye jednego państwa. Anneksya Włoch środkowych w r. 1860

była tylko inauguracyą tego samego systematu z formą rządu monarchiczną, jaki w r. 1849 zapowiadała Włochom rzeczpospolita rzymska pod formą republikańską. Dla tego też publicysta francuzki nie rozbierał bynajmniéj samego faktu anneksyi, ale przewidując jego następstwa, starał się wykazać jaka głównie trudność wewnętrzna stoi na przeszkodzie polityce włoskiéj w tym kierunku. Posłużył mu do tego Cezary Balbo, któremu prawdziwie patryotyczne uczucia nakazywały bronić sprawy Papieztwa w obec rzeczypospolitéj rzymskiéj z r. 1849, a obrona ta wybornie odpowiada na niebezpieczeństwa jakiemi sprawa Państwa Kościelnego jest zagrożoną w obec anneksyi z r. 1860. Są zapewne różnice w położeniu Stolicy Apostolskiéj względem tych dwóch wypadków, ale różnice te są tylko co do formy, w istocie zaś jak w ówczas tak i dzisiaj rozpoczęty na Papieztwo zamach, prowadzi do wyzucia go z władzy doczesnéj i ogołocenia z dziedziny Piotrowéj.

Zamach ten jakże szybko w ostatnich postępował czasach! Kiedy w październiku roku zeszłego przyszło po raz pierwszy traktować obszerniéj ów przedmiot na tem miejscu, sprawa państwa Kościelnego, była powiedzieć można jeszcze w dziedzinie dyskusyi dziennikarskiéj. Rozprawiano jeszcze o reformach administracyjnych, jakich się domagano od rządu papiezkiego, lubo widocznem już było że w gruncie nieszło nigdy

o reformy. Podawano już wprawdzie w wątpliwość potrzebę władzy doczesnéj Papieża, ale o zniesieniu takowéj mówiono tylko półgębkiem; z resztą głos Biskupów całego katolickiego można powiedzieć świata, z taką wspaniałą a imponującą zgodnością występował w jéj obronie, iż w obec takiéj powagi i siły, trudno się było ostać argumentom na jakie się zdobywali przeciwnicy Papieztwa. Bononia wprawdzie trwała w swem oderwanem od Państwa Kościelnego stanowisku; ale stanowisko to uważane było za chwilowe, nikt nie zaprzeczał praw Stolicy Apostolskiéj do prowincyi tak zwanéj Emilii; przeciwnie, nietykalność krajów papiezkich zawarowaną była nie tylko uroczystemi słowy mocarza francuzkiego, ale nawet uznaną i zapisaną w świeżo między Francyą i Austryą zawartym traktacie. Niebezpieczeństwa jakie zagrażały Papieztwu były raczéj w zamiarach jego nieprzyjaciół, których odgadnąć nie było trudno, aniżeli w samem położeniu w jakiem się przedstawiała w ówczas sprawa państwa Kościelnego.

Po upływie kilku miesięcy, kiedy w styczniu r. b. po raz wtóry [1]) odezwać się wypadło w téj sprawie, położenie to było już całkiem inne. Spór o władzę doczesną Papieztwa lubo nie zeszedł z pola dyskusyi, przeciwnie powiedzieć można z większą jeszcze gwałtownością na niem wy-

[1]) Patrz zeszyt styczniowy z r. b.

co stąpił, nie miał już jednak téj poważnéj cechy dawniéj. Pozbawiony głosów Biskupów, którym pod pozorem uniknienia agitacyi odmówiono jawności politycznéj, przybrał formę namiętnéj dialektyki. Najlepiéj wypracowane broszury nie mogły mieć ani tego znaczenia ani tego wpływu co listy pasterskie. Na cóż zresztą przydać się mogła i najgorliwsza w broszurach obrona władzy doczesnéj Papieztwa, kiedy niesłychanéj doniosłości pisemko, z powodu domysłów z jakiego wypłynęło źródła, pisemko „Papież i kongres“, lubo przyznawało że dla utrzymania niepodległości Papieztwa, władza jego doczesna koniecznie jest potrzebną, wskazywało jednakowoż zarazem nieprzyjaciołom téj władzy drogę, jaką dojść mogą do zupełnego takowéj zniesienia. Na cóż się przydać mogło dowodzić, że Papież Romanii odstąpić nie może, że zachowanie w całości dziedziny Piotrowéj jest dla niego zaprzysiężonym obowiązkiem, że traktat zawarty w Tolentino do którego się odwoływano nie może być żadną miarą uważany za precedencyą, że jeżeli Pius VI ustąpił chwilowo przed siłą, uczynił to jako ofiarę dla dobra Kościoła i w celu odzyskania władzy doczesnéj z któréj go przemoc wyzuła, gdy tymczasem dobrowolne ustąpienie Pius IX, jakiego się dzisiaj domagano, byłoby nie tylko ze szkodą Kościoła ale nadto prowadziłoby do utraty téj władzy — na cóż jednem słowem, przydać się mogło zbijać wszystkie te zwodnicze argu-

menta jakiemi przeciwnicy Papieztwa starali się obałamucić opinię i usprawiedliwić najwyraźniejsze pogwałcenie praw Stolicy Apostolskiéj, kiedy w rzeczonem pisemku podany był sposób praktyczny, za pomocą którego pozbawić można było Kościół z wszystkich jego wiekowych posiadłości. Skoro tylko chwilowe oderwanie się Bononii uważane być mogło za fakt dokonany, i jako taki uznane za nieodwołalne w polityce w brew prawu Stolicy Apostolskiéj, to czemużby na téj drodze politycznéj faktu dokonanego, Marchie, Umbrya, i nakoniec sam Rzym nie miał pójść za przykładem Legacyj? Polityka faktu dokonanego postawiona wyżéj niż prawo wiekowe Papieztwa, nieusprawiedliwiała wprawdzie zamachów przeciw Stolicy Apostolskiéj, ale w każdym razie ośmielała nieprzyjaciół jéj władzy doczesnéj, czyniąc ze sprawy państwa Kościelnego kwestyę tylko siły, okoliczności i czasu. Szło tylko o zrobienie początku, o stanowcze oderwanie Romanii, o dokonanie faktu zaszłego na drodze rewolucyjnéj, i otrzymanie uznania tego faktu na drodze politycznéj. Otrzymanie takowego uznania obiecywało wyraźnie pismo „Papież i Kongres“, a przewidywać pozwalał list Cesarza Napoleona do Papieża z d. 31 grudnia r. z. pisany, jakoteż i położenie ogólne Europy o jakiem świadczyły okoliczności towarzyszące tym wypadkom. Przeciw temu też niebezpieczeństwu jako głównemu, skierowana była obrona

Stolicy Apostolskiéj, jak tego najlepiéj dowodzi osnowa Encykliki Ojca Śgo z 19go stycznia r. b. Musiała ona być więcéj polityczną niż poprzednie, bo obrót jaki nadano sprawie państwa Kościelnego, wymagał w odpowiedzi na postawione niesłuszne żądania tego samego politycznego kierunku.

Zmieniło się znów od tego czasu położenie sprawy państwa Kościelnego i innem jest dzisiaj jak wtedy. Nastąpiła anneksya Włoch środkowych do Piemontu. Ziściła się obietnica dana w pisemku „Papież i Kongres“. Fakt dokonany otrzymał polityczne uznanie, jeżeli nie wyraźne i głośne przez traktaty, to domniemane i ciche przez milczenie gabinetów, to stanowcze ze strony Francyi, przez anneksyę Sabaudyi i Nicei. Otrzymał to uznanie fakt dokonany przynajmniéj co się tyczy Romanii. Bo nie mogą uchodzić za dostateczną protestacyę przeciw pogwałceniu praw Stolicy Apostolskiéj przez zabór Romanii spełnionemu, owe protestacye jakie anneksya wywołała. Prawa Papieży do dziedziny Piotrowéj z innego wypływają źródła, na innych opierają się podstawach, aniżeli legitymizm reszty panujących we Włoszech książąt. Jak w wypadkach we Włoszech środkowych zaszłych które się anneksyą zakończyły, odróżnić zawsze wypadało wypadki bonońskie, tak też i w samymże fakcie anneksyjnym, anneksya Bononii nierównie większe ma dla świata katolickiego znaczenie i ważniej-

sże dla niego pociąga za sobą następstwa. Jeżeli w sprawie włoskiéj anneksya Włoch środkowych inaugurowała politykę unifikacyjną, jak to powyżéj wykazanem było, to anneksya Romanii w sprawie państwa Kościelnego jest pierwszym krokiem do wyzucia Stolicy Apostolskiéj ze wszystkich jéj posiadłości, do ogołocenia Kościoła z dziedziny Piotrowéj, słowem do obalenia i zniszczenia władzy doczesnéj Papieztwa.

Nie chodzi też już dzisiaj w sprawie państwa Kościelnego o Bononię jak dawniéj. Nie chodzi o nię, ale nie dla tego aby fakt dokonany miał był zmienić prawa Stolicy Apostolskiéj, aby anneksya choćby nie wiedzieć jak i przez kogo uznana mogła wczemkolwiek prawa te moralnie narencyi, lub nadwerężyć, aby nawet posiadanie mogło wyrządzony gwałt jakkolwiek usprawiedliwić. Wszystko, cokolwiek się w obronie praw Stolicy Apostolskiéj do Romanii przy dwukrotnem sprawy téj rozbiorze powiedziało, powtórzyćby można dzisiaj w zupełności i z równą słusznością, gdyby tego było potrzeba. Ale Rzym, który w Liście Apostolskim przez Ojca Świętego na d. 26 marca r. b ogłoszonym, tak stanowczo określił swoje obecne i przyszłe względem anneksyi Romanii stanowisko, dalszem swem postępowaniem, i przedsięwziętemi energicznemi krokami, nader wyraźnie wskazuje, że niebezpieczeństwo zagrażające dawnéj państwu Kościelnemu w Ro-

manii, zagraża dziś władzy doczesnéj Papieztwa w całéj dziedzinie Piotrowéj.

Tak więc śmiało zmierzają do celu przeciwnicy władzy doczesnéj Papieztwa. Droga na któréj szybko postępują aż nadto widoczna. Przygotowawszy umysły ciągłemi napadami na rząd papiezki jakoby nieodpowiedni dzisiejszéj cywilizacyi i niedający się pogodzić z wymaganiami ducha czasu, uderzyli na samo Papieztwo podburzając namiętności twierdzeniem jako pewnik głoszonem, że Papieztwo przeciwne jest narodowościom. Teraz znów skoro anneksya Bononii została dokonana, a idzie o przeprowadzenie jéj następstw to jest unifikacyi Włoch, rozlegają się bezprzestannie głosy, że Papieztwo jest przeszkodą do niepodległości, jedności i wielkości Włoch. A przecież jakże dalece szałem namiętności uniesionym być trzeba, aby nie widzieć, że podobnie jak owo przeciwstawienie narodowościom nie zgadza się z ośmnastowiekową historyą i z samą istotą téj boskiéj instytucyi, tak również sprzeciwia się dziejom i duchowi Papieztwa zarzut, aby miało być przeszkodą do niepodległości i jedności Włoch. Zbyteczna byłoby powtarzać, co się już dawniéj o stosunku Papieztwa do narodowości powiedziało. Ale godzi się zapytać, komuż to narodowości włoskie winne są swe utrzymanie jeżeli nie Papieztwu? Ktoż to przechował ich żywotność w pośród ciągłego napływu cudzoziemców? Gdzież miały swe ogni-

sko? Gdzież czerpały siłę i ducha włoskiego? któraż to włoska narodowość pozostała zawsze włoską i jedynie włoską, i bardziéj włoską od Papieztwa? Komuż to narodowości włoskie zawdzięczają tego ducha który sprawił, że niema między niemi takowego rozdziału coby o zjednoczeniu Włoch nawet pomyśleć nie dozwolił? Komuż jeżeli nie owéj spójni w jakiéj zostawały z Rzymem pomimo nieszczęśliwych kolei przez jakie przechodził półwysep? Skądże więc owa łącznia religijna i narodowa jaką było przez tyle wieków Papieztwo, owa siła włoska w któréj jeszcze przed dwunastą laty najgorętsi patryoci włoscy największą chlubę i wielkość, i niejako kamień węgielny odrodzenia się Włoch upatrytrywali, miałoby być dzisiaj dla tychże samych narodowości włoskich przeszkodą do ich zjednoczenia i przyszłéj wielkości?...

A co się tyczy niepodległości Włoch, któż w dawnych wiekach więcéj jéj bronił niż Papieże? Któraż narodowość włoska więcéj za nią walczyła niż Papieztwo? któż w obec całego świata i Włoch samych był niepodległości téj reprezentantem jeżeli nie Rzym? W cóż się obróciła niepodległość Włoch gdy rewolucya francuzka Stolicę Apostolską wyzuła z jéj posiadłości? Nareszcie w niedawno upłynionych latach, któż silniéj przemawiał za niepodległością włoską jak Ojciec Święty, ów właśnie Pius IX dzisiaj za przeciwnika téj niepodległości głoszony?

Odkądże to cała obecna polityka Piemontu datuje jeżeli nie od roku 1847? Cóż jeżeli nie reformy przez Rzym ogłoszone były hasłem dla Karola Alberta do zaprowadzenia owego statutu z którego się tak szczycą Włochy, i za sztandar prawie dzisiaj używają?.... O zaprawdę jakże słusznie miał Balbo gdy mówił: „Bądź co bądź wyznać należy, że ruch narodowy we Włoszech rozpoczęła władza doczesna Papieztwa....

Lecz jeżeli ów szlachetny patryota włoski troszczył się o koleje przez jakie przechodzić będzie Papieztwo w obec rzeczypospolitéj rzymskiéj i *tego co potem nastąpi*, to jakże nie równie daléj posuwać można troskliwość w obec dokonanéj anneksyi i *tego co się teraz już dzieje we Włoszech!* jeżeli w ówczas obawiał się aby Papieztwo nie było zmuszone opuścić półwyspu, o ileż większe mogą być obawy dzisiaj czyli Papieztwo będzie mogło ostać się we Włoszech? Papieztwo nie jest zaiste przeszkodą do zjednoczenia się Włoch, jako narodowości włoskich, historycznych, do zjednoczenia opartego na faktach opatrznych, dziejowych, na podstawach naturalnych, moralnych i prawnych. Przeciwnie w takiem zjednoczeniu byłoby spojnią i siłą. Lecz czy znajdzie ono należyte uznanie swych niezmiennych praw w zamierzonéj unifikacyi, czy może się utrzymać ze swą doczesną władzą w państwie sztucznem, utworzonem na zasadzie narodowości włoskiéj, o tem wątpić wolno. Narodowość jest faktem

opatrznym, na którym jako na naturalnéj podstawie opierać się winna organizacya polityczna. Narodowość zamieniona w zasadę z pominięciem historyi staje się koniecznie zasadą niwellacyjną, centralizacyjną, absorbującą. Taką też widzimy dotąd zasadę narodowości włoskiéj w kierunku anneksyi.

Czy półwysep włoski jest przeznaczony do przebycia owéj ciężkiéj próby, do przejścia przez owe przeobrażenie w jedno scentralizowane państwo? W końcu, powiada p. Saint Marc Girardin, wrócić mu koniecznie trzeba będzie do historyi, doświadczenia, do zasad Cezarego Balbo. Ale zanim prawda tryumf odniesie jakie koleje spotkać mogą Papieztwo?...

„Z Rzymu to najczęściéj rozchodziło się po „Włoszech hasło uwolnienia, i taż sama potęga „co Włochy po tylekroć od cudzych obroniła „zaborów, taż sama, dziś jeszcze, stoi na przeszkodzie, — nie zjednoczeniu narodowemu, ale „jednemu Włochów Królestwu. Kiedyś będą ją „za to wielbili, dzisiaj przeklinają!“... Piękne te a pełne prawdy i zaufania w Opatrzność wyrazy, napisał jeden z dzienników polskich wychodzący w Paryżu, w odpowiedzi na broszurę wymierzoną przeciw władzy doczesnéj Papieztwa.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Paryż w kwietniu.

Wielki tydzień upłynął tu jak zwykle: na uwijaniu się, przymierzaniu kapeluszów, próbowaniu nowych sukień, koni, powozów — włóczeniu tego wszystkiego po Polach Elizejskich, kokietowaniu i. . . spowiadaniu się. Longchamps, owa oburzająca promenada, którą Paryż dzień męki Chrystusa obchodzi — obyczaj brzydki który lat poprzednich zdawał się chylić ku upadkowi — tego roku odżył w całym swym rażącym blasku. Jednak, jeżeli go porównamy z tem czem był dawniéj, jeszcze upadkiem jego cieszyć się będziemy mogli.

Niedawno przerzucając „Wspomnienia“ Janina, natrafiłem na następujący opis tych turniejów bez oszczepów, bez zbroi, z których jednak tylu rannych i zabitych wychodzi.

Dagierotyp jest zdjęty za budujących czasów Restauracyi. . . „Wielki piątek był wtedy dniem najważniejszym w roku — dla elegantek. Od południa już postrojone kręciły się w wielkiéj paradzie, w sukniach jaskrawych — a za niemi rój mężczyzn w złocistych mundu-

rach — każden w przyborach nie swego stanu lub majątku, ale swego zbytku i szaleństwa. Szereg powozów wnet stawał się zbitą procesyą mieniącą się jak kalejdoskop: tu ambasador rozparty w ponsowo malowanéj karocy, ciągnionéj przepysznemi końmi, jedzie unosząc na złocistych poduszkach subretkę z „Komedyi Francuskiéj“, na którą wszystkie zwracają się lornetki; za nią pędzi karetą Celimena... wymija ją minister w koczu rozparty wspaniale i leci za wolantem, w którym Kamargo rozwiewa woń pudru i pomady; obok jedzie dewotka w skromnie przymkniętéj landarze, przy niéj książę z krwi panującéj, przebrany za polisona goni swą nową zdobycz, wymijając obojętnie wczorajszą faworytę, która podmalowane wdzięki rozkłada w amarantowo wybitym powozie zaprzężonym sześcioma bułanemi końmi. Za niemi jadą w poważnych kolebkach *dueriery* stare: na ich powozach błyszczą herby odziane w płaszcze dziedzicznego parostwa — we środku wieją pióra, czuby, parasolki, wachlarze, angażanty, forbroty, fontazie, kutasy, falbany, robrony, ptifenie, blondyny i wstęgi, któremi możnaby ubrać dostatnio kilkanaście baletniczych korpusów.“

Za pierwszego cesarstwa Longchamps znowu inny przedstawiał widok: kobiety w sukniach bez staników, z wązką czerwoną przepaską zaciśniętą pod piersiami — wyglądały jak żony rzymskich Klaudiuszów i Aureliuszów; inne modelujące się na greczynki, chodziły w purpurze bogato złotem haftowanéj; dowolne fałdy tych sukien spinano na ramionach i w pasie, kameami — we włosach długie sterczały śpilki, albo wysokie piętrzyły się dyademy. Najpiękniejsze damy, naśladując Venus albo Frine, toaletę swą do rajskiéj sprowadzały prostoty: całe ich ubranie stanowiły cztery łokcie muślinu, który przeciągano pierwéj starannie, żeby stał się przezroczystszy i wiotszy... Piękne te poganki wyglądały jak statuy, a Longchamps wydawał się roku pańskiego 1802 jako galerya starożytnéj rzeźby.

Dziś tryumfująca demokracya znosząc kasty, z żalem artystów i nadwornych poetów, zniosła także różnice ubioru: boginie i pawice, lwy i pagody, utonęły wraz z przywilejami. Sukno zastępując jedwab, inaugurowało panowanie tłumu; stanik pod szyję i paletot okrywa-

jący dziś obie płcie, możnaby nazwać *sankiulotyzmem* stroju. Dziś wyrobnik i cesarz w jednakim chodzą ubiorze — mężczyzna nie jest *ubrany* ale *odziany*.

Wiele jeszcze zapewne upłynie czasu, zanim i strój kobiecy do takiego samego dojdzie rozsądku — jednak coraz praktyczniejsze kroje sukien, coraz powszechniejsze użycie sukna i ciemnych materyj — coraz nakoniec węższe rozmiary rogówek, wróżą, że i płeć piękna uznała za stósowne odznaczać się czem innem jak toaletą — nie w wielki piątek wprawdzie, bo ten powtarzam, jeszcze na składanie ofiar próżności poświęcony w Paryżu — ale przez resztę roku, za co może bluźnierstwa dnia tego będą jéj przebaczone.

Tegoroczny widok zbytku na Longchamps tem był przykrzejszy, że położenie wyrobników jest w téj chwili bardzo ciężkie w Paryżu. Kapitały przejęte jakąś niepatryotyczną trwogą, pochowały się i jeszcze z ukrycia nie wychodzą — z każdym zaś dniem wzrastające ceny niezbędnych potrzeb życia, wymagają właśnie nadmiaru pracy; skoro tylko tego n a d m i a r u braknie, niedostatek natychmiast srodze czuć się daje ubogim. Zima przedłużająca się tego roku do nieskończoności, podwaja nędzę. Zrzekłszy się nawet opału, wyrobnik jeszcze z biedy niewybrnie, bo musi kupować do jadła jarzynę, a każdy listek kapusty drogo kosztuje: za jeden kartofel trzeba zapłacić *sousa*, a za jedno jajko dwa *sous*, czyli blisko pięć groszy.

Mieszkania mimo wielkiéj ilości zbudowanych domów, wciąż w wysokiéj trzymają się cenie; dwie rzeczy przeszkadzają zniżeniu komornego: pierwszą jest wznoszenie wspaniałych pałaców na miejscu gdzie stały wyrobnicze lepianki — drugą, przyłączenie przedmieść do stolicy. Właściciele przedmieściowych kamienic zręcznie korzystając z położenia wyrobników pozbawionych dachu *pour cause d' utilité publique*, podwoili natychmiast ceny mieszkań.

Rząd francuzki sprężysty, silny, uzbrojony w prawa i sposoby mogące obudzić czynność kapitalistów, zajmuje się obecnie ożywieniem pracy, wiedząc, że ona jest podstawą spokoju i bogactwa narodowego.

Coraz głośniejsze narzekania na drogość mieszkań, skłoniły rząd do zawiązywania w kraju towarzystw ma-

jących się zająć stawianiem domów dla robotników na gruntach dostarczonych przez municypalność paryzką za pół ceny zwyczajnéj. Domy te budowane po prostu, przez lat dwadzieścia mają być wolne od podatków — opłata zaś mieszkań będzie rozłożona tak, żeby nie przenosiła pięciu procentów od wyłożonego na budowę kapitału. Domy te, około stawiania których już tu i owdzie się krzątają, staną się regulatorem przeszkadzającym właścicielom kamienic nadużywania prawa własności.

Mimo wyż wymienionych dolegliwości, wyrobnicy paryscy czują, że nigdy pod żadnym rządem nie zajmowano się nimi troskliwéj jak pod panowaniem Napoleona IIIgo. Cesarz wierny swemu programatowi: (*gouverner d' en haut, protéger en bas*“) wysila wielki swój rozum na sposoby polepszenia bytu klasy ubogiéj. Nie zliczyłby codzień wprowadzanych w każdą gałęź administracyi ulepszeń, zmierzających ku ulżeniu losu wyrobników, przysporzeniu im wygód, dostarczeniu rozrywek, ujęciu pracy, a przynajmniéj uczynieniu jéj nieszkodliwą zdrowiu.

I tak naprzykład, między innemi, z pomocą rządu wprowadzono w tych czasach zbawienne reformy do ogromnéj fabryki czcionek Bernego, zatrudniającéj parę tysięcy robotnikow i mającéj europejską sławę.

Wiadomo, iż wytapianie niektórych rud kruszcowych, jako też aliażów jest bardzo niezdrowe z powodu ulatniania się niedokwasów i soli metalicznych, a niekiedy i samychże metali. Niebaczny wyrobnik połyka w źle urządzonych pracowniach ołowianych i merkuryalnych truciznę. Ważna reforma fabryki o któréj mowa, na tem się zasadza, że wypadki tak dobrze nagłego jak i powolnego zatruwania robotników raz na zawsze są usunięte. Po długich doświadczeniach i próbach urządzono tak piece i wietrzniki, że wszystkie wyziewy i solne części na zewnątrz budynku odchodzić muszą. Pracownie umieszczone na najwyższem piętrze, wybornie oświetlone, wolne są zupełnie od gorąca, które dawniéj buchając z pieców zmieniało je w istotne piekło, przez które prawdziwiéj niż Dante, przechodziło za życia tysiące ludzi. W izbach niedawno jeszcze przepełnionych trucizną, wieje teraz powietrze zdrowe, panuje czystość,

wygoda i wzorowy porządek, który na każdem miejscu raduje oczy.

Na środku każdéj sali stoi na podwyższeniu trybuna, na któréj codzień jeden z wyrobników zasiada, i przez dwie godziny czyta pracującym kolegom jakąś zajmującą książkę. Zauważano, że w tym przeciągu czasu robota idzie najsporzéj. Lektor dostaje za czytanie półtora franka. Ojcowska administracya nie poprzestając na ulepszaniu warunków pracy, najpilniejszych wyrobników przypuszcza do własnych zysków: dość znaczny procent od przychodu jest dla nich przeznaczony. Prócz tego robotnik może z ułatwieniem wypłaty dostawać z pierwszéj ręki opał i światło.

Dla uniknienia niesprawiedliwości w rozdziale pracy, ustanowiono komisyę złożoną z czterech wyrobników. Komisya ta odnawianą bywa co pół roku, i każdy z kolei robotnik do niéj należy; ma ona obowiązek rozdawać na przemian ciężką i lekką robotę, tak aby nikt nie był skrzywdzony — co jest bardzo ważną rzeczą w tego rodzaju fabrykach, bo różnice robót są ogromne z powodu różnicy czcionek i winiet, które tam wyrabiają.

Jednem słowem, wszystko co może polepszyć byt wyrobnika, zostało tutaj wprowadzone w praktykę. Ponieważ te ulepszenia, mianowicie administracyjne, do każdéj wielkiéj rękodzielni zastósować można, nie od rzeczy będzie podać do wiadomości podróżujący'h Polaków adres téj wzorowéj fabryki: znajduje się ona przy ulicy *Marais-Saint-Germain*, nr. 17.

Praca męska jest tedy na dobréj drodze. Coraz sprawiedliwiéj oceniana i wynagradzana, wkrótce dobije się zupełnéj sprawiedliwości; ale niskość płacy za pracę niewieścią przeraża! Ostatni kurs Ekonomii Politycznéj Baudrillarta, w znacznéj części temu przedmiotowi poświęcony, wykazuje, że stan kobiet pracujących we Francyi, tych właśnie kobiet których posłannictwem zaludniać kraj — jest opłakany. Baudrillart nie namiętnościom, ani zepsuciu, ale niskiéj cenie pracy przypisuje złe obyczaje wyrobnic paryzkich. Pokazuje cyframi, że z dochodu jaki im daje najgorliwsza praca, utrzymać się nie są w stanie, i muszą albo zamorzyć się, albo w deprawacyi szukać niezbędnego kawałka chleba.

Kto zna wrodzoną zacność paryzkiego ludu i ceny paryzkiego życia, ten najzupełniéj na zdanie profesora się zgodzi. Pojąć trudno, dla czego tak ostro karząc występki ubogich kobiet, moraliści tak mało zajmowali się uczynieniem dla nich cnoty możliwą. Są we Francyi towarzystwa protegujące zwierzęta, towarzystwa zachęcające do ulepszenia rasy koni; rząd i rady departamentowe rozdają nagrody chodownikom bydła — ale chowem człowieka nikt dotąd się nie zajął. Troskliwi opiekunowie czuwają nad losem konia, baczą pilnie ażeby kropla krwi nieczystéj nie zamięszała się w żyły folbluta; dobry byt klaczy obchodzi ich niezmiernie — ale co pocznie matka uboga, jak wykarmi dziecię które Bóg daje — to już nie obchodzi nikogo... i jeżeli nie zechce sprzedać ciała albo duszy na które zawsze kupiec się znajdzie, musi umierać z głodu.

Życie paryzkiéj wyrobnicy mniéj jest zapewnione niż życie murzyna. Właściciel niewolnika zbyt wielkie ciągnie z jego fizycznéj siły korzyści, żeby mu miał skąpić strawy, lub obarczając nad miarę wtrącać w chorobę. Ale tak delikatne stworzenie jak paryzka wyrobnica, zwykle sierota własnemu przemysłowi zostawiona, która pracując od świtu do północy, ledwie wyżyć zdoła, zginąć musi w okropnéj epoce tak zwanego *szomażu* czyli kwartału pozbawionego roboty; zginąć musi, bo niema nawet takiego jak ten murzyn interesowanego dobrodzieja, co go żywi jak bydlę, z którego ciągnie zyski.

Zakorzeniona niesprawiedliwość, przesąd jakiś zgubny, każe uważać pracę kobiecą jako bez porównania niższą od męzkiéj. Choć *ona* często więcéj zrobi niż *on*, we wszystkich rękodzielniach prawem jest płacić nie wedle ilości roboty, ale wedle ręki która ją wykonała. Kobieta słabsza więcéj potrzebująca, dostaje o trzecią część mniéj niż mężczyzna. Ponieważ potrzebuje większéj opieki, mniéj jest faworyzowaną... Odwrotny porządek rzeczy daleko byłby sprawiedliwszy.

Wyszła świeżo w tym przedmiocie ważna książka. Autor jéj Boucher de Perthes kreśli najsmutniejszy obraz życia wyrobnicy francuzkiéj, tak w stolicy jak na prowincyi. Między innemi wyczytujemy tam następujący kawałek:

. . . „Wyrobnica pracując godzin dwanaście dziennie, zarabia ledwie tyle, żeby mogła głód zaspokoić; nie pozostaje jéj z tego zarobku ani grosz na zapłacenie odzienia i mieszkania. Na prowincyi płaca robotnic biegłych, używanych po fabrykach, sklepach i domach, wynosi franka dziennie. Jestto najwyższa zapłata, którą dostają tylko najzręczniejsze, ogół wyrobnic pobiera piętnaście sous lub pół franka. Znam wiele takich, które pracując u siebie przez dwanaście godzin nie zarabiają więcéj jak ośm sous, a muszą same się żywić i płacić mieszkanie: na to wszystko owe ośm sous powinny wystarczyć. Nie mało jest takich, które wolą za same jadło cały dzień pracować; inne będąc niby to na nauce, przez lat parę za darmo pracują, niemając nawet téj strawy którą Bóg ptakom daje. — Taki jest u nas los ubogiéj kobiety. A teraz krzyczcie na jéj *niemoralność* jeżeli śmiécie.“

Rzeczywiście, wiedząc to wszystko, czyż podobna sumiennie potępiać te nieszczęśliwe istoty, ktore nie co innego, ale wrodzony instynkt bytu popycha w otchłań nierządu! — Kto ma prawo kamienować je za to, że nieumiały heroicznie umrzeć z głodu na poddaszu bez ognia, bez światła i bez łoża?. . . O! zachowajmy lepiéj wzgardę dla tych *niegłodnych,* co nie za kawał czarnego chleba, ale za kawał koronki honorem mężów swoich płacą.

Niedostatek gnębiący kobiety, nietylko je same zabija. Karłactwo rasy ludzkiéj idzie w ślad za nędzą matek. Niewiasta chora, zamorzona, rodzi kaleki albo słabowite dzieci. Skutkiem coraz niższego wzrostu pokoleń, co lat parę muszą zmniejszać we Francyi miarę żołnierza. Cóż się stanie, jeżeli społeczność nie przedsięweźmie energicznych środków ku polepszeniu bytu kobiet ludu, tych kobiet które noszą w sobie przyszłość narodu: wyrobnika i żołnierza.

Ważna ta kwestya coraz więcéj zaczyna zajmować tu umysły: mówią o niéj z katedry, myślą i piszą wiele. Książka pana Boucher: „*De la Femme dans l'état social*“ jest jedną z najużyteczniejszych jakie w téj materyi napisano. Wskazawszy trudności któremi najeżone życie wyrobnicy, autor podaje sposoby ich usunięcia, a w końcu proponuje, żeby na wzór już istniejących towarzystw

ku opiece zwierząt zawiązanych, założyć *Towarzystwo protekcyjne dla wyrobnic.*

Słychać, że projekt p. Boucher trafił do przekonania wielu rozsądnych ludzi, i *Towarzystwo* to przyjdzie do skutku. Kilka osób możnych przyjęło już ofiarowane sobie miejsce w dyrekcyi, a każdy obywatel chętnie rękę przyłoży, bo każdy uznał za rzecz niezawodną, że cnota dobry byt i zdrowie matek, stanowią siłę i dzielność synów.

A teraz, jeżeli mnie zapytasz o nowiny ze stolicy, powiem, że nie mamy ich wiele — a nawet bardzo mało. Ta którą na czele zapisać warto, jako nader rzadką osobliwość, jest, iż 9go kwietnia wieczorem widzieliśmy tu zorzę północną.

Spóźnienie wiosny nabawia świat piękny złego humoru: niemożna spacerować chyba w futrze, wszystkie zatem liliowe, hiacyntowe i fijołkowe toalety muszą spoczywać w skrzyniach, i prawdopodobnie tego roku nie zobaczą się z wiosną.

W pałacu przemysłowym przygotowują wystawę ogrodniczą. — Zaraz po niéj zostanie otwartą wystawa płodów kolonii francuzkich i Algieryi. Cała południowa część pałacu już przepełniona nadsyłanemi pakami z za morza. Wystawa ta będzie otwartą w czerwcu, jednocześnie z wystawą rolniczą, na któréj może znowu galicyjskie bydełko zobaczymy.

Kończąc ten list, wspomnieć muszę o bardzo dowcipnéj książeczce, która się tu pojawiła temi dniami pod tytułem: „*Le Clos Vougeot*“. Luchet napisał pochwałę téj sławnéj burgundzkiéj winnicy, i zarazem panegiryk wszystkich win francuzkich. Autor utrzymuje, że wino jest istotą organiczną. Począwszy od swych urodzin aż do późnéj starości, latorośl winna przechodzi szereg przeobrażeń, które zmieniają kolor, zapach i smak jéj owoców; jak każde ciało żyjące podlega także chorobom — nakoniec po przeciągu czasu który w dobrze uorganizowanym krzewie trwa często wiek cały — latorośl zużyta, odarta z liści, pozbawiona wszystkich swych wrodzonych własności, umiera naturalną śmiercią.

„Wina francuzkie — woła autor — owe wina których nazwiska zna świat cały i cały świat nam zazdrości — są także apostołami! Tam gdzie straż graniczna nie

puszcza naszych książek, wino francuzkie wchodzi i wnosi z sobą zapał, oraz wszystkie szlachetne natchnienia naszego narodu. Wszędzie gdzie piją naszego Burgunda, ludzie są trochę Francuzami. Ministrowie często zdziwieni budzącem się w około zachceniem wolności, szukają winowajców i ani się domyślają, że jedynym winowajcą jest *francuzkie wino!* Któżby zaprzeczył że wino żyje? Wszakże świat cały nazwał *duchem* (ésprit) to co stanowi jego esencyę. Nie inaczéj! Wino jest apostołem wolności — a nie jego wina, jeżeli człowiek czasem zeń zły użytek czyni.“

Książeczka o któréj mowa, nie bardzo zapewne podobałaby się naszym propagatorom *wstrzemięźliwości*— ale trafiłaby niezawodnie do przekonania wszystkich tych, co podzielają szlachetny gust Bachusa.

---

puszcza naszych książek, wino francuzkie wchodzi i wnosi z sobą zapał, oraz wszystkie szlachetne natchnienia naszego narodu. Wszędzie gdzie piją naszego Burgunda, ludzie są trochę Francuzami. Ministrowie często zdziwieni budzącem się w około zachceniem wolności, szukają winowajców i ani się domyślają; że jedynym winowającą jest *francuzkie wino!* Któżby zaprzeczył że wino żyje? Wszakże świat cały nazwał *duchem* (ésprit) to co stanowi jego esencyę. Nie inaczéj! Wino jest apostołem wolności — a nie jego wina, jeżeli człowiek czasem zeń zły użytek czyni."

Książeczka o któréj mowa, nie bardzo zapewne podobałaby się naszym propagatorom *wstrzemięźliwości* — ale trafiłaby niezawodnie do przekonania wszystkich tych, co podzielają szlachetny gust Bachusa.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wydawnictwo Biblioteki Polskiéj Turowskiego ogłosiło od piątego do jedenastego zeszytu przedruk ważnéj a dotąd kosztownéj *Historyi Narodu polskiego* Naruszewicza — tym sposobem dzieło to stanie się przystępniejsze. Zapewne będzie je można prowadzić daléj przedrukami osobnych panowań, jakie w różnych czasach wydawane były. — Zrobiono także wielką przysługę ogłaszając dziś już rzadkie: *Myśli o pismach polskich* przez Dantyszka, a właściwie przez księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich. Szczególniej uwagi odnoszące się do moralnego stanu Polski w zeszłym stuleciu, pełne są głębokich postrzeżeń i dokładnéj znajomości patologicznéj rządu i społeczeństwa. Znać tu męża stanu i obywatela, który wie czego potrzeba ażeby naród pojął siebie, i nabył prawdziwego światła; — jak zaś gruntownie pojmował niektóre stósunki, dowód najlepszy, że i dziś nic nieuroniły z powagi. Dzieło to z pożytkiem może być czytane nie tylko jako obraz literatury, ale jako materyał wielce ważny do historyi krytyki. — W drukarni „*Czasu*" wyszły nakoniec *Tatry* przez Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego, ozdobione 80 rycinami okolic tatrzańskich. Jest to poemat opisowy w 24 ustępach czy pieśniach. Opisy acz wierszowane zalecają się ścisłością, a niekiedy żywem uczuciem piękności téj dzikiej i olbrzymiéj natury; autor bowiem nieuczony poeta, jak nieuczony malarz, nie ma innéj muzy prócz pięknéj przyrody, która go nieraz natchnie szczęśliwem widzeniem. W samej nawet erudycyi autora, przebija się prostota dawnych czasów i ta wiara co wyklucza zbytnią pretensyonalność, wiedzenia wszystkiego, i wyrokowania o wszystkiem. Książka ta może wybornie zastąpić przewodnika w góry Tatrzańskie. — W drukarni Uniwerstyteckiéj wyszedł ogromny tom in 4° Rocznika Biblioteki ordynacyi Myszkowskiéj — ozdobiony piękną ryciną wyobrażającą Maryą Kazimirę Żonę Jana III. W tomie tym znajdują się

następujące przedmioty: O zapisie Swidzińskiego oznajmienie pożegnalne. Dodatek do tegoż Zrzeczenie się spadku przez Margrabiego Wielopolskiego a przyjęcie przez Swidzińskich.— Korespondencya — Sprawa o zapis w pismach publicznych. Uwagi nad pismem pp. Władysława Małachowskiego i Rys ustawy dla muzeum polskiego imienia Swidzyńskich i jego historya. — Kronika zbiorów.— W drugiéj części, najważniejszéj tego Rocznika, umieszczone są Listy Jana Sobieskiego uporządkowane, pomnożone i objaśnione przez Ant. Zyg. Helcla — Z rzeczeniem się zapisu Swidzińskiego przez Margrabiego Wielopolskiego, można przewidywać że na tym drugim tomie Rocznika skończy się szereg tych ważnych dla dziejów publikacyi. Z drukarni Wywiałkowskiego wyszła broszura: *Baczność Katolicy!* — Uczeń techniki Fr. Pareński wydał książeczkę o przedmiocie pyrotechnii pod tytułem: *Zwięzła nauka* przyrządzania ogni sztucznych.— Profesor Dr Dietel ogłosił balneologiczne dzieło swoje: *Uwagi nad Zdrojowiskami krajowemi.* Tom pierwszy wytłoczony w Uniwersyteckiéj drukarni.

Z Litografii Czasu ciągle wychodzą widoki Krakowa i okolic w wielkiem in 4°. Można je będzie nabywać seryami. Widoki te odznaczają się trafnem schwyceniem miejscowości a szczególniéj gmachów i miejsc zalecających się zabytkami starożytnéj architektury, wspomnieniami historycznemi, lub romantycznością położenia.— Z téjże litografii wyszedł piękny *Widok Ojcowa,* mający być rozprzedawanym na korzyść budującego się domu towarzystwa naukowego. Niemniéj podług rysunku Gersona, ukązał się nakładem prywatnym widok *Kurozwęk* w Sandomierskiem.

Nakładem i czcionkami Karola Budweisera wyszedł „Ołtarz złoty czyli zbiór nabożeństwa dla Chrześcian katolików z przydaniem pieśni nabożnych z ksiąg przez Kościół Święty potwierdzonych dla użytku wiernych ułożony. Wydanie drugie poprawione i powiększone“. 1860 r. w 8ce str 616. Wydanie to na ładnym papierze i nowymi czcionkami odbite — tak obszerne — kosztuje 1 złr. w. a. z czego, prócz treści dobrze dobranych i uporządkowanych dogodnie do nabożeństwa tygodniowego i rocznego, zalecać się tylko może.

W drukarni Żegoty Wywiałkowskiego wyszło: *Zwięzła nauka przyrządzania Ogni sztucznych.* Ułożył i wydał Franciszek Pareński, z 7ma tablicami r. 1860. w 8ce. Wydanie ładne; cena bardzo przystępna zwłaszcza z uwagi przydanych rycin, bo wynosi 50 centów czyli 2 złp.

Lwów. Ksiądz Szajna, karmelita, wydał książkę do nabożeństwa pod tytułem: *Prawdziwa pociecha w życiu doczesnem,* czyli *Nabożeństwo dla czcicieli Najświętszéj Matki bolesnéj.* W końcu książki dodane: *Nabożeństo dla czcicieli N. Sakramentu ołtarza.* Książeczka w formacie kieszonkowym w dwunastce, zawiera wybór modlitw po większéj części tłómaczonych z włoskiego, francuskiego i niemieckiego, — str. 222.

Nakładem Karola Wilda wyszła w osobnem odbiciu: *Złota Góra*, powieść Jana Zacharyasiewicza — przedruk z Kółka rodzinnego.

Wyszedł także *Stanisław Staszic* przez Władysława Zawadzkiego, monografia kreśląca Sta-

szica żywot prywatny, publiczny i naukowy — zawierająca oraz bibliograficzny spis dzieł Staszica. W końcu znajduje się dołączony: Kontrakt Towarzystwa rolniczego Rubieszowskiego w zamiarze udoskonalenia rolnictwa i przemysłu, oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściach; i Testament Staszica. — W dużéj 8ce str. 112.

U Winiarza wyszedł dramat w pięciu aktach, prozą, pod tyt.: *Dwa pożegnania*, oryginalnie napisany przez Henryka Nowakowskiego. Dramat ten był temi dniami przedstawiony na tutejszéj scenie.

Ukazała się broszura: *Szlachta Polska*, odpowiedź korespondentom dzienników niemieckich — z obwodu czortkowskiego — Lwów z drukarni Winiarza.

Kornel Ujejski spólnie z p. Mikulim dyrektorem tutejszego towarzystwa muzycznego rozpoczynają wydawać: *Poemata Szopena*. Jest to zbiór pieśni przez Kornela Ujejskiego do muzyki Szopenowskiéj układanych, z których kilka znane już są publiczności z pism czasowych, gdzie były drukowane. Nótę do śpiewu układa i dodaje Mikuli.

Cieszyn i Bielsko. Wyszło tu dziełko p. t.: *Wybór osobliwych nabożeństw na duchowną pociechę i pożytek ludzi pobożnych.* Drukiem i nakładem K. Prochaski; w 12ce str. 416. Ostatnia część *Stacye Jerozolimskie czyli droga Krzyża świętego* ozdobiona 14ma ładnymi drzeworytami mękę pańską przedstawiającymi. Wydanie jest dwojakie: na pośledniém i ładnym papierze. Druk ładny, czysty, wyraźny. Cena niska jak wszystkie wydania p. Prochaski. Cieszymy się, że p. Prochaska w zamiarze swym nie ustając ciągle zasila swoją okolicę jakiemi książkami, a zwłaszcza takiemi które mogą iść na pożytek ludu.

Poznań. Nakładem Żupańskiego wyszło: *Wspomnienie* o bateryi pozycyjnéj artyleryi konnéj gwardyi królewsko-polskiéj, skreślił Stanisław książe prus Jabłonowski b. kapitan artyleryi lekkokonnéj polskiéj kaw. krzyża w. pol.— Autor opisuje szczegółowie bitwy r. 1831, w których brał czynny udział.

Ostrowo. Znany tłómacz wielu arcytworów Greckich Antoni Bronikowski, wydał nakładem Priebatscha przekład z Xenofonta pod tytułem: *Hippika i Hipparch* czyli jazda konna i naczelnik jazdy. Jest to traktat o koniach i o sztuce jeżdżenia. — Tłómacz ten zamyśla wydać Tucydydesa po polsku. Wartoby żeby który znaszych księgarzy obrał sobie specyalność wydawania autorów starożytnych w przekładach; jeżeli bowiem dziś jeszcze publiczność niedość zajmuje się arcydziełami starożytności klasycznéj, to niezawodnie ten dobry smak w niéj się rozbudzi za czasem.

Warszawa. Kwietniowy Nr. Bibl. Warszawskiéj mieści następujące artykuły:

O życiu i pismach autora Pojaty, napisał Kajetan Kotowski.

Kobiéta. Studyum historyczno-obyczajowe: 1. Rzecz o historyi kobiéty, przez Zygmunta Kaczkowskiego.

Układy Zapolskie 1482 r. przez Leopolda Huberta.

Literatura francuzka. La Légende des Siècles par Victor Hugo.

Literatura angielska.

O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiem przez Władysława Taczanowskiego.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Historya wolności religijnéj we Francyi przez p. Dargaud. Hugona przekład

dzieł kompletnych Szekspira: „Ryszard III“, „Burza“.— Tragiczna Grecya przekład Leona Halévy. Prawnuczka Racina. — Historya chorągwi, dramat epiczny w dwunastu obrazach.—Wiadomości Literackie.

Kronika literacka. Poezye Włodzimierza Wolskiego Tom I i II. Wilno 1859, przez Kazimierza Kaszewskiego. Ocenny pogląd na dzieło: Przegląd form gramatycznych języka staropolskiego. Lwów 1857, przez Feliksa Żochowskiego. Legenda wieków (La Legende des Siècles) Tom I i II przez Władysława Chomętowskiego.

Wiadomości z nauk O najprostszym sposobie wynajdowania średniéj geometrycznie proporcyonalnéj między dwiema liniami danemi.—O wyznaczaniu pewnych punktów elipsy, tudzież o wzorach na powierzchnią pasa kulistego i na objętość niektórych brył obrotowych przez A. F. Korespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Zdanie sprawy w przedmiocie zadań przez c. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie do nagrody ogłoszonych

Z kroniki doniesień literackich wyjmujemy co następuje:

Zakład litograficzny Maxymiliana Fajansa przygotowywa tablice chromolitograficzne, do trzeciéj seryi „wzorów sztuki średniowiecznéj. które ofiarą prawdziwie obywatelską szanowni wydawcy Aleksander Przeździecki, i Edward Rastawiecki podtrzymują, i coraz świetniej rozwijają, pomimo że kosztów nakładu dotąd zwróconych niemają. Serya ta ze wszystkich będzie może najwięcéj zajmującą, gdyż głównie zajmuje się starożytnościami polskiemi, jak ubiorami i zbrojami naszych przodków. Będzie tu i cały ołtarz Wita Sztwosza z kościoła Panny Maryi w Krakowie najstaranniéj oddany, podług wybornego rysunku p. Łepkowskiego. W tymże zakładzie wykończają się ostatnie zeszyty „Wizerunków polskich“, które zamkną całą seryą, stósownie do ogłoszenia p. Fajansa

Encyklopedyi powszechnéj — rozpoczął się druk sylaby Bo, w ciągu miesiąca litera B cała ukończoną zostanie, postęp pracy dalszych liter ani na chwilę nie ustaje równie jak druk tego dzieła.

Zeszyt 3 i 4ty „Anatomii opisowéj“ ciała ludzkiego, doktora i profesora, L. A. Neugebauera, wykładającego akuszeryą w c. k. Medyko-chirurgicznéj warszawskiéj Akademii, wyszły z druku. Z zeszytem IV kończy się już prawie nauka osteologii łącznie z syndesniologią Tekst ozdobiony jest szesnastu drzeworytami wykonanemi w Warszawie: przedstawiają one, kości z więzami. Odbicie bardzo staranne co przynosi chlubę drukarni p. Psurskiego. Powtarzamy cośmy już powiedzieli poprzednio; że dzieło to odznaczając się jasnością i przystępnym wykładem powinno znaleść upowszechnienie nietylko między lekarzami, ale i między zajmującemi się naukami.

W Paryżu nakładem Wilczyńskiego, wydawcy Album Wileńskiego, wyszły z druku w 4ce: „Wspomnienia Polski, Wołynia i Litwy“ edycya illustrowana drzeworytami, podług rysunków autora I J. Kraszewskiego, który we wstępie pisze: „Kto inny lepiejby może potrafił odmalować fizyonomię kraju, ludzi i rzeczy, ale inaczéj. ale nie po mojemu. Książka byłaby się zawsze kłóciła z rysunkami, rysunki przymawiałyby jéj, ona im; tak jak są, będą przynajmniéj w najlepszéj zgodzie.“

Zakład litograficzny A. Pec'qa ogłosił prospekt na nowe wydawnictwo wizerunków „Hetmanów polskich" z tekstem Juliana Bartoszewicza, zachęcony świetnem przyjęciem galeryi królów polskich z krótkim tekstem i o piątą część niemal taniéj, dla użytku młodego pokolenia. Nie wątpimy że ten szczęśliwy pomysł znajdzie dobre przyjęcie. Tekst do życiorysów Hetmanów polskich daje jakeśmy mówili Julian Bartoszewicz, to nada wysoką wartość samemu dziełu, a miłośników rzeczy krajowych, wabić będą nie same portrety tylko, ale i życiorysy podług bogatych zapasów, jakie ten badacz zebrał przez długie lata pracy i studyów.

Profesor chemii w tutejszém gimnazyum realném Karol Jurkiewicz przygotowywa do druku: „Wykład chemii nieorganicznéj", podług francuzkiego chemika Cahours. Dzieło to jest wielce pożądanem dla uczącéj się młodzieży.

— Album Lubelskiego A. Lerue z oddziału IIgo wyszedł zeszyt IV, obejmujący tekst i ryciny następujące: I Chełm i wieża na Bieławinie, II wieża w Stołpi, III zamek w Sielcu, IV Kościół w Spasie, V pomnik Uchański w Uchaniach. VI Kościół w Tarnogórze. Piękna ta publikacya i zajmująca; powinna znaleść większe upowszechnienie niż dotąd: liczy tylko 150 prenumeratorów! Smutna wróżba dla wykształconéj społeczności, która tak obojętnieje na pamiątki, które jéj sercu drogie być powinny. Połóżmy obok najważniejszych pamiątek narodowych romanse francuzkie, wiersze bez poezyj i dzienniki mód paryskie, a ujrzymy że na pierwsze znajdzie się chętnych nigdzie więcéj nad 200, gdy na drugie, tysiące rozchwytują egzemplarzy. Każde nasze wydawnictwo tego rodzaju, musi się opierać na ofierze i poświęceniu niezamożnego autora i artysty, wybrani z wybranych chętnie zacne i szlachetne usiłowania podeprą, chociaż bardzo słabo: ogół ciągle obojętny, nic jego skamieniałości rozbudzić nie może! Handel księgarski wzrasta, nietylko łakomym towarem, dla księgarzy są dotąd jeszcze powieści, różnéj a przeróżnéj wartości! Smutny objaw umysłowéj tylko zabawki: nie dla nauki, dla poważnego poglądu w kraj i jego potrzeby— nie dla serca wyższego; coby je trwale rozgrzać potrafiło!

— P. Akielewicz tłómaczy na język litewski: „Elementarz dla chłopców wiejskich", prócz tego w tymże języku drukuje małe książeczki: wykład „Modlitwy Pańskiej" i „Kwestarz jeżdżąc po Litwie, lud naucza". Przygotował zaś do druku: „Słownik litewsko-polski", oraz pisze: „Słownik litewsko-porównawczy" z językami: słowiańskim, greckim, gockim, łacińskim i sanskryckim.

— Otrzymaliśmy prospekt p. Mieczysława Piotra Sawickiego na mające wychodzić dzieło wierszem p. n.: „Lirnik polski". Piszemy dzieło, bo wedle prospektu ma być II tomy z 72 arkuszy druku złożone a zawierające stronnic 1296 samego tekstu. Treść tego ogromnego zbioru wierszy, jak sam autor streszcza w prospekcie: „W zamierzonéj drodze nie będę się piął do równości z mądremi, nie wzlatał pod niebiosa z natchnionymi, lecz tułając się po świecie, śpiewać wam będę o rzeczach ziemskich, i rzeczach najbliższych naszego serca, z myślą i przekonaniem, prawnie zgodnych. Z wesołemi będę wesoły, z płaczącymi popłaczę, cierpiącym starać się będę osłodzić, wielkim duchem czy czynem, godnością

prawą czy zasługą, cześć poniosę w ubogiéj méj pieśni; słowem śpiewać będę wszystkim i każdemu z osobna o tyle, o ile uczuciowa strona méj pieśni poruszoną będzie. Zdaje się że wypowiedziałem wszystko, co może dać wam, łaskawi czytelnicy pobieżny obraz mych pieśni, skończyłem na niczem mój prospekt, małogodny tego szumnego nazwiska; nic mi więcéj nie pozostaje, jak w nadziei bratniego współczucia nastroić lirę, wziąść kij do ręki i popędzany pustą torbą, którą wiatr jakby skrzydłem pomiata:

„Skwapliwie biegnąc w świat
Z piosenką z chat do chat.“

— Druk tomu IV Historyj literatury polskiéj w zarysach K. Wł. Wójcickiego wkrótce się rozpocznie; obejmuje okres cały od Brodzińskiego i Mickiewicza aż do obecnych czasów.

— PP. Bronisław i Witold Marczewscy inżynierowie komunikacyj i drogi żelaznéj, ogłosili prospekt następny na nowe dzieło, zeszytami wychodzące, które dzisiejszym potrzebom naszym wielce odpowiedzieć może.

„Ogromny ruch przemysłowy, jaki się ostatniemi czasy rozwinął w zachodniéj Europie rozchodząc się z tamtąd po całym świecie, wywołał tak wielki postęp w naukach politechnicznych, że nawet zasady projektowania robót inżynierskich zmienione zostały.

Ruch całego tego postępu podają wciąż liczne dzienniki zagraniczne Z uwagi jednak że zasad jakich się dziś potrzeba trzymać w projektowaniu i wykonywaniu robót, trudno dopatrzyć w rozpierzchniętych wiadomościach tak wielu pism zagranicznych, postanowiliśmy wydawać dzieło p t.: „Zbiór wiadomości politechnicznych“, w którymby był zebrany dokładny obraz dzisiejszego stanu politechniki pod względem teoryi i praktyki. oraz ruchu naukowego i przemysłowego, tak w kraju jak za granicą. — Że dzieło to musi być bardzo obszernego zakresu, ażeby objąć wszystkie gałęzie politechniki, postanowiliśmy wydawać je poszytami; ułatwiając sobie tym sposobem zgromadzenie znacznego kapitału nakładowego, jakiego to przedsięwzięcie będzie wymagało, przez zwrót cząstkowy za pomocą prenumeraty, a zarazem dając możność naszym współpracownikom obfitego zebrania, i dokładnego opracowania przedmiotów.

Ażeby zaś dzieło to mogło się stać użytecznem we wszystkich gałęziach, postanowiliśmy nie rozdzielać treści, lecz w każdym poszycie umieszczać wiadomości z różnych oddziałów nauk, z prawozdania ruchu przemysłowego, i wykonywanych znaczniejszych robót, oraz spisy dzieł nowych krajowych i zagranicznych w przedmiotach tyczących się sztuk, nauk i przemysłu. Poszyt pierwszy który znajduje się pod prasą da wyobrażenie o układzie i treści całego dzieła.

— Z Wilna otrzymujemy wiadomość, że wyszły z drukarni Kirkora: „Tryptyk, Kremera“; „Chata wuja Toma“, przekład Przybylskiego i Zwickiego, i piąty tom „Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich prymasów korony polskiéj i W. X. Lit.“; „Skarbiec Dyplomatów“ skończony, tylko opracowywa się indeks. „Sztuka u Słowian“ Kraszewskiego już jest pod prasą.

— Z Żytomierza z drukarni Kwiatkowskiego otrzymaliśmy powieść, wierszem Aleksandra Grozy, część pierwsza p. n.: „Śmieciński“. Z Kijowa „Latopis Ne-

stora", stary tekst mnicha Ławrentego z XIV wieku. Oddział pierwszy. Część przez Schlözera krytycznie wypracowana przepolszczył Julian Kotkowski. Na końcu czytamy następną wiadomość do szanownego czytelnika od wydawcy: Określony cel pracy sobie wytknąwszy, niejednokrotnie uczuliśmy obowiązek odwoływania się do ściśle z obecną pracą spojonych studyów z którymi się czytający rychło spotkać mają, i takowe w obecnym uwiadomieniu poszczególniamy. Prace te są:

1) „Historyczne o Słowianach badania". T. I. Cz. Etnograficzna. Jestto wyciąg: a) z narodów na ziemiach słowiańskich, przed powstaniem Polski (Lelewela); b) z Polski średnich wieków (tegoż); c) z Starożytności Słowiańskich, (Szafarzyka); d) z wstępu krytycznego do dziejów Polski (Bielowskiego) i innych dzieł poważnych, zastósowany krytycznie do Monde Slave Cypriana Roberta. Część ta niemoże być odłączoną od Latopisu Nestora; dla tych zaś, którym czasu braknie na studyowanie znakomitych naszych historyków, a obowiązek sumienia i światła nagli do zapoznania się choć w treści z ich pracami, wyciąg ten zupełnie będzie zadawalniający. (Ta część zostaje pod prasą). 2) Historyczne o Słowianach badanie T II. Część literacka i religijna. Oprócz dzieł wzmiankowanych w t. I, i Historyi narodu polskiego Naruszewicza umieściliśmy tu: a) całkowity życiorys z żywociarza Pannońskiego, o błogosławionych apostołach Słowian: Cyrylim i Metodyuszu; b) postósowaliśmy rozmaite abecadła starosłowiańskie i runiczne Słowian, w zamiarze rzucenia kwestyi o pierwszeństwie Głagolicy przed Kirylicą. Tę część podobnież stósujemy krytycznie do wspomnionego dzieła Monde Slave. (Studyum to zupełnie gotowe).

3) Próby gramatyki polskiéj psychologicznéj, do ułożenia, któréj posłużyło nam upomnienie się Libejta w jego filozofii i krytyce. Wiemy, że wezwaniu tego znakomitego uczonego słabe nasze siły odpowiedzieć nie mogą; przy pomocy jednak matek Polek, którym tę pracę poświęcamy, spodziewamy się jakąś iskierką ducha rozświetlić piękny nam filozofii i historyi język, dla początkujących przynajmniéj.

(Praca ta również wykończona prawie).

4) Dalsze tłómaczenia Nestora, wsparte pracami znakomitych historyków naszych i rosyjskich wytrwale zmierzą do końca.

— W drukarni Gazety Codziennéj ukończono druk tomu II Monografii Historyczno-genealogicznych niektórych rodzin polskich, przez Stanisława Kaźmierza Kosakowskiego z przypisami Juliana Błeszyńskiego. stron 350 IV. 4 z dwiema tablicami genealogicznemi Nakład autora Egz. 300.

W tomie tym, następujące monografie, obrobione głównie według źródeł archiwalnych: Leduchoskich, Lubomirskich, Łępickich, Łubieńskich, Olizarów, Ossolińskich, Platerów, Potockich, Przeździeckich, Siestrzeńcewiczów? Siesickich, Skorulskich, Steckich, nadto genealogie: Małachowskich. Mniszchów, Tyzenhauzów i Zyberków i dwie rozprawki o herbach: Radwan i Ślepowron z treściwą zmianką o rodzinach tych herbów używających.

Tom III ma wyjść w końcu bieżącego roku, i zawiera między innemi monografie: Sapiehów, Szembeków, Toporczyków, Tyszkiewiczów, Walewskich, Wołkowiczów, Wesslów, Zamojskich,

**

Zawiszów, genealogie; przytem Błeszyńskiego: kilka słów o Heraldyce polskiéj i legendach herbowych.

— Nakładem księgarni Karola Bernsteina wyszedł tom X użytecznej publikacyi: „Biblioteki popularnéj nauk przyrodzonych“. Tom ten obejmuje wykład: „O praktycznem opalaniu“, następny tom pod prasą będący, zawiera: „Podróż fantastyczną po świecie“

— I. A. Miniszewski wydał trzy pierwsze tomy zapowiedzianego dzieła p. n. „Życie w parafii“, obejmują dwie powieści: „Justyna“ w II tomach i „Kronikę plebana“ w jednym tomie.

— Od pierwszego czerwca r. b. ma wychodzić pismo ludowe pn.: „Kmiotek“, nakładem Michała Glüksberga, pod redakcyą I. K. Gregorowicza. Pismo to tygodniowe ozdobionem będzie drzeworytami, na odpowiednim papierze, żeby drzeworyty starannie odbijane być mogły. Będziemy więc mieć dwa pisma jednéj treści i dążności: „Czytelnia niedzielna“, która potrafiła wyrobić sobie liczne grono czytelników, najwięcéj po miastach, i w klasie rzemieślników i „Kmiotka“, który z samego tytułu jak się zdaje, więcéj dla ludu wiejskiego poświęconym zostanie.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother, Rządca druk.